

Pitigrilli

18 KARATÓW DZIEWICTWA



Pitigrilli

18 KARATÓW
DZIEWICTWA

(La vergine a 18 carati)

Autoryzowany przekład
J. A. Laski

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

Tekst opracowano na podstawie wydania 1930 r.

— Będziemy się kochać jeszcze jeden rok.

— Jeszcze?

— Jeden rok, licząc też i chwile wytchnienia...

Z sennej, południowej ciszy weszli kochankowie w hałaśliwy gwar sali jadalnej. Maitre d'hôtel podsunął się ku nim wymuskany i obleśny, z najbardziej namaszczonym uśmiechem, ustawiając krzesła i prezentując dyskretnie kartę win.

Wejście znanej artystki wywołało chwilę poruszenia i zmieszany, pełen ciekawości gwar szeptów.

Ostatniej nocy, po ukończeniu sezonu i dłuższej wycieczce samochodowej, spotkała się ona z przyjacielem, ażeby spędzić z nim miesiąc wypoczynku w tej wysokogórskiej okolicy, gdzie spokój jesieni nadchodzi już w czas lipcowy; w tym hotelu, nieco zbyt wiejskim, który wystroili trzej niezrównani artyści: pleśń, mech i wrzosa.

Siedziała, nie oglądając się wkoło, jak osoba, która

ma zdecydowany wstręt do widoku półmisków i... otoczenia. Towarzysz jej ogarnął okiem zatłoczony półkolisty kąt sali, w którym wyrastały tu i ówdzie stoliki, ubrane w rude lilie i leśne orchidee.

— Nawiązałeś już jakiś flirt? — spytała, nakładając sobie niezgrabnie hors d'oeuvre. — Kto jest ta dama, która czyta?

— Egipcjanka.

— Autentyczna?

— Jak krokodyl.

— Z tymi włosami koloru musztardy?

— Właśnie dlatego. Gdyby była podrabiana, z pewnością ufarbowałaby je na czarno dla większego prawdopodobieństwa.

— Co robi?

— Nie wiem. Uczy się sama albo uczy innych, bawi się albo ją bawią.

— Kto jest jej kochankiem?

— Najwięcej podejrzeń pada na tego jegomościa z czaszką okrągłą i czerwoną jak ser holenderski. Jest nadęty na czterdzieści atmosfer, gdyż ma bogate kopalnie wolframu w Szwecji i fabrykuje coś w rodzaju

nitrobenzolu. Stąd, zdaje się, jego ubrania są przesycone okropnym zapachem jakby gorzkich migdałów. Jego żona przyjeżdża tu też na odpoczynek, ale żeby uniknąć tej milej woni – mieszka po drugiej stronie gór.

— A te trzy pannie jednakowo ubrane z guziczkami z perłowej masy jak klawisze przy harmonijce?

— Trzy siostry, które nie mogą przekwitnąć. Poznałem je zeszłej zimy w patronacie opieki nad młodocianymi ludożercami albo w podobnym lupanarze filantropijnym: są bliższe płciowego wyschnięcia niż możliwości rodzenia, i mają zabawnego ojca, który nie zdejmuje ze łba twardego kapelusza, prawdopodobnie żeby się uchronić przed ultrafioletowymi promieniami. Bierze on udział w ich dobroczynnych igraszkach z podziwu godną cierpliwością. Jest to tego rodzaju typ, który potrafi odbyć trzy tury naokoło stołu na jednej nodze albo wyrządzić przykrość jakiemuś panu zatopionemu poczciwie w swej gazecie. O, są bardzo inteligentne... Wśród wszystkich obrazów zachowanych pobożnie z mej krótkiej wędrówki po świecie, jeden

tylko sprawia mi radość prawdziwą: gdy oglądam dziewice zestarzałe, rozsypujące się, zmurszałe w bezowocnym oczekiwaniu ewentualnego pana męża. Przypomina to skapca, który schodzi na psy, ponieważ jego gotówka pewnego pięknego dnia traci swoją wartość...

Gwiazda teatralna raczyła się uśmiechnąć.

— A ja znów — wyznała melancholijnie — myślę czasem, czy bardziej pożalowania godne są stare trusie, które nigdy nikomu się nie oddały, ażeby cnotę swą zachować dla męża, czy też te, które nie doszły do prawowitego małżonka, ponieważ oddawały się za każdym razem kiedy na to miały ochotę...

Sketch nie odpowiedział.

Sketch posiadał oczywiście pełne imię i nazwisko, ale jak wszyscy niemal kochankowie miał przydomek z sypialni: Sketch.

Znakomita aktorka w młodych latach doszła do sławy; wchłonęła zapachy kwiatów z wszystkich cieplarni świata, w rozmaitych jego częściach roztaczała przed oczarowanym tłumem misteria swej sztuki; piękna tragiczka, bohaterka historii i legendy, znana ze

swych namiętności, podejrzewana o zboczenia lesbijskie i szpiegostwo podczas wojny, kobieta, która poznała wszystkie podniety i wszystkie emocje, chowała w swej duszy jedno pragnienie, jedną cichą skargę: dom. Stary, wiejski dom z zacisznym kominkiem, przy którym zgrzybiały dziadusi opowiada swe przedziwne przeżycia na ziemiach i morzach.

— Każdy z nas jest zawiedziony — mówiła w chwilach wynurzeń — gdyż chcielibyśmy wszyscy być czymś innym niż jesteśmy. Być może, że szczęśliwi są mali, poczciwi ludzie bez wszelkiego polotu, którzy co niedziela idą na spacer z laską w rękę, wiecznym piórem zatkniętym do kieszonki i z płodną małżonką pod pachą. Jestem kobietą, której wszyscy zazdroszczą, a czuję, że jestem najmniej godną zazdrości ze wszystkich kobiet świata...

— W rezultacie jednak nie ma tu osób interesujących — podjął dalszą rozmowę Sketch, odsuwając przezornie smutne refleksje. — Patrz na ten stół naprzeciw: typowi nowobogaccy, którzy obcierają sobie wąsy wierzchem dłoni i rozpychają wargi wykałaczkami, chwając się, że najlepszą wodą

mineralną jest wino.

— A ten młodzieniec?

— Typ wielce modny; w każdym calu up to date; ma pewne trudności w wymowie; trzeba by mu przeczyścić trochę ośrodek Broki w mózgu: błąd, który go zmusza do mówienia mniej głupstw niżby chciał.

— Pożera oczyma swoją samotną sąsiadkę.

— Nie będzie mu tak trudno pożreć ją do reszty; miłutka, ale brak jej jeszcze koniecznej oglądy.

— Kto ją utrzymuje?

— Co wieczór kładzie kabałę, czy przypadkiem następnego dnia nie spadnie na nią szczęście. Jej przedsiębiorstwo nie jest jeszcze oparte na solidnych podstawach, ale zabiega już o publiczność: rozdziela gratis na prawo i lewo reklamowe pocałunki.

— Dostałeś?

— Na razie tylko uśmiechy-obietnice. Ta druga, która tak pilnie kaligrafuje na sucho łyżeczką po serwecie — to dziewczica. Dziewica oryginalna, standardowa, dziewczica na osiemnaście karatów.

— Znasz ją?

— Nie.

Aktorka zrozumiała, że to krótkie nie, było bezczelnym potwierdzeniem.

Służący rozdzielał zupę zagęśłą jak romans psychologiczny. Ktoś dowcipny krzyknął.

— Ależ to nie zupa! To woda!

Aktorka spojrzała na mówiącego i zwróciła się do Sketcha:

— Dość jest głupiotka ta twoja dziewczina.

— Moja? Dziewica? Nie czuję w sobie dość temperamentu, ażeby być jej... pierwszym.

Sketch nic spostrzegł się nawet, że owa nic nieznacząca dziewczyna istnieje, a już jego przyjaciółka cudowną intuicją kobiety wyczuła, że tych dwoje wiąże nic nieświadoma.

— Jest tutaj sama?

— Tak. Pewnego dnia odwiedził ją ojciec: przystojny mężczyzna, blondyn jak ona, dobrych pięćdziesiąt pięć lat; typ zdecydowanego poligamisty, chytry, energiczny. Jeden z tych ludzi, których – jak przypominasz sobie – widuje się w Senacie lub Sądzie Najwyższym; mają oni kufry oblepione kartami z najlepszych hoteli świata i znaczkami z kilkudziesięciu

urzędów granicznych. Innym znów razem odwiedziła ją jakaś czcigodna dama, słodka i pękata jak cukiernica, ale spieszyła się widocznie i odjechała pierwszym pociągiem.

— Dlaczego zostawiają ją samą?

— Angielski typ wychowania. Na pierwszy rzut oka wygląda na podlotka w ciełym okresie, na jakąś głupawą czternastolatkę.

— To, co Niemcy nazywają – Backfisch.

— Właśnie.

— A amerykańskie – spring chicken.

— A jednak ma dwadzieścia lat i wcale nie jest głupia: nie tańczy i dzięki temu nie robi kurzu; godzi się ją pochwalić, gdyż nie dotyka skrzypiec, fortepianu ani innych narzędzi tortur.

— Krótko mówiąc – podoba ci się.

— Ma ładną buzię; wygląda jak pieczętka z laku.

— Na flaszcze z bakcyłami. Ty masz słabość do tych trupów na urlopie, kandydatek do sanatorium. Żeby ci się podobać – kobieta musi mieć tylko skórę i kości.

— Piękności klasyczne mi nie odpowiadają. Ciężkim błędem sztuki klasycznej jest przerażające zdrowie. Gdyby niezliczone Junony cierpiały na żołądek, a inne Madonny na nefritis, niektóre posagi i płótna można by znieść jeszcze dzisiaj.

— Ale twoje dziewczyna nie jest piękną z muzeum.

— Jest ładna, jak wszystkie dziewczęta w jej wieku.

— Chcesz mi dać do zrozumienia, że ja jestem stara!

— Proszę cię – nie przysądzaj mi słów, których nie mówię i rzeczy, których nie myślę.

— Myślisz je i mówisz.

— Wymyśli!

— Jeszcze mnie obrażaj!

— Nie podnoś głosu. Patrzą na ciebie.

— Gwizdzą na to!

— Doskonale, ale gdy żyje się w małym kółku...

— Mam już tych twoich „kółek” powyżej uszu!

— Proszę cię – panuj nad swoimi nerwami.

— Kto panuje nad nerwami – nie ma ich w ogóle.

A co do tej dziewczuszki – niech ci nie przyjdzie kiedyś do głowy, żeby mi ją przedstawić. Musi należeć do tych kwoczek prowincjonalnych, które spóźniają się na pociąg i gubią sakiewkę w tramwaju.

Chude kurczę opierało się tak energicznie przed nożem Sketcha, że ten pochylił się całym ciężarem nad talerzem, ażeby wreszcie oddzielić nieco mięsa od kości i... ukryć twarz czerwoną z irytacji. Gadanina kochanki doprowadziła go do pasji; zwrócił się wręcz:

— Nie rób mi scen publicznie. Jeśli chcesz mi wypalić kazanie – wyjdźmy z tej sali.

— Właśnie to chciałam zaproponować.

I wyszli.

Egipcjanka odprowadziła ich długim spojrzeniem, rozcinając jednocześnie karty książki wierzchem noża, z miną osoby, która czyta nie tylko ze zbytnią łapczywością ale i znużeniem.

— Baccarat — dokąd idziesz?... — zaskrzeczała blondyneczka bez należytej ogłady do pieska, który podreptał za Sketchem. Długi jamnik z miną jezuitę powrócił zawstydzony do swej pani, kołysząc się w miękkich, węzowych ruchach.

— Dobrze zakonserwowana — rzekł elegancki młodzieniec, gdy aktorka była już za progiem — musiała być kiedyś piękna.

— Tak, za Karola Alberta — odpała blondyneczka, pochylając się, ażeby uwiązać swego krnąbrnego Baccarata.

Tymczasem zbożony drogerzysta:

— Twarz już nie jest świeża.

— Ja myślę! Dobija do pięćdziesiątki.

— Nie widać tego po niej.

— Elle a du chien — zdecydowała Egipcjanka — elle a du cran!

Fabrykant nitrobenzolu rzucił wymowne spojrzenie na eleganckiego młodzieńca, a gdy ich oczy spotkały się zauważył chytrze:

— Pan chciał, żeby podczas obiadu grała orkiestra; będziemy mieli więcej: teatr.

— Grand-Guignol! Ale cóż to za temperament u nich obojga!

— Niech pan w to nie wierzy! — poprawił czcigodny chemik, wielki miłośnik teatru. — Znam ich. Każde wzięte z osobna ma najłagodniejszy charakter;

ale gdy zetkną się razem — wybuchają. Są tak, jak esencja trementyny, substancja nieszkodliwa, i tynktura jodu, substancja nieczynna; ale gdy je zmieszamy razem, następuje wybuch.

— Niektóre pary kochanków — westchnęła z żalobnym uśmiechem transcendentalna Egipcjanka o migdałowych oczach — czują wyszukaną potrzebę, ażeby sprawiać sobie ból. Jest to potrzeba męczeństwa.

Oparła rękę na łokciu i opuściła powoli na wierzch dłoni zamysłoną skroń tak, żeby sploty włosów zmieszały się z blaskiem pierścieni.

Osiemnakaratowa dziewczyna wyszła, śmiejąc się, z sali.

Markiza (mój wuj arcybiskup, mój kuzyn admirał, markiz mój mąż) w języku zbliżonym do francuskiego kazała wykrochmalonej opiekunce wynieść czternastomiesięcznego markiza, który, chociaż przeznaczony do służby wojskowej, nie powinien jeszcze słuchać tego rodzaju rozmów.

— C'est abominable, madame la marquise — oburzała się opiekunka (oczywiście z Sabaudii)

wynosząc na rękach czternastomiesięczne markiziatko, różowe i błazenkowe jak figurka porcelanowa z księstwa Jork.

Trzy siostry nieprzekwitające, dziewice, które jednaście nocy z rzędu szukają swych jedenastu gwiazdeczek, nie przerywały na chwilę cnotliwej rozmowy o świeżości wody źródlanej i o płotach ubranych w lampiony, które tak uwielbia wuj Baptysta!

Jakżeby się dobrze bawił wujaszek Baptysta, gdyby był tutaj!...

* * *

Parę miesięcy przedtem, w czasie nudnej do obrzydzenia włóczęgi bez celu po ulicach wielkiego miasta, wszedł przez roztargnienie do składu perfum.

— Proszę o flakonik perfum.

— Dla pani czy dla pana?

— Właściwie dla obojga.

W tej chwili dosłyszał strzępy dialogu między zgiętym unieżeniem subiektem i damą flegmatyczną i znudzoną:

— Ile kosztuje?

— Trzydzieści lirów, dlatego że dla Pani.

— A gdybym to nie była ja?

— Podwójnie.

— Wolalabym zapłacić podwójnie i nie być sobą...

Wówczas podszedł do pięknej klientki:

— Wybacz mi pani! Jeśli jest człowiek, który nie tańczy i nie bywa w tak zwanych wytwornych towarzystwach, nie ugania za kobietami i nie zaczepia ich na ulicy, nie wdaje się w pertraktacje ze stróżkami i nie podplaca kelnerów w restauracji, co ma on zrobić, ażeby poznać kobietę, która go interesuje?

— Rzecz bardzo prosta — rzekła piękna pani, spoglądając na niego uważnie wielkimi, szarymi oczyma, w których połyskiwały żółte cętki — może uczynić to, co pan w tej chwili.

— A więc jestem Mauro Mauri, lat dwadzieścia osiem, zamożny, bez stałego miejsca zamieszkania; karany policyjnie (bez znaczenia) za obrazę funkcjonariusza kolejowego; próba Wassermana negatywna. Jeśli szewcy, autorzy i wielbiciele, próby i spektakle użyczą pani pół godziny czasu – proszę mi ją

ofiarować. Przyjdę z najbardziej uroczystą wizytą. Nie mam żadnych złych zamiarów...

— Jeśli nie ma pan złych zamiarów — nie jest pan interesujący. Ale mimo to proszę przyjść dziś wieczorem.

Następnego ranka, przytulając się do niego wężowym ruchem swego rozpalonego, nagiego ciała, orzekła:

— Mój mały — nie możesz być dla mnie tragedią. Ani też komedią zbyt lekką. Poza tym nie może to trwać za długo. Będzie więc jeden akt trochę sentymentalny, a trochę wesoły. To, co się nazywa — sketch.

To przezwisko mu zostało:

— Sketch!...

* * *

I tak spokojne i beztreściwe życie Maura Mauri weszło w nową fazę pełną niespodzianek. Włóczył się z trupą dramatyczną swej kochanki z miasta do miasta, żył nerwowym i pełnym podnieć życiem sceny. Nauczył

się gwary teatralnej i wierzył w zabobony, przysłuchiwał się klace zakulisowej i brał udział w kłótniach garderobianych, poznał jak się naśladuje huragan, jak się skraca nosy i wykreśla lata. Przeżywał rozgardiasz gorączkowego wyjazdu zaraz po przedstawieniu komedii, którą następnego wieczoru miało się grać gdzieś o osiemset kilometrów dalej. Odczuwał nieco śmieszna sławę i wszystkie udreki kochanka pierwszej heroiny, który nie wychodzi z jej pokoju, chyba, że ona zmienia suknie, nosi za nią pieska, ocenia i wybiera utwory nowych autorów, udziela wywiadów dziennikarzom i wpuszcza z wizytami natrętów. Kochanek sławnej kobiety jest jak woźny muzealny, fotografowany u stóp olbrzymiego, przedhistorycznego potwora, ażeby w tym kontraście uwydatnił się ogrom wiekowej bestii. Przyjaciel znakomitej aktorki to rodzaj „księcia małżonka”, do którego zwracają się nowo zaangażowani z milczącą złośliwością i uśmiechniętą naganą, gdy pierwsza bohaterka, bardziej nerwowa niż zwykle, daje poznać drobne nawet nienasycenie swej skondensowanej kobiecości.

Poznał jak kobiety, które budzą katastrofy w życiu

i lekko rozrzucają miliony, potrafią być miłe i łagodne, niemal jak dzieci, gdy zrzucają wciąż inne, ciężące im maski. Cierpiał z powodu ironicznych a niezasłużonych sądów opinii publicznej, która nie mogła mu darować że on to jest właśnie wybrankiem wielkiej artystki, bożyszczą tłumów.

— Nie troszcz się o opinię — mówiła mu często. — Gdy cię zobaczą z elegancką damą, powiedzą, że jesteś utrzymankiem kokot; z własną żoną — rogaczem, z przyjacielem — pederastą. Gdy chodzisz sam, powiedzą, żeś onanista. Jest tylko jeden sposób, ażeby obronić się przed opinią publiczną: trzeba się z nią pogodzić.

Aktorka oddała mu się swą całą, skomplikowaną i wszechstronną duszą; oplotła go namiętnością wampira i zasypała swym nienasyconym pożądaniem, wnosząc w nie wyrafinowane doświadczenie fikcyjnego życia, splecionego z niezliczonych egzystencji osób, które kochała, mordowała i zdobywała co wieczór na scenie. Sketch przekonał się, że tego typu proteuszowe kobiety, piękne i kolące jak kaktus, na pozór — synteza zbrodni i blasku, bywają skłonne do wielkich

wybuchów namiętności, ale skądinąd potrafią swą rozpacz wyrazić, jak biedny obłąkany, który z zimną krwią podpała stodołę i idzie dalej pogwizdując...

Aż do tego czasu jego miłości ograniczały się do kobietek, które wychodzą z twego domu bez zawrotu głowy i wyrzutów sumienia; czasem obiecują, że jeszcze kiedyś powrócą, nie zostawiając ci nic więcej niż włos wplątany w dziurkę od guzika lub smugę pudru na klapie surduta.

Miłość swą zmarnował między kawiarnią a pokojami umeblowanymi, które łączą swą beznadziejną pretensjonalność z zapachami brudnych ścierek, lichego mydła i podejrzanych lekarstw. Człowiek czuje się tam sam jak w grobie, nawet gdy z sąsiedniej izby dobiega brzęk ostróg, które czyści ordynans, albo monotony refren zachrypniętej dziewczyny, która, jeśli nawet przeżywa coś w tych ścianach z byle przechodzącym – zawsze powtarza swą rozpaczliwą nutę smutku i męki...

Miłość ku sławnej artystce stała się dla niego olśniewającym objawieniem na horyzoncie wyobraźni; było to przejście z młodości niedoświadczonego żółtodzioba do malowniczej dojrzałości, jakby

wzorowanej na współczesnej komedii, między wpołgientalnych histrionów i kurtyzany, które w swej inteligencji uważały, że wodę przeciw płodności ze swych bidetów spijają na świętym ołtarzu sztuki. Żyjąc wśród sublimatowych oparów absurdu, w rozczarowaniu nad wszystkim co nierealne – chciał on jeszcze swe życie włóczęgi uczynić bardziej cygańskim; pomnażał więc przestrzenie, a skracał noce, przeciągając wieczory aż do świtu, gdy w martwym świetle elektrycznym ucieka krew z policzków i trupieją twarze. Atmosfera kobiecości, cudzołóstwa i niewierności, która snuje się za kulisami teatru, podniecała jego wrodzoną zmysłowość; złudzenie i fałsz czające się w pustce kulis, poddawały mu rozkosz oszukiwania, truciznę pijacką, która zmienia położenie i kontury świata jak gorączkowe sny chorego.

Znakomita aktorka precedziła tak umiejętnie swe zachcianki, podniety i sentymenty, że z przemądrą perfidią narzucała mu pozory odmowy lub obojętności, z okrutną nieświadomością wstrzykiwała wszelkie tortury zdrady.

Wieleż to razy po przedstawieniu, pożegnany

słowami, na które nie ma odpowiedzi: do widzenia, jutro na próbie – przechadzał się tam i z powrotem pod oknem swej kochanki, różowym od ciepłego światła, gdy na tle zasłony rysowały się te i owe cienie aż w późną noc... I wieleż to razy, wchodząc rano do pokoju aktorki, czuł zapach papierosów zupełnie innych, niż te, które sam palił..

— Tego wieczoru nie będę jadła z tobą — oświadczała mu z niewzruszonym spokojem.

A pewnego dnia, gdy zdobył się na jakiś gest opozycji — podsunęła mu przed oczy rachunek krawcowej, dodając:

— Osiemdziesiąt sześć tysięcy lirów, zapłacisz?

Po jednej takiej scenie umknął na dworzec, na pierwszy pociąg, który odjeżdżał w jakąkolwiek stronę. Ale już następnego wieczoru zjawił się z powrotem w głębi widowni i klaskał z entuzjazmem młodzieniaszka; i podjął znów ciężkie jak łańcuch skazańca brzemie swego życia: wybuchy szału i apatii, posłuszeństwa i gróźb, nawroty namiętności, niezaspokojonych pragnień i krwawiącej wciąż zazdrości.

Piękna kochanka zatruwała go wciąż swą miłością,

pozbawioną wszelkiej logiki, niewyczerpanym szaleństwem czułości i zimną złośliwością swych nerwów wciągniętych w wartki prąd życia. Raz odpychała bez litości, choć wabiła go przedtem zaklęciami najmilszej kochanki – nazajutrz potrafiła torturować kochanka szczegółowym opisem zdrady, a – gdy widziała w jego oczach budzące się płomyki wściekłości – uspokajała go z przemyślną słodyczą:

— Dzieciak jesteś! Nie zdradziłam cię. Dlaczego nie przyszedłeś?... Znalazłbyś mnie zupełnie samą. Czekałam na ciebie...

* * *

Brunet, sympatyczny, 28 lat... – jak w drobnych ogłoszeniach na ostatnich kolumnach dziennika opisują się ci, którzy szukają „prawdziwego uczucia”... Sketch pochodził z jednego z tych czcigodnych domów, gdzie nadejście telegramu jest niezwykłym zdarzeniem, które wstrzymuje obieg krwi w żyłach wszystkich członków rodziny – i gdzie każdego gościa, zanim go się wpuści, poddaje się dokładnej obserwacji przez uchylone

drzwi. Mimo tego wszystkiego, należał do licznej rasy ludzi niespokojnych, niedbałych, upartych i skłonnych do włóczęgostwa, ludzi, którzy wychodzą bez parasola w ulewny deszcz i kpią z syberyjskich chartów lub angorskich kotów, dlatego tylko, że nie znoszą żadnej arystokracji, nawet u zwierząt.

Sketch opuścił dom, ażeby nie podlegać żadnej dyscyplinie, nawet godzinom codziennego jedzenia; nudziły go zresztą do rozpacz codzienne rozmowy w kółku rodzinnym. — Od dwudziestu lat, odkąd się znamy, nie powiedziano tam nic oryginalnego — zwierzał się jednemu z przyjaciół, gdy go pytał, dlaczego tak nieodwołalnie pożegnał się z ojcem, matką, mieszkaniem, łazienką i wiktem..

Bardzo rzadko zalecał się do kobiet. Były to zresztą niewiasty, którym podobała się w nim ta beztroska obojętności, odróżniająca go wybitnie od zawodowców w miłosnym zawodzie. Gdy pierwszy raz uzyskał u znakomitej aktorki owe pół godziny wieczornej rozmowy, która się stała nocą namiętnego szału i początkiem długiej miłości, powodowało nim nie tyle pożądanie zmysłowe ile raczej czysta ciekawość

mózgowa. Artystyce zaś podobał się on dzięki prostocie słów i gestów zwyczajnego człowieka, który unika wyszukanej zalotności.

Ale ów zwyczajny człowiek zmienił się szybko w rękach doświadczonej kobiety, która wydobyła z niego ukryte zainteresowania, obudziła śpiące instynkty i możliwości, zagrzebane w szarym życiu bezmyślnych prostaczków. Ona dopiero odkryła go przed samym sobą, wysubtelniła jego zamięłowania, zaostrzyła jego podniety mózgowy, wzmogła pożądania, otworzyła oczy na dalsze horyzonty, poruszyła wreszcie jego program fizjologiczny, odkrywając przed nim nieoczekiwane możliwości rozkoszy i bólu.

Taka miłość jest zaprzeczeniem starszej kastracji w młodości człowieka.

— Możesz sobie odejść — mówiła mu czasem. — Nie przyjmuję nakazów ani wyrzutów od nikogo, jeśli nie pochodzą one ode mnie. Nie można szlifować diamentu jak tylko własnymi jego odłamkami. Albo bierzesz mnie taką, jak jestem, z wszystkimi wadami, albo odejdiesz. To, że sypiasz ze mną razem nie daje ci żadnych praw, tylko obowiązki. Ja nie mogę być

wierna; życie narzuca pewne konieczności, pod którymi uginają się nawet olbrzymi. A jeśli te racje ci nie wystarczają, powiem ci, że kobieta taka jak ja nie może podlegać ogólnym kryteriom. Artysta żyje ponad zwyczajną moralnością; powinien też żyć ponad prawem. Zresztą – to wszystko, co ja ofiaruję innym, nie dorównywa temu, co ty otrzymujesz: gdyż ja ci daję miłość...

Przekonana o swej wyższości nad wszystkimi innymi kobietami, nad mężczyznami i nad swoim kochankiem, wyłączyła z góry ewangeliczną zasadę wzajemności; ona mogła go zdradzać, ale nie dopuszczała nawet, żeby on mógł zwrócić jedno słowo lub spojrzenie ku innej kobiecie. Gdy raz, w czasie próby sennej komedii symbolicznej, przychwyciła go na rozmowie z „charakterystyczną”, wydarła jej z rąk rękopis roli i kazała natychmiast udać się do administratora i zgłosić swe zwolnienie; a gdy małżonek owej nieszczęsnej próbował ją bronić – krzyknęła grzmiącym głosem:

— Milcz pan! Bezczelny! Wypraszam sobie obronę bezczelnych typów podobnych do pana!...

A jednak Sketch nie odczuwał ciężaru tej okrutnej miłości. Zdumiewająca bujność tej absurdalnej kobiety, której uczucie jednego dnia zacierało się aż do obojętności, a drugiego wybuchało w kryzysach szału, stała mu się teraz potrzebna. Weszła mu w krew, jak pisują psychologowie, ale weszła jako nieodparty nieuleczalny jad.

— Jedno jest lekarstwo przeciw twojej chorobie — powiedział mu pewnego dnia pierwszy amant dramatyczny, który pisywał komedie, uczył się języka norweskiego, mówił o systematyce i czytywał pisma medyczne. Jest to lekarstwo wirusowe: zastrzyknąć sobie pod skórę bakcyle łagodniejszej miłości; na przykład — spróbuj zakochać się w kobiecie mniej sławnej, ale bardziej — kobiecie. Miałeś to nieszczęście, że trafiłeś na kochankę demoniczną, która cię zatrula; szukaj więc obecnie dziewczyny, która by na to otrucie działała antytoksycznie, może to być chórzystka, bieliźniarka, daktylografka, jakiegokolwiek bądź „coś”, które przyprowdzi cię do równowagi.

Jak prosto i nieskomplikowanie wyglądają dramaty innych! W cudzej kieszeni każdy nasz rachunek będzie

się zgadzał z arytmetyczną ścisłością. Spróbuj ją porzucić! Nie myśl więcej o niej!... Sketch jednak nie czuł się na siłach, by porzucić swoją kochankę. W osiemnastym roku życia bardzo łatwo zapomnieć o jakiejś kobiecie: po prostu idzie się na przechadzkę z inną. Ale kiedy jest się już na progu dojrzałości, którą chępliwie nazywamy drugą młodością, rozłączenie z kochanką jest operacją bardzo bolesną. Zbyt wiele daliście jej ze siebie i zbyt wiele uzyskaliście od niej, ażeby można było odzyskać pełną indywidualność. Głos nasz przepoił się dźwiękiem jej głosu, jej nerwy splotły się z naszymi: ustaliliśmy wspólny słownik, a w życiu zmysłowym utrwaliły się wzajemne punkty napięcia. Wasze oba ciała stopiły się w jedną komórkę, która dla kogoś wydawać się może „parą”, ale dla was samych jest jednym, nierozzerwalnym spłotem. Nie mamy już własnej indywidualności; każdy ruch poddany jest jej: jesteśmy jak martwy przewód elektryczny, który drga wówczas dopiero, kiedy fluid owej kobiety przebiega go i wstrząsa nim. Wszystkie inne kobiety wydają się bezzmysłowe, a jeśli pewnego dnia, z kaprysu przygodnej namiętności, zdecydujemy się je

posiąść, pozostaną mimo to obce. To doświadczenie udowadnia raz jeszcze, jak fatalnie jesteśmy skuci z kochanką jedyną, niezbędną i niezastąpioną.

Sketch nie mógł rozłączyć się z aktorką; ostre i częste starcia wypływające z jej nadmiernego przeczulenia, powinny były – zdawało się – skłonić go do uciezki na zawsze; wiedział on jednak jak złudne były te uciezki, jak wstrząsające były skargi, jak niebezpieczne były nawroty w tym wiecznym ogniu. Nie mógł żyć ani z nią, ani bez niej, jak mówią bohaterowie z oleodruków, od Owidiuszowych bajek począwszy. Uciezka była zresztą bezużyteczna: w następny już wieczór – czuł to dobrze – powróciłby na widownię w ten przykry zapach tłumu i skórek pomarańczowych, i oklaskiwałby swą bohaterkę z entuzjazmem pensjonarki, która wymknęła się z internatu.

* * *

W tym stanie pogody ducha żyli nasi kochankowie szereg dni wśród niebotycznych gór, gdzie lato trwa zaledwie dwadzieścia dni, na wysokiej hali, kędy biegły

czarne rury hydro-elektryczne i chętnie zjeżdżali senatorowie.

Rury i senatorowie. Czasem cudzoziemiec zbłąkany przypadkiem i liczni przedstawiciele lichej arystokracji niemieckiej, którzy z niebywałą dumą i przezorną oszczędnością polerowali swe wyszarzałe tarcze herbowe z koroną ze złota pierwszej próby.

Wielka pani o znakomitym nazwisku co niedzieli schodziła ze swego nowego ale ubranego w białe wieże zamku, ażeby we własnej czcigodnej osobie ukłęknać przy ołtarzu w parafialnym kościele. I to było najbardziej sensacyjne wydarzenie sezonu: cała droga, jak długa, ze zamku do wsi roila się od czerwonych portek (strój lokalny) – i zabawnych letników w pończochach i żelazem okutych buciorach, którzy na pasku swych lornet pokazywali ostentacyjnie kołyszący się znaczek z ostatnich wyścigów w stolicy. Stara, dostojna pani przybywała punktualnie, poprzedzona rykiem syreny lśniącego samochodu. Prałat, jeden z tych księży z górskich okolic, którzy bardziej przypominają fehmistrza niż duchownego, czekał na progu Kościoła, przybrany już w liturgiczne szaty, jakby

na znak, że dobry Pan Bóg już jest gotów i czeka na czcigodną niewiastę.

Po skończeniu mszy dama podnosiła się ze swego krzesła, które odróżniało się od innych tylko zwyczajną poduszką z czerwonego aksamitu, i wychodziła na podwórzec kościelny pełny słońca, alpejskich zapachów i barwnych strojów; pseudoarystokratyczne figury piemonckie kręciły wokół niej zadkami, onanizując się wzajemnie swą heraldyką, i narzucały się z rozczulającą śmiesznością, ażeby od dostojnej osoby otrzymać jałmużnę słowa lub spojrzenia.

Jakiś arystokrata czystej krwi pochyłał się w ukłonie vieux temps, wśród anachronicznego trzaskania aparatów fotograficznych.

A ona uśmiechała się dobrotliwie; z twarzy jej koloru zwiędłej gardenii promieniała autentyczna królewskość, wyższość rodu i umysłu. Do wszystkich wyciągała rękę i wszystkich poznawała; i rozmawiała z wszystkimi; nikt nie uniknął spojrzenia jej wielkich źrenic, w których głębokim, melancholijnym blasku drzemały wieki udzielnego władztwa. Wśród dźwięku

dzwonów, które były na południe, odjeżdżała milcząca biała pani, żegnana gromkimi głosami. Na zakrętach drogi trąba automobilu rzucała dźwięczne echa, jakby za pojazdem galopowała z brzękiem banderia z dawnego wieku...

— A pani nie poszła na mszę? — zapytał Sketch pewnego ranka standardową dziewicę, dziewicę na osiemnaście karatów.

— Zbyt wiele tam tych hrabin, markiz, księżniczek — odrzekła trzymając w zębach źdźbło trawy. — Wołałam odwiedzić moje żaby w stawie, niedaleko stąd. Są ich tam tysiące. Kto wie, jakby okropnie się nudziły, gdybym nie poszła czasem ich zabawić. Znają już mnie doskonale, wychodzą ze swych kryjówek, zanim jeszcze kamyczkami oznajmię swoją wizytę.

Osiemnastokaratowa dziewica schodziła w podskokach ścieżką i przyciskała do boku książkę, środkowy palec włożywszy między stronicę.

— Pani ma niezły gust — zauważył Sketch, rzuciwszy okiem na tytuł.

— A pan myślał, że co ja czytam? — roześmiała się dziewczyna — Zatrute wykałaczkę, Widmo goryla

albo Pożeraczkę mężczyzn?...

— Ponieważ znajomość literatury u naszych panienek jest zazwyczaj rozpaczliwie komiczna, uczuwa się prawdziwie miłą niespodziankę, widząc w dłoniach tak niewinnych i czystych Mallarmégo, szalonego liryka.

Dziewczyna o złotych włosach trysnęła śmiechem.

— A pańska przyjaciółka?

— Ubiera się przed zejściem na śniadanie.

— Pańska przyjaciółka nie chodzi do Kościoła?

— Mówi, że dopiero gdy nie będzie miała żadnych przyjemności na tym padole ziemskim — poszuka ich na innym. Jak długo publiczność przychodzi do teatru, ażeby ją oglądać — tak długo ona nie chodzi do teatru, ażeby podziwiać innych. Wówczas dopiero pójdzie słuchać historyjek, które opowiadają inni, kiedy ci inni nie zechcą słuchać tego, co ona opowiada...

— A ten dzień jest jeszcze bardzo daleki?

— Tak myślę. Dziś jest w swoim najlepszym okresie.

— Już trzydzieści lat jest tak w swoim najlepszym okresie...

I nie dając Sketchowi odpowiedzieć, dorzuciła:

— Niech mi pan wybaczy. Jestem niedobra. Ale pańska przyjaciółka wygląda na jeszcze gorszą.

Dziewczyna, niezwykle chuda, była przedziwnym zespoleniem kości i światła, jak owe dziewice wymalowane na witrażach katedry i ubrane w słońce. Hieratyczny spokój otulał jej postać: czasem dreszcz dziecięcy wstrząsał chudym ciałem, czasem znów wiotka i drżąca jak brzoźka traciła oddech, jakby palił ją wewnętrzny ogień. Uśmiechnęła się smutno, nie rozchyłając warg i nie deformując ust, zgrabnych i purpurowych jak goździk w wysokich górach. Kochała się widocznie w swym chudym ciele baletniczki i umiała je uwydatnić, ubierając się w czarne suknie, które podnosiły jasny kolor jej włosów i gibko wydłużały jej postać.

Wiotka, gibka, jasna, pachnąca jak krzew wanilii, obojętnie przechodziła do pianina wśród rozgardiaszu hotelowego, lub w nocy wymykała się sama, by słuchać muzyki gór i gwarzyć z białą, śliczną kotką, której błyszczące oczy rywalizowały w mroku z żarzącym się ognikiem jej papierosa. Szeptano sobie na ucho w pensjonacie, jak ta dziewczyna spędza wieczory, i

rozmaite, najbardziej złośliwe rodziły się hipotezy o jej schadzках. A ona śmiała się ukradkiem z tych oszczerstw, wlokących się za nią, kiedy otwarcie wychodziła szukać sentymentalnej koteczki, która co wieczór na płocie godzinami myła swe białe futerko, aby podobać się księżycowi.

— Chce pan, byśmy zostali przyjaciółmi? — spytała Sketcha.

— Myślę, że to nie będzie możliwe. Francuska powieściopisarka Rachilde powiedziała kiedyś, że przyjaźń między mężczyzną i kobietą c'est de l'amour blanc. Innymi słowy – przygotowanie do pożądania...

— Do widzenia — wyciągnęła rękę. — Pańska przyjaciółka zabiłaby mnie, gdyby nas tu zastała. A to chwila zupełnie nieodpowiednia, gdyż znad morza przysłano mi kosz brzoskwiń; takich olbrzymich! Nie lubi pan owoców? Ja – pasjami! W ogóle żywię się tylko owocami, i cukrem. Nurzam się w słodczy jak pszczoła.

— Słodka i jasna. Powinna się pani nazywać Melitta.

— Co to znaczy?

— Właśnie pszczoła.

— Ładnie. I doskonale mi odpowiada. Będę się nazywać Melitta. A pan? Jak mam nazywać?

— Proszę mnie nazywać... Proszę mnie nazywać jak pani tylko chce...

* * *

Sketch i jego aktorka znaleźli w tych górach spokój, jakiego dotychczas nie zakosztowali. Po sprzeczce z pierwszym zaraz dnia, wywołanej pewno tą resztką elektryczności miejskiej nagromadzonej w fałdach ubrania, nastąpiły długie dni idealnego spokoju; spędzali je w wygodnych fotelach na tarasie, patrząc na panoramę gór połyskujących lodowcami, szukali po łąkach czterolistnej koniczyny, chrupali angielskie biszkopty lub grali wreszcie w pokera z właścicielem hotelu i egipską damą, która ofiarowała artystce piekielnie autentycznego skarabeusza z samej Doliny królów (made in Germany).

Tryb życia tych czworga graczy, którzy, nie bacząc na przezrystą mistykę gór, spędzali haniebnie całe

popołudnia na pogańskiej grze w pokera, oburzała wszystkich innych gości hotelu. Ojciec trzech córek nieprzekwitających, który sypiał w czarnych okularach, ażeby przypadkiem nie poraził go ranny blask słońca wdzierający się przez zasłony, wyprowadzał na świat boży swe córuchy z zapieczętowaną cnotką, ażeby nie słyszały diabelskich słów które padały z ust czwórki pochylonej nad stołem.

— Pas.

— Pas.

— Otwieram.

— Wchodzę.

— Zobaczę.

— Nie.

— Ile kart?

— Jedna.

— Trzy.

— Dwie.

— Proszę.

— Chip.

— Dziesięć lirów.

— Dwadzieścia.

- Czterdzieści.
- Proszę pokazać.
- Full damski.
- Kolor.

Pewna czcigodna dama błękitnej krwi, prezeska rozmaitych towarzystw, w których ukryte łobuzerstwo łączy się z filantropią, zwróciła się do dostojnego i dogmatycznie namaszczonego senatora o brodzie zwichrzonej na kształt jego przekonań politycznych — zapytaniem: w jakiej mierze oddziałął poker na ogólny upadek moralności w nowszych czasach. Owa nieposzlakowana niewiasta nakazywała swej guwernantce, ażeby nie pozwalała nigdy bawić się dzieciakowi z innymi bębnami jak tylko pełnej krwi szlacheckiej... Do stołu schodziła pierwsza, ażeby nie narażać się na to okrutne poniżenie, że nikt nie zrywał się na jej powitanie. Senator, zapytany, zapuścił swe palce w arcymądrą brodę i długo mówił o alarmach socjalnych, o prapłazmie ukrytej w osobnikach wielokomórkowych, a nawiązując do animizmu religijnego i polidemonizmu narodów pierwotnych, zdecydował, że poker nie jest hazardową grą, a tylko

rodzajem gimnastyki umysłowej, która wprowadza moment geometryczny do życia; prowadzi człowieka do pewnego perfekcjonizmu, zaostrza intuicję, pogłębia związki asocjatywne i aperceptywne a w ogóle działa krzepiąco nie tylko na upadek sił, ale w ogóle na zdolności ascetyczno-kuracyjne. Wyznał przy tym z chytrym uśmieszkiem, że, gdy nadano mu godność doktora honoris causa na uniwersytecie w Bostonie, urządził sobie pokera z czterema profesorami wydziału filozoficznego i położył ich na całego, mając tylko parę damską, gdy rektor magnificus miał sekwens do króla.

Ów król przepędzony przez parę dam wypuszczonych z rąk senatora przeraził ząną niewiastę, wierną zasadom monarchicznym, i rozwiął ostatnie jej złudzenia o dostojęństwie Senatu Królestwa...

Tego samego wieczoru właściciel hotelu musiał przerwać swe partyjki pokera z Egipcjanką, aktorką i jej kochankiem, w przeciwnym bowiem razie groziło mu, że jego progi następnego zaraz ranka, o świcie i pierwszym pociągiem opuszczą wszyscy dostojni goście, licząc w to jegomością o łbie czerwonym i

okrągłym jak ser holenderski, oraz samą markizę (mój wuj ambasador, mój kuzyn nuncjusz papieski...).

Przy stole pokerzystów zabrakło czwartej ręki.

— Czy pani grywa?...

— Tak.

I tak zdarzyło się, że aktorka wyciągnęła dłoń do dziewicy osiemnasto karatowej, do złotej dziewczyny o wielkich błękitnych jak lazur oczach, ocienionych czarnymi długimi rzęsami.

Przedstawiając się, artystka powiedziała swe imię.

Egipcjanka wyrzuciła parę gardłowych sylab, poprzedzając je skromnie słowem – Lady.

A dziewczyna z pewnym zmieszaniem powtórzyła imię, które pewnego poranku nadał jej Sketch, gdy mu opowiadała, że lubi słodczyce i owoce jak pszczołka:

— Melitta.

* * *

W przesyconym dziecięnniałym purytanizmem hotelu zawrzało, gdy błada dziewczyna o lazurowych źrenicach weszła w orbitę zatrutych wpływów aktorki znanej ze swych miłostek lesbijskich. Ale kiedy spostrzeżono po pilnej obserwacji, że nic nie zmieniło się w różowej świeżości jej policzków, w młodzieńczej beztrosce i dziecięnnym apetycie – goście hotelu z wolna i trwożliwie przyzwyczajając się poczęli do ciemnych praktyk teatralnej heroiny.

— Adoratorów wybieram sobie sama —
oświadczyła ona otwarcie.

Młodzieniec up to date, który, pobudzając do śmiechu górskie kozice, nosił pierwszorzędną dubeltówkę Hammerless, płaszcz nieprzemakalny i nienaganne rękawiczki z kangurów, przechodził pod krzyżowym ogniem spojrzeń kobiecych niewzruszony jak skała, z twarzą zamysłoną i jakby uginającą się pod ciężarem inteligencji; aktorka przezwiała go więc – głupiec, który myśli. Jak w każdym domu znajdzie się człowiek, który gra na fortepianie, tak znów w każdej gromadce ludzkiej jest głupiec, który myśli, polityczne swe

przekonania kształtuje na najgłupszym piśmie, które mu wpadnie w ręce, wychwala dobrodziejstwa skondensowanego mleka, poważnie wciąż przypomina, że wszystko jest względne i że wyjątek potwierdza regułę, a gdy ktoś ośmieli się wyrazić zapatrywanie bardziej oryginalne, uśmiecha się złośliwie pod wąsem i zapewnia, że przy najbliższej sposobności położy go na obie łopatki.

— Podobają mi się tylko ludzie zwyczajni, prości — powiedziała mu raz aktorka, wruszając ramionami.
— Dzisiaj, gdy wszyscy pozują na interesujących, naprawdę interesujący są tylko ci, którzy... nimi nie są.

Światowy młodzian, urażony, odwołał się do swej szlacheckiej krwi, do znakomitych przodków, które to cenne wartości nie pozwalają mu myśleć i żyć jak zwyczajnemu mieszcuchowi. Na to mu odcięła:

— Ach, arystokracja! Co do mnie — jedyna arystokracja jaką uznaję, to arystokracja ducha.

Młodzieniec, czując wyraźnie, że burzy się w nim krew znakomitego rodu, puścił się pędem przez wszystkie sale hotelu, by odszukać kochankę tej, która go obrazila:

— Panie! Pańska dama obraziła mnie bardzo ciężko. Czy pan bierze na siebie odpowiedzialność za tę obrazę? Żądam natychmiastowego zadośćuczynienia. Zaraz pan się przekona!...

W godzinę potem złożyli Sketchowi wizytę dwaj panowie w czarnych tuzurkach, namaszczeni, dostojni, groźni, nieposzlakowani, zapięci pod brodę jak dwie mandoliny rozciągnięte na pluszu swych pudełek. Byli to sekundanci pełnej krwi: szlachcic bez tytułu i baron.

Pierwszy o przystojnej twarzy półgłówka, który w młodości przeszedł letargiczne zapalenie mózgu, należał do typów wysyłanych z domu z powodu przedwczesnego zidiocenia, a które mimo to, jak owoce niedojrzałe złożone w kredensie, wyrastają na majorów, pułkowników, generałów, albo znów, inną rzeczą koleją, znajdują inteligentne zajęcia na przykład głupawego pisarczyka, dostojnego woźnego w sądzie lub uczciwego tragarza.

Baron zaś był mężem baronowej Esmeraldy, znanej literatki, autorki — jak wszyscy wiedzą — powieści dla dzieci pod tytułem: Paluszek w nosie. Baronostwo mieszkało w domku letnim, który składał się właściwie

z jednej izby i spiżarni, ale za to ozdobiony był rodzinnym herbem. Raz na tydzień wystawiali na tarasie tegoż „zamku” wypchanego bażanta, a latem i zimą nosili pończochy z białego jedwabiu; stąd pewni obrzydli parweniusze opowiadali sobie, że wystarczy im jedna para tych pończoch umiejętnie rozcięta, tak że baronowa nakładała część dolną a małżonek – górną! I tak przy niezbyt wielkim wydatku na jedną parę pończoch salwować można było decorum imienia znakomitego od pięciu wieków.

Wysoko urodzeni sekundanci przedstawili Sketchowi swe pełnomocnictwa, żądając aby wyznaczył swych zastępców.

— Nie byłoby mi zbyt trudno — odpowiedział — znaleźć dwóch znudzonych ludzi bez lepszego zajęcia. Ale będą to albo dwaj kretyni — a wówczas nie uważam, ażeby mogli traktować o mój honor i moją skórę — albo będą to dwaj ludzie inteligentni, a wówczas nie podejmą się łobuzerskiego obowiązku, ażeby rozprawiać z panami o głupstwach, które nic ich nie obchodzą.

Dwaj nieporuszeni panowie odeszli pełni godności,

zastrzegając sobie prawo zwrócenia się do swego mocodawcy.

Mocodawca zaś, młodzian światowy, oburzony, kazał spakować swe kufry. I z dubeltówką systemu Hammerless, nieprzemakalnym biskery, otuliwszy dłonie w zabójcze rękawiczki z kangura – wyjechał do stolicy, by znaleźć dwóch zastępców bardziej zdecydowanych i doświadczonych w sprawach honoru. Jego godność zbrukana przez jakąś tam aktorycę musiała być energicznie oczyszczona. Naruszenie jego honoru nie mogło zostać bez zapłaty.

Bez zapłaty natomiast pozostał rachunek w hotelu.

I tak publiczność się zmieniała. Zalotna blondyneczka nie dość jeszcze wprowadzona w życie wyjechała nagle, gdyż zbyt wysokie ciśnienie barometryczne nie służyło wrażliwemu jamniczowskiemu Baccaratowi. Na jej miejscu zasiadła pięćdziesięcioletnia paniusia, ostatnia z pokolenia marzycielek: błękitna wstążka w szeleszczących lokach, uperfumowanych zapachem Ilhang-ilhang (1901), torebka haftowana w stylu Liberty (1902), mantylka z koronek Richelieu (1903) na piersi pełnej westchnień dla nieistniejącego kawalera serca. W takim stroju i lakierowanych pantofelkach na korkach (styl Ludwika XV) szła owa damulka i nad brzegami potoków zbierała niezapominajki..

W epoce afery Dreyfusa, gdy weszły w modę pierwsze gorsety, przeżyła zawód miłosny, albo jak mówią inni – nieodpłaconą namiętność.

Zespół spirytystów (tych spirytystów, którzy zważają się zawsze w każdym hotelu w czasie upartej słoty), zapewniwszy sobie współudział „duchów

wyższych” i cieniów bohaterskich, które przechadzają się wśród asfodelów na polach elizejskich, zaprosił aktorkę na swe północne seanse.

— Kto wie, łaskawa pani, czy pani nie jest nawet medium — orzekł najinteligentniejszy z zespołu, z zawodu komiwojażer handlowy (tiule, koronki i gipiury).

— Nie jestem medium — odcięła krótko aktorka — i w ogóle nie wierzę w te spirytystyczne zabawki.

— A jednak dzisiaj już — zawyrokował najbardziej inteligentny z zespołu (tiule, koronki i gipiury) — nie wolno nam wątpić o pewnych fenomenach życia. Należy je uznać, choć nie zawsze dadzą się one stwierdzić.

— Ja mam o nich zdanie wyrobione — odpaliła aktorka. — W każdym domu znajdzie się stolik, który utyka, i wszyscy wierzą w siłę nadprzyrodzoną medium. Spirytyzm nie istniałby w ogóle, gdyby nasi stolarze bardziej dokładnie przycinali nogi stołowe...

Rój arcygłupiutkich dziewczątek, tego typu, dla których manicure i partia tenisa są alfą i omegą całej egzystencji, usiłowało zbliżyć się do sławnej aktorki,

wysilając cały swój dowcip, objawiający się w tak kapitalnych określeniach: zdumiewające, oszalamiające, czegoś podobnego nie było, coś bardziej eleganckiego – to już śmierć!... – ale przyjęto je z wymownym milczeniem. Inna gromada panien wyznawała zasady zupełnie odmienne. Ażeby wkraść się w łaski pięknej tragiczki, pozowały one na istoty niezwykle, poszukujące niemożliwości i absurdu; a więc – twarze sfinksowe, oczy błędne i uśmiech zagadkowy, dłonie wymownie splecione, a dusza nieodczytana wśród zawyłych antytez. Niewiasty, których nozdrza drżały, a oczy podnosiły się do sufitu; ze ściśniętych warg padało słowo transcendentálním rzucone głosem: może!...

— My jesteśmy kobiety nowoczesne — oświadczały zalotnie aktorce — jesteśmy dziewczyny zrewolucjonizowane.

— Zrewolucjonizowana czy zacofana, dziewczyna pozostaje zawsze taka, jak ją określił Baudelaire — zimno odrzekła artystka. — Une petite sottise et une petite salope; la plus grande imbécillité unie à la plus grande dépravation. Il y a dans la jeune fille comme l'abjection du voyou et du collégien...

W tej chwili weszła osiemnastokaratowa dziewczica i spojrzała na nią szeroko rozwartymi oczyma; ta zaś, wyciągając dłonie:

— Oczywiście z pewnymi wyjątkami, Melitto!

I wplotła swe długie palce w jej włosy...

Inne dziewczyny odeszły i nie powróciły.

* * *

— Opanuj się — prosił ją Sketch, gdy byli sami.
— Obrażasz te panny, obrażasz mężczyzn, wywołujesz moje perypetie z muszkietierami z operetki; niedługo narazisz sobie wszystkich w hotelu.

— Narażę sobie? Ależ tego chcę właśnie; przestaną mnie wreszcie prześladować! To ty mnie ściągnąłeś do tego obrzydliwego gniazda komarów i bankrutujących arystokratów.

— Jest to najlepszy hotel w okolicy.

— W ogóle nie trzeba było przyjeżdżać w te strony.

— Samaś to miejsce wybrała.

— Nigdy tu nie byłam.

— Ani ja tym bardziej.

— Trzeba się było poinformować.

— A potem?

— Zaproponować mi inną miejscowość.

— Ty jesteś kobietą, której nie można zaproponować niczego, czego ty nie chcesz.

— Dosyć! Od dwóch lat czynię wszystko co chcesz, jak najbardziej uległa z kobiet.

— Tak — ale tym, który musi słuchać, jestem ja.

Krótką przerwą. Ktoś wszedł do sali, wziął dziennik.

— Proszę cię — mów ciszej — wyszeptał Sketch.

— Są tu obcy.

— Jestem przyzwyczajona do tego, że jest ich więcej.

Ale zniżyła nieco ton głosu.

— A zresztą — podjął Sketch — do jakiegokolwiek hotelu w którejkolwiek okolicy byśmy zajechali — wszędzie znajdziemy to samo. Wszędzie są przecie „letnicy”; jest to zupełnie specjalna psychologia: nie ma doktorów, buchalterów, studentów, posłów, Wszystko to się zaciera i zostaje tylko „letnik” z całym

swym zapasem radosnej i hałaśliwej głupoty.

— Wiem o tym, ale mam już dosyć tej hołoty, która mnie drażni. Spirytyści, baletnicy, inteligenci i arystokraci, drogerzyści, którzy biegają od stołu do stołu, dziewice szukające czegokolwiek, co je wreszcie skompromituje, kobiety o duszy algebraicznej i kobiety pijane fatalizmem, sentymentalne trusie w stylu rococo, markizy, które noszą pończochy w harmonijkę i perfumują się stęchłym zapachem.. Nie – dosyć! Dosyć! Skończy się tak, że i mnie ogarnie ten cyklon kretynstwa! Dzwonki elektryczne nie dzwonią; żądam esencji octowej i przynoszą mi lemoniadę; żądam ciepłej wody – przynoszą mi wrzącą; stawiam ją na okno, żeby ostygła, i za chwilę staje się lodowata. Daję mój płaszcz pokojowej, a ona czyści go pod włos. Nie widziałam jeszcze nigdy tak głupiej pokojówki.

— Gdyby była inteligentna, nie zostałaby pokojówką. Byłaby pewno kokotą.

Jegomość, który wszedł do salonu, żeby czytać, wziął dziennik, przesunął nosem po jednej stronie i zwiął. Od kiedy adwokaci wprowadzili zwyczaj zaprzysięgania świadków, nie jest rzeczą roztropną

asystować przy kłótniach kochanków.

Aktorka mogła znów podnieść głos swobodnie i prowadzić dalej swe wyrzekania.

— Gdybyśmy wyjechali gdzieindziej, nie spotkalibyśmy przynajmniej tej efektownej blondyneczki...

— Kogo?

— No, tej wyblakłej, gumowej nimfy: twojej fatalistycznej dziewczicy!

Sketch usiłował mówić jak najciszej i z rozczulającą słodyczą:

— Najdroższa, bądźże łaskawa zastanowić się ćwierć sekundy. Czy to nie ty uśmiechałaś się do niej i pieściłaś jej włosy.

— Owszem - ja. Nie jestem byle kumoszką, ażeby okazywać swą zazdrość.

— Mogłaś się nią w ogóle nie zajmować.

— Tak, żeby zostawić wam swobodę.

— Ależ nie patrzę nawet na nią!

— Ale jej dotykasz.

— Dajże spokój z tymi wymysłami!

— Trudno – działały się.

— Nie ma w tym wszystkim nawet cienia prawdy.

— A tej zimy też nie było nawet cienia prawdy, gdy przychwyciłam cię tête à tête z charakterystyczną, a potem gdy cię spotkałam na ulicy z żoną administratora, a potem gdy zastałam cię przy stole...

— Spotkałam, zastałam, przy stole, na ulicy... Oto moje winy. Cóż ja mam mówić o tobie, gdy idziesz do łóżka z każdym, który ci wpadnie pod rękę?...

— Ja robię co mi się podoba.

Po czym powstała. Sketch został sam i zaczął bezmyślnie chodzić po salonie; wśród ciszy słychać było tylko skrzypienie podłogi pod jego stopami. W mrocznym pokoju ostatni promień słońca drżał na świecznikach przy pianinie. Sketch oparł czoło o szybę okna i patrzył na lodowce połyskujące w bladym świetle zmierzchu.

Cofnął się, chwilę czekał niezdecydowany, wstrząsnął się i zwrócił ku drzwiom, którymi przed chwilą wyszła kochanka.

W obramieniu drzwi, wychodzących na schody, stała Melitta, ogarniała go spojrzeniem i milcząco potrząsała główką.

Gibka i smukła, niemal bezcielesna, wydawała się jakąś nierealną zjawą; nad bladą twarzą unosił się obłok jasnych włosów; ręce opadły miękko wzdłuż ciała.

W tej aureoli jasnej nad postacią zamkniętą w pustym obłoku drzwi, wyglądała jak monstrancja złota.

Dzwonek zadźwięczał niecierpliwie. Służący podbiegł po schodach, przeczytał numer na tablicy, skoczył po dwa stopnie w górę; po chwili zeszedł i zwrócił się do Sketcha:

— Czy szanowny pan też się wyprowadza?

— Dlaczego?

— Szanowna pani wyjeżdża jutro. Kazała zamówić miejsce w autobusie na popołudnie.

Sketch nie odpowiedział. Szukał decyzji na jasnej twarzyczce Melitty – ale oczy lazurowe z najpiękniejszego lazuru pozostały nieme, a usta, jak leśne goździki, nie drgnęły.

Milcząca dziewczyna, która miała w sobie chorobliwy wdzięk anemii i wydawała mu się bardziej promienna i przezroczyta niż kryształ górski – okazała się teraz nierozwikłaną zagadką.

Przypominała te widoki, których nikt nie umie

chwycić na płótnie, gdyż wszelkie linie zbyt są materialne i brutalne, a farby nie mają dostatecznego blasku. Można je widzieć tylko we śnie albo w muzyce, gdyż muzyka to sen, który ktoś opowiada.

Służący zabierał się do odejścia.

— Jeśli szanowny pan ma jakieś polecenie...

— Zawołam.

Słońce spływało na wierzchołki gór w krwawej ulewie, sypiąc resztkę żaru na grzbiety lodowców; dolina zatapiała się zwolna w ciemnołazurowej melancholii zmierzchu.

Sketch i Melitta wyszli z domu. On chciał spojrzeć w twarz tej istoty, która w swej rzekomej przejrzystości ukrywać mogła nie wiadomo jakie zasadzki. Znał ją przecież tak mało; a przy tym już budziła w nim niepokój. Zamienili ze sobą niewiele słów, a jednak zdawało mu się, że znają się od lat, że odbyli razem jakąś wędrowkę w zaświatach w dawniejszym życiu.

Dotychczas nie uczyniła nic, ażeby wpłynąć na bieg jego życia. Nie narzucała się i nie wchodziła mu w drogę; w chwilach wahania, w momentach kryzysu, gdy widział ją ukazującą się i znikającą w milczeniu –

zostawał mu w myśli i nerwach drażniący niepokój, a w sercu przezysty zapach jej leciuchnych sukien.

— Ona ci się podoba — twierdziła jego kochanka.

— Chciałbym jej na uszach zawiesić dwie wiśnie — łagodził ją Sketch — takie dwie krwawe plamy godziłyby się pięknie z tą bezkrwistą, mleczną twarzą.

Teraz jednak, po kilku dniach i po wymianie nic nie znaczących słów, po skrzyżowaniu wymownych spojrzeń i rzadkich spotkaniach — ta dziewczyna jasna jak sama czystość, ten blady szkielet wydawał mu się ucieleśnieniem niebezpieczeństwa, symbolem groźby, czarodziejką, która rządziła (może nieświadomie) jego losem.

— Niech na ciebie spojrzę, Melitto — rzekł wreszcie, gdy znaleźli się na zakręcie samotnej ścieżki.

Dziewczyna roześmiała się.

— Pozwól się zobaczyć, Melitto — nalegał, trwożnie badając ją spojrzeniem, jak bada się przeciwnika, który może mieć ukrytą broń.

Ale ona zwinęła się pod jego wzrokiem i odbiegła na dwa — trzy kroki.

— Teraz patrz na mnie!

Wspięła się na odłam skały czarnej jak bazalt a wyniosłej jak piedestał; tam, o parę metrów nad ścieżyną, jej drobna postać kreśliła się wyraziście na tle zasłony z aksamitu, w którą otulały się góry, a która rozwija się tylko w jasne noce, ażeby utonąć później w świetle księżyca.

Nie odpowiadała jej jednak ta poza wpółkomiczna. Zeszła i zbliżyła się do towarzysza, który nie odczuwał jeszcze jak ogarnia go jej kokieteria.

— Pozwolisz moje ramię?

Oparła się na nim.

Droga wiała się wzdłuż potoku; wzdłuż potoku, który w tym miejscu śpiewał jak żaden inny na świecie: śpiewał jak wiola, w której brakuje trzech wyższych strun, a zostaje piosenka we wietrze i jej głosie.

Nawet jej imię jest jak dźwięk, chwycony na ostatniej strunie.

— Zejdźmy — rzekła nagle Melitta, nasłuchując brzęku aluminiowych puszek — wracają z wycieczki.

I nie puszczając jego ramienia, zakręciła pół okręgu wokół niego.

Hotel błyszczał w ciemnej głębi swymi oświetlonymi oknami.

— Chciałam po prostu pana pożegnać — mówiła cicho Melitta po dłuższej chwili milczenia. — Pan jutro wyjeżdża. Nie zobaczymy się więcej. A my nie możemy powiedzieć sobie do widzenia jak dwoje obcych ludzi, którzy spotkali się przypadkiem w sali jadalnej, a maître d'hôtel posadził ich przy dwóch różnych stołach. Chciałam uścisnąć pańską rękę z dala od tych śmiesznych ludzi. Do autobusu nie mogłabym przyjść: gdy ktoś wyjeżdża, bardziej się troszczy o bagaże... A przy tym o tej godzinie mnie tu nie będzie.

— Pani też wychodzi?

— Wychodzę. W przeciwnym kierunku. W góry.

— Z kim?

— Z nikim. Zawsze chodzę sama: zawsze włączę się sama; na plaży nad morzem, w zapadłych wąwozach górskich, na krzykliwych ulicach miasta. I nie robię tego dla jakiejś pozy – niech mi pan wierzy. Wszystko można zmyślić prócz zamilowania do samotności. Kto udaje przez jakiś wyskok snobizmu że lubi samotność – a jej nic lubi, zdradzi ją w pierwszych

zaraz dniach z pierwszym spotkanym...

— Ja więc?...

— Pan nie jest tym pierwszym spotkanym. Przeszło już bardzo wielu i nie zatrzymałam ich.

Wycieczkowcy zbliżali się miarowym krokiem. — Melitta i Sketch usunęli się na bok.

Po zapachu gorzkich migdałów, który wionął w powietrzu, poznać było można fabrykanta nitrobenzolu. A gdy zmieszana masa plecaków i ludzi utonęła we mgle, dziewczyna mówiła dalej:

— Wie pan, jak można naprawdę czuć się samotnym? Wśród tłumu, wśród kilku milionów mieszkańców, kilku milionów nieznanymi ludzi. Natomiast w okolicach pustych, w najbardziej odludnej wiosce nie znajdzie się samotności, gdyż wystarczy znajomość jednej osoby, ażeby widzieć ją i spotykać na każdym kroku.

Schodząc w mgłę z dziewczyną bladą i wiotką, tak lekką, że płynęła wsparta na ramieniu, i tak ciepłą, że grzała go jej długa, obnażona dłoń, Sketch myślał niejasno i bez przekonania: Ta dziewczyna jest jak najpiękniejsza, barwna i malownicza roślina; gdy tak z

nią ideę, wciąż mi się zdaje, że mam kwiat przy klapie surduta.

Oklamywał sam siebie. Wobec nikogo nie jesteście tak bezczelnymi kłamcami jak wobec siebie.

— Nie był pan nigdy zagranicą? — pytała. — Ja tak. Podróżowałam dość dużo.

— Sama?

— Sama.

— Nie ma pani krewnych?

— Nie mam nikogo. Jest tam jakiś brat, jakaś siostra, ojciec. Ale nie mam matki. Jeśli ktoś nie ma matki – to tak, jakby nie miał nikogo.

Umilkła zamyślona.

— A potem, potem.. Prawdziwi krewni to nie są ci, których dostajemy z łaski genealogii; z tymi nic nas właściwie nie łączy: pewnego dnia znajdziemy na świecie obcego, w którym uczujemy brata, ojca... Ten będzie dopiero prawdziwym krewnym.

— A ta pani..

— ...która przyjechała mnie odwiedzić? Taka sobie ciotka. Miesiąc temu – jadłam ciastka w jakimś podejrzanym barze w Cannebière. Zeszłego roku, o tej

porze, gdy nasłuchiwała się aż do oglupienia słowików w Prowansji, uciekła i zatopiła się w religijnej ciszy zatoki Biskajskiej, wśród tancerek fandango i muzykusów grających na cymbałach. Będzie zawsze podróżować. Za granicą, jeśli się na szczęście nie zna języka, wszyscy wydają się genialni; gdy się nie rozumie tego co mówią – zawsze się myśli – jakie to musi być dowcipne! Ale w chwili, gdy zaczynamy coś więcej rozumieć, przekonywamy się, że mówią to samo, co inni... Wtenczas przybija się nową pieczęć na paszporcie, przejeżdża się nową granicę, i w kraju, gdzie mówią innym językiem – znowu powraca to złudzenie.

Stanęli na kruchej kładce, wspartej na chybotliwych kamieniach i zabawnie się kołyszącej.

Melitta nie protestowała, gdy silnie podtrzymał ją ramieniem.

— Ale właściwie dlaczego ja panu to wszystko mówię?

— Ażeby odwlec moment pożegnania. Oboje boimy się tej ostatniej chwili...

Tutaj odezwała się jakaś nuta, jak zapomniany

dźwięk wioli, i kładka zachybotała pod ich krokami.

— Ja nie boję się niczego — powiedziała ostro Melitta.

Zdarzyło się jednak, że powiał właśnie ostry wiatr od lodowców, owionął jej karczek, zaplątał się w kiście sennej brzozy i potracił liście w półzeschłe – oparła się więc mocno o jego ramiona i głowę schyliła na piersi...

Poczuł zapach jej włosów przesyconych mgłą i przygarnął ją drżąca, ciepła, żywa i wargi swe położył, niemal nieświadomie, na karku gładko wystrzyżonym z tej niewinnej a przemyślanej zmysłowości, którą wyznaje całe młode, bujne pokolenie dzisiejsze.

— Nie!... — szepnęła, odrzucając głowę jak trwożliwy ptak, i ofiarowała mu swoją bladą, płonąca twarz i usta pełne namiętności i oczy pełne cichej skargi.

Dziewczyna o złotych włosach, noc otulona we mgły, kładka na potoku który śpiewa...

W dawnych, pięknych czasach, gdy słupy telegraficzne, rzekomy znak cywilizacji, nie profanowały jeszcze dzikich gór – piękne, kochane bajki, które opowiadają sobie prostaczkowie a poeci ubierają w wiersze (kochankowie są poetami, ale bez sztuki

rymowania) – tak się właśnie tworzyły...

— Kochany chłopcze, pan mi ma coś do powiedzenia — rzuciła cichym głosem dziewczyna. — Proszę mi powiedzieć wszystko. Ten mrok przypomina konfesjonał i skłania do pewnych, niewinnych wynurzeń...

Wolnymi krokami zbliżali się do hotelu, który przyzywał ich światłami swych okien i nieco fałszywym dźwiękiem gongu.

* * *

— Szanowny pan wie, że pani kazała sobie podać obiad w pokoju? — pytał dyskretnie ale wymownie maître d'hôtel, zabierając ze stołu drugie nakrycie.

— Czy przysły pisma?

Rozłożył gazetę, i każdą łyżkę zupy usiłował przekładać łykiem zwyczajnej prozy. Ale nie mógłby być chyba powiedzieć, czy studiuje artykuł jednego z tych akrobatów ekonomicznych, którzy na podstawie tych samych cyfr wykazują ostateczny upadek państwa lub – dla odmiany – jego bogactwo takie, że złotem

można by wyklądać ulice, czy też czyta o kompromitacji sławnego artysty artykuł jednego z zawistnych krytyków, którzy mimo niestrawnych chorałów nie mogą dać znaku życia o sobie...

Dwie kobiety wgrzyły się w jego myśl i zmieszały w pamięci: Melitta i znakomita aktorka; kobieta, która przedstawiała jego przeszłość i ta, która mogła rozjaśnić jego jutro; kobieta, która była jego kochanką i ta, która mogła być jego miłością.

Sala jadalna znikła przed jego oczu; ktoś sprzątnął talerz i postawił inny, choć tego nawet nie zauważył; życzył dobrego apetytu gościowi, który właśnie wychodził i pomieszał musztardę z brzoskwiniową marmoladą. Kazał sobie przynieść kawę, a potem wymyślał służącemu, że nigdy jej nie zamawiał. Ale mimo to wypił.

Melitta była ubrana w powiewną sukienkę z zielonego tiulu; nagie jej ręce wyglądały w tym obramieniu bardziej jeszcze bezcielesne, dziecięce. Wydawało się, że owinęła się w miękkie i przezroczyście trawy morskie, które rybacy nazywają warkoczami syreny.

Czy chciałbym ją mieć? — powtarzał w myśli aż do autosugestii, powracając do niedawnych swych wrażeń. — Chciałbym iść ulicami i wchodzić do jarzących się od światła kawiarni razem z tą dziewczyną, która umie tak doskonale dobierać kolory swych sukien, żywe i harmonijne. Ale kochać ją? — Nie!...

Melitta, która siedziała naprzeciw niego, wyciągnęła rękę, ażeby wziąć coś ze stołu, i przechyliła się cała.

Szkielet o złotych włosach — zdecydował Sketch, patrząc na nią. — Podobna jest do jakiegoś owada, ważki: też jest taka długa i zielona, ma tułów płaski, wielkie oczy pełne ciekawości i łapki suche wydłużone, złożone jak do modlitwy.

Naprawdę — do zbyt wielu owadów przyrównywałem już — myślał jakby z wyrzutem sumienia, i dodał z budzącą się tkliwością — ...to drogie, małe zwierzątko.

— Czy obiad dla pani zanieiony?

— Pani położyła się do łóżka.

— Źle się czuje?

— Doskonale, śpi.

Po ostrym kryzysie nerwowym — zasnęła.

Pierwszy amant trupy dramatycznej, który czytywał pilnie rozmaite pisma naukowe, tłumaczył mu ongiś, że drażniący niepokój i groźne parskanie kotów wynika z powodu szczególnego, biologicznego ciśnienia.

— Ciśnienie biologiczne — mawiał nieraz w czasie próby albo burzliwych wieczorów, gdy jakiś artysta pod naporem nerwów zmierzał celowo do awantury.

Sketch przyzwyczał się do tych „ciśnień”; poniekąd stały mu się one potrzebne.

Dziesięć minut porannej rozmowy z kochanką były dla niego zbawienną gimnastyką, która przygotowywała go znakomicie do walki ze światem. Codziennie wstrzykiwała mu ona tych dziesięć minut „pokojowej” kłótni.

— Ta kobieta działa na twoje nerwy podniecająco — mawiał sympatyczny aktor. — Zupełnie jak chloran sodu. Wobec tego potrzeba ci bromu. Brom uspakaja.

Tą dawką bromu mogła być Melitta, dziewczyna, która zjawiała mu się ze źdźbłem trawy w zębach...

Ale brom dłużej stosowany — oglupia.

Owady i dalekie wspomnienia medyczne mieszały się w jego oczach w jedno widowisko.

Dawniej — rozmyślał — nie mogłem kochać innych kobiet jak tylko wulkaniczne. Ale tak wybuchowej niewiasty jak tamta nie spotkam już chyba nigdy. Dziewica, dziewczyna o złotych włosach oto dla mnie jakby szklanka wody mineralnej dla zawodowego alkoholika.

Ale gdybym nawet znalazł kobietę piękniejszą, bardziej czułą i inteligentną, która by mnie zresztą głębiej kochała — zawsze to nie zastąpi dawnej. Kochać kobietę, to znaczy przyzwyczać do niej cały swój system tkanek mózgowych, tak że nie mógłby on pracować bez niej. Każda kobieta, jakby powiedział radiotelegrafista, ma swoją długość fali; nawet gdyby była piękniejsza, bardziej namiętna i zakochana, niż tamta.

A jednak tamta mnie zatruwa. Popycha mnie ku starości. Zmienia oblicze i wartość wszystkich objawów życia. Jest dla mnie jakimś niewytłumaczonym fenomenem, jak złe spojrzenie albo hipnoza. Jest

rodzajem czarodziejskiego na mnie wpływu, który rzuca na mnie uroki swego szału i przerażającego obłąkania; śmieję się jakbym wdychiwał podtlenek azotu, gaz rozśmieszający; jestem smutny jakbym zjadał boliwijską sałatę z liści orzecha. Po jednej z nią sprzeczce jestem podniecony przez szereg dni; irytuję się, wybucham bez żadnego powodu.

Staję się bezdennie śmieszny, gdy chodzę noce całe pod jej oknem i liczę, ile razy przygodny jej kochanek zaświeca światło.

Staję się bardziej jeszcze śmieszny wobec innych, gdy na ich twarzach szukam śladów jej pazurków.

— Zanim zacznę się rozmowę z tą kobietą — ostrzegano go — wskazana jest podskórna iniekcja prezerwatywna...

Został sam jeden w jadalnej sali. Służący pogasił wszystkie światła z wyjątkiem lampy na jego stole. W telegraficznych porozumieniach służby hotelowej oznacza to:

— Szanowny panie, czekamy tylko żeby sobie pan wreszcie poszedł...

Sketch nie ruszył się z miejsca.

Odejść? — Nie, to daremne. Ale nic — nic jest to tak beznadziejne. Tak było, gdyśmy się rozłączali wśród kryzysów rozpacz i obaw, wówczas gdy pożerała mnie dzika zazdrość. Ale dziś, gdy między nami nie ma żadnego rywala, może uda mi się odejść bez tej zazdrości, która pewno sprowadziłaby mnie z powrotem.

Gdyby można było przedstawić naszą miłość w graficznym wykresie — ileż okazałoby się przerw, załamania i powrotów!

Jutro jadę — powiedziała. I wyjedzie, jeśli nie będę jej błagał żeby została.

A gdybym jej tak nie błagał?.

Służący przekroczył granice, nakazane protokołem dyplomatycznym, i zaczął stawiać krzesła na stole z beczelnym hałasem.

— Czy szanowny pan życzy coś jeszcze?

Sketch wstał i wyszedł.

Melitta otulona w miękkie futerko bobrowe, z piąstkami mocno wciśniętymi w kieszenie, schodziła powolutku ze schodów, kołysząc się na każdym stopniu na jednej nodze.

— Dokąd pani idzie, Melitto, z takim..
pośpiechem?

— Kupić papierosy i na obserwację
meteorologiczną...

— O której godzinie rusza pani w drogę?

— Kazałam się zbudzić o piątej.

— Będę pani towarzyszył.

— Dokąd? W góry?

— Nie; do tego obserwatorium
meteorologicznego.

— Chodźmy.

— Ale jutro pani nie będzie mogła wyruszyć.
Proszę popatrzeć, jak obrzydliwa pogoda! Jeśli nie
będzie deszczu, pójdę z panią. Zgoda?

— Idę w góry na parę dni.

— Pójdę też na parę dni. Godzi się pani?

— Zobaczę.

Zaczęli z dziecinną prostotą dzwonić do drzwi
sklepu z papierosami.

Czcigodny starzec z miedzianą brodą ofiarował
milcząco swej klientce paczkę stu papierosów.

— Jaka pogoda będzie jutro?

Staruszek wziął szczyptę soli, sprawdził dokładnie w palcach jej nasycenie wodą, potem podniósł oczy i przez zakopcone szyby sklepiku szukał jakiegoś niewidocznego punktu we mgle.

I wygłosił coś na kształt rymowanego przysłowia w niezrozumiałej gwarze, złożonej z dziwacznej niemczyzny i resztek celtyckiego języka. Melitta zrozumiała doskonale: ulewa pewna.

— Co on powiedział?

— Śliczny, słoneczny dzień — przetłumaczyła.

Pożegnali się.

— A pan nie pali? Zupełnie?

— Ja miałem mamkę Bułgarkę, okrutną kobietę, która w tym samym czasie, gdy podsuwała mi swe cycki, paliła olbrzymią drewnianą fajkę...

Gdy wychodzili, żegnał ich długo rozradowany brzęk dzwonka pełen gadatliwej złośliwości. W pamięci Sketcha odezwał się jeszcze ów dźwięk zwiastujący jakieś nowe sprawy, gdy na ramieniu znalazł złoty włos i długo oglądał go u siebie w pokoju przy lampie.

Całą noc aktorka czekała wśród niepokoju, na który składały się – bezsilność i pożądanie. Usiłowała uczynić się piękniejszą niż zwykle i długo gmerała wśród zalotnych flakonów i puszek z cudownymi kremami. Przyciemniła nawet światło zasłoną z jedwabnej chusteczki, ażeby jej ciało, zbyt dobrze znane kochankowi w tym miękkim półcieniu, roztoczyło przed nim jakieś tajemnice. Ale noc minęła beznadziejnie niema. Ani jeden dźwięk dzwonka, ani jedno ujadanie psa w oddali, ani nawet monotonna piosenka świerszcza (dzwonek, pies i świerszcz każdej bezsennej nocy)... Nawet potok rozigrany przytłumił swe fale, jak gdyby goście z pensjonatu opłacali go tylko, by szemrał i śpiewał w dzień.

Drzwi pozostawiła odchyłone, ażeby przez szparę przeszła smuga światła, jakby umówiony znak dla kochanka; żeby mógł wejść dyskretnie i bez hałasu.

Drzemiała i budziła się, przewracała w męce w półhipnotycznej, którą przynoszą bezsenne noce; wreszcie zasnęła ołowianym snem chorej. Zbudziła się, gdy już był dzień.

Nie poprawiając włosów, nie rzuciwszy nawet okiem w lustro, ubrała szlafrok i pobiegła do drzwi kochanka.

— Otwórz!

Milczenie.

— Proszę cię — otwórz!

Milczenie.

— Proszę cię bardzo, błagam — otwórz. Drogi, kochany — nie trzeba tak...

I chwyciła się drzwi drżącymi palcami, jakby jakiejś zapory, która ją odtrącała.

— Przebacz mi... Co ci zrobiłam? Kocham Cię...

Pod naporem jej ciała ustąpiły słabo zamknięte drzwi.

Pchnęła je raz jeszcze i znalazła się w pokoju Sketcha.

Zapach wody kolońskiej i mentolowego kremu do zębów; łóżko rozrzucone; nieporządek, który wskazywał, że ktoś gorączkowo spieszył się przed wyjściem...

Wróciła do swego pokoju wolnym krokiem, bez słowa i bez płaczu; nie darła chusteczek i nie rozbijała

kryształowych flakonów.

Wybrała wśród uporządkowanych na toalecie drobiazgów jeden zgrabny pilniczek o ręczce z kości słoniowej, i pilnie, ale spokojnie, zaczęła wygładzać drobną skazę na paznokciu draśniętym o drzwi.

Dwie postaci ludzkie wspinały się skalistą ścieżką w przepojonym słodyczą świetle poranku, które kładło się na zaroślach w mglistych arabeskach.

Posuwali się stokiem górskim – dwoje przemytników miłości, którzy niosą skrycie niebezpieczne bogactwo swych złudzeń, i milczą, w strachu, ażeby sam dźwięk głosu ich nie zdradził.

Melitta szła przodem, kołysząc się na swym kiju, roześmiana, jakby w duszy jej rozśpiewała się piosenka jej młodości.

— Jesteś zmęczony, Mauro? — spytała kpiąco, gdy wyprzedziła swego towarzysza o parę kroków.

Sketch uśmiechnął się i dogonił ją.

Nazywał się Mauro Mauri. Ojciec, który powinien mieć wyrozumienie łaskawe dla syna, nie proszącego się przecie na świat, pozwolił sobie na pewną złośliwą grę słów, wybierając mu imię.

Mauro Mauri był pogodny, jakby przeżyty niedawno dramat nie wgrzył mu się w serce i pozostał

gdzieś poza nim. Niepokój zeszłego wieczoru uspokoił się cudownie, roztopiając się w jakiejś bezmyślnej ciszy.

Ból skręcał mu wnętrzności, ale nie uciekał od tego bólu, jakby w stanie pewnej narkozy. Są chorzy, którzy godzą się na śmierć, byle tylko mogli umrzeć gdzieś daleko, i biorą tylko to lekarstwo, które ułatwi im ostatnią drogę.

Wiedział dobrze, że jego bezlitosna kochanka czekała na niego; czekała, ażeby przyszedł ją ucałować, jak to było już tyle razy, gdy rozrzucała swe bujne włosy na poduszce zroszonej tu i ówdzie łzami. A on pozostał w swym pokoju, w jakimś wółprzymnym rozmarzeniu, śledząc w ciemnościach nocy połyskujące wskazówki budzika, które przecinały się, rozłączały i znów zbiegały na fosforyzującej tarczy.

Nie spał zupełnie, ażeby czuwać nad snem własnej swej woli.

W pewnej chwili, na pierwszy brzask budzącego się świtu, wstał jak człowiek zahipnotyzowany, zebrał parę rozrzuconych drobiazgów, wrzucił je do podróznego plecaka i zszedł na ulicę na palcach,

powstrzymując oddech, ażeby przypadkiem nie obudzić swej śpiącej woli.

Melitta, śliczna, cała złota i tryskająca młodością, świeża jak zerwany właśnie owoc, w chłodnym wietrze który rozburzył jej krótkie włosy, oczekiwała go w swym górskim stroju; miała na sobie spodenki z miękkiej, ciepłej wełny w szkocki deseń, które spływały na gołe kolana highlandera, budząc tęskne wspomnienie bębnów i kobzy.

Ruszyli w drogę, rozmawiając w długich przerwach o rzeczach odległych od ich miłości.

— Co pani włożyła do tego tak wypchanego plecaka?

— To wszystko, czego pan pewno nie zapakował do swego.

Okute końce kijów uderzały rytmicznie o kamienie. Melitta szła przodem, Mauro o dwa kroki z tyłu, częściej patrząc na nią niż na drogę: między złotymi lokami, rozwichrzonymi przez wiatr, i kołnierzem aksamitnego kubraczka, rysował się różowy pasek ciała, okryty jasnym puszkciem.

Na nieboskłonie kładła się girlanda chmur,

niezdecydowanie przesuwających się z miejsca na miejsce.

Zeszli wzdłuż urwiska, przebrnęli spieniony potok i zaczęli się wspinać na stok przeciwległy. Przejście wśród gromadki domów małej osady wywołało twarze zaciekawione w ciemnych obramieniach drzwi, a kury drepczące koło studni rozbiegły się w popłochu.

A później – znów pustka.

Druga wioska; z małym cmentarzem, na którym wśród porośniętych bujną trawą grobów uganiały dzieci.

— W tym kraju dzieci nie boją się śmierci — zauważył Mauro, patrząc przez płot. — Te dzieci są bliższe natury niż my i może dlatego czują nieświadomie, że cmentarz jest milczącym laboratorium, w którym śmierć zmienia się w życie.

— Słusznie — padł głos z tyłu.

Był to staruszek, który kopał grób. A zamiast śpiewać, jak grabarz z Hamleta – popijał.

— Dzień dobry, mistrzu — pozdrowiła go Melitta, zwracając się ku niemu.

Stary (majster, wójt, grabarz i stróż przedsiębiorstwa hydroelektrycznego) wsparł

owłosioną brodę na kiju łopaty i rzucił sentencję:

— Nie boją się one życia, gdyż nie wiedzą, że jest to dolina łez..

— Dolina łez, ale skanalizowana — kpiła Melitta, wskazując laską na przewody hydroelektryczne.

— Jeziora, potoki.. — objaśniał z szerokim gestem filozof, który nad tym wszystkim czuwał. Wody tu jest dużo.

— Ale się jej nie pije — rzucił Mauro.

— Czegóż pan chce? Lekarz kazał mi jeść winogrona, ale bez łupek i pestek: każe więc je wyduszać, a gdy się płyn ostoi dwa miesiące — piję.

Melitta odrzuciła w tył głowę dziecinnie roześmianą i przeczytała na nagrobku wpół przetarty epigraf:

Un peu de fête,
beaucoup de deuil;
depuis un cercueil,
et la vie est faite.

— Wszystko to przesada! — zawołała. Po czym skinęła zgrabnie głową i pociągnęła Maura za ramię.

— Wcale sympatyczny, ten nadzorca trupów.

— A tutaj mieszka ten, który zaopatruje go w towar.

Była to mała zgrabna willa z balkonem, na którym kwitły gerania.

— Lekarz — objaśniła — to jeszcze większy sceptyk niż ten stary. Zawsze ma trzy recepty gotowe: na ból głowy, na ból żołądka, ostatnią na wszystko inne. Gdy ktoś wzywa go w nocy, żona przez okno pyta o symptomy choroby i zrzuca tę lub inną receptę. Rankiem małżonek idzie bez pośpiechu do domu chorego i przepisuje kurację. A gdy wydaje mu się, że już nie warto go ratować, wypisuje bez skrupułu zaświadczenie śmierci i zezwolenie na pogrzeb, zostawiając in blanco miejsce na datę, którą wypełniają krewni, gdy się Panu Bogu spodoba.

Szli już dwie godziny.

— Mauro, jest pan głodny?

— Nie, mam pragnienie.

— Nie trzeba pić w drodze.

I przybrała ton rozkazujący, poprawiając mu krawat.

— Chce pan kawałek cukru?

— Nie.

— A pocałunek?

— Tak.

— Za wcześnie. Jesteśmy jeszcze poniżej tysiąca sześciuset metrów.

Trzoda owiec ukazała się na stoku górskim. Niektóre z nich rozpięzły się strwożone; mniejsze jednak zbliżyły się do Melitty, która zapraszała je wyciągniętą dłonią. Otoczona ze wszystkich stron stłoczoną falą białej wełny wydobyla z plecaka spory kawał chleba i podała go śmielszym do gryzienia.

— Rozkoszne są pyszczki tych stworzeń — mówiła Melitta, myjąc sobie dłoń w czystej wodzie strumyka. — Dotknięcie ich budzi wilgotny dreszcz, roznosi się po całej skórze i pieści ją. Kiedy byłam dzieckiem, uważano mnie za zdegenerowanego potworka, gdyż nie uczyłam się muzyki, nie patrzyłam na obrazy i do rozpuku śmiałam się z poezji; ale za to doznawałam dziwnych rozkoszy, gdy dotykałam miękkich jedwabiów, owoców o aksamitnej skórcie i w ogóle rzeczy delikatnych, łagodnie drżących; jak

choćby końskie chrapy. Pieściłam chropowate gałęzie roślin w Kalkucie, gdzie ojciec był konsulem; i zdawało mi się, że dotykam szorstkich łap słonia. Rozmyślałam też często, w jaki sposób z grubego, twardego pnia, mogą wyrastać tak wiotkie kwiaty i tak mięciuchne owoce. Dłubałam w skorupach, żeby odkryć tajemnice tam ukryte i całowałam skrycie subtelne gammy, delikatniejsze od ust dziecka. Moja biedna mama mówiła, że mam oczy na końcach palców, jak ślimak ma je na końcach swych rożków.

Mauro milczał, ogarnięty fatalizmem tej swojej górskiej wycieczki i dziewczyną tak wiotką i jasną, jakby była nierealną zjawą z mitologii północnej; tak przynajmniej mówią ci, którzy nie znają mitologii, ani północy, ani południa. Nie wiedział zresztą, jaki był cel wycieczki. Skały w wysokich górach? Pustelnia czy wreszcie wioska po drugiej stronie grzbietu?...

— Uwielbiam wysokie szczyty — przyznawał się głośno — szczególnie gdy kolej zębata może nas przenieść na sam wierzchołek. Podobają mi się wieczne śniegi, kiedy mogę je oglądać z tarasu hotelowego, spoczywając na wygodnym leżaku i popijając dobrą

czarną kawę espresso. Ale zdzierać sobie nogi na skałach, ślizgać się nad przepaściami, spać w dzikich schroniskach i przebierać się za Eskimosa, a potem wracać z wycieczki z chorobą żołądka i odrapaną skórą – to naprawdę poświęcenie, jakiego nie są warte skały, nawet dziewicze, ani śniegi, nawet wieczne. Nie mówmy o tym alpinizmie szlachetnym, snobistycznym, namiętnym, melodramatycznym lub zajadłym, z niebezpieczeństwem życia w znakomitym programie! Jakże można brać na serio ów rzekomy fanatyzm tych wydelikaconych, gładkich, randkowych panów, którzy w mieście nie wejdą na pierwsze piętro bez użycia windy, a tutaj wloką się milami po ścieżynach górskich, obciążeni nadto wyładowanymi plecakami?

— Należałoby sprawdzić — uspakajała Melitta, użyczając mu ramienia w trudniejszym przejściu — czy prawdziwie czują lub żyją tutaj czy w mieście. Można przecie przyjąć że, zepsuci wielkomięjskim życiem tutaj właśnie porzucają swe ozdóbki i wygodki, i oczyszczają się na górskich szlakach; że po prostu lepiej czują się w ostrym powietrzu gór niż w mieście w swych zacisznych mieszkaniach. Absurdalne? A czy nie

sądzi pan że właśnie piękne rzeczy są nielogiczne? Czyż nie jest absurdem że my oboje w tej właśnie godzinie – znajdujemy się na tej ścieżce?...

Zatrzymała się, szukając dalszej drogi. Posunęła się o parę kroków naprzód, sprawdzając grunt skalisty.

— Mauro rzekła wreszcie, odwracając się, ażeby mu łatwiej było zdjąć plecak. — Czy widzi pan węzeł? Proszę go rozwiązać.

— Rozwiązany.

— Co tam jest na górze?

— Czekolada.

— Wyjmij czekoladę. Co dalej?

— Herbata.

— Wyjąć herbatę. Co dalej?

— Gaza, jodyna, brzoskwinie w syropie.

— Wyjąć to wszystko! A co pod spodem?

— Żółta koperta.

— Włóż z powrotem brzoskwinie, jod, gazę, czekoladę i herbatę, i daj mi żółtą kopertę.

Mauro, spełniwszy wszystkie rozkazy, ucałował ją w kark, w chwili gdy z komiczną powagą studiowała mapę wojskową.

— Proszę nie przeszkadzać sztabowi generalnemu w pracy!

Włożyła mapę do żółtej koperty:

— Włóż do worka i tę mapę. A teraz chodźmy dalej. Tędy.

Anemiczne kwiatki ciepłą falą ścieliły się wśród kamieni.

— A może byśmy tak usiedli?

— Ależ doskonale, mój drogi, i zjemy brzoskwinie, dobrze? Czy nie włożyłeś puszeki zbyt głęboko? Oto jest. Czekał – ja sama otworzę: to bardzo proste. Już otwarte! Poszukaj łyżeczki. Popatrz lepiej; nie widziałeś jej? Ty zaczynasz – jesteś przecie gościem. Otwórz buzię i zamknij oczy... Dobrze? A teraz jedna dla mnie. Ale powoli, łakomczuchu! Jedna dla ciebie; jedna dla mnie... Smakuje ci syrop? Popatrz, popatrz! Pszczoły! Czy nie chcą mnie ukłuć? Ach obrzydliwe! Usadowiły się na brzegu puszeki.

— To dwie pszczoły z ostatniego syropu. Pewno deputacja od twoich górskich siostrzyczek, wysłana żeby cię pozdrowić.

— Dzień dobry, szanowna deputacjo. Mogły

jednak przysłać dwie królowe a nie robotnice.

— Widocznie to deputacja robotnicza.

— Nie mam zbytniego zaufania do moich złotych sióstr, rodzinie też jest możliwe siostróbójstwo. Zostaw im puszkę i chodźmy dalej.

Na progu chatki z epoki troglodytów ukazała się mała trzyletnia dziewczynka, różowa i pełna jak jabłuszko. Jej matka, wysoka silna kobieta, kopiała pilnie na skrawku ziemi, gdzie rosły cztery kłosa owsa, jakby jałmużna rzucona między te kamienie.

Mała uśmiechała się i szczyrzyła usteczka, rozwarte jak otwór skarbonki.

Skarbonka, która czeka na słodki podarunek.

Nie podziękowała za upominek i nie podniosła go do ust, ale trzymała go w rękach i podziwiała w ekstazie...

— Czy myją ci czasem buzię? — spytała dobrodusznie Melitta...

— Nie — odparła mała, z oburzeniem odpierając tę niecną insynuację.

— Chodźmy! — zawołała Melitta. — Jesteś zmęczony?

— Nie. Może raczej ty. Taka jesteś wiotka, krucha, powiewna...

— Ha-ha. Może powiesz jeszcze – niematerialna, niedotykalna?...

— Gdybym miał cię wziąć w ramiona – bałbym się że cię zgniotę.

— Patrzysz na mnie jak na szklane cacko z Murano. A ja wiem że jestem silna. Zobaczysz. Moja siła woli wystarcza dla mnie i dla innych.

— A ja nie mam tej siły nawet dla siebie. Brak mi woli, brak decyzji. Gdybym był bardzo bogaty, wynająłbym człowieka który by myślał za mnie i narzucał swoją inicjatywę i wolę; obmyślałby podróże, wybierał krawaty i kładł mnie do łóżka. Zamiast wynająć służącego, chętnie wynająłbym tyrana. Lepiej mieć tyrana niż niewolnika. Wierzyłbym wówczas, że to ja spełniam rozkazy – a w rezultacie on podlegałby mojej woli, ukrytej i potencjonalnej – dając jej żywe kształty i aktualność.

— Jakież to kabalistyczne wyrażenia! — wykrzyknęła Melitta. — Przypominasz mi senatora z naszego pensjonatu, który co wieczór fryzował sobie

czcigodną brodę i spał siedząc, ażeby nawet we śnie nie tracić swego hieratycznego wyglądu. Obraziłam cię? Nie gniewaj się. Gdybyś znał mnie lepiej, pewnie byś mnie zrozumiał. Ja ubóstwiam ludzi szczerych. Szukam ich wciąż w mojej włóczędce, ale nie mogę ich znaleźć. Stworzenia nadzwyczajne stały się tak pospolite, że znaleźć pospolitą kobietę jest dziś rzeczą nadzwyczajną. Wszyscy usiłują być jak najbardziej skomplikowani, sceptyczni. Sceptycy podobają mi się przez krótką chwilę, ale po pierwszym ich paradoksie już ich nie słucham. Sceptycyzm wydaje mi się zamaskowaną szczerością, jakimś alibi głupoty; dostaję po nim niestrawności. Podobają mi się ludzie prości, prymitywni, pełni przesądów, którzy wierzą w linie życia i śmierci na dłoni, a w muszli słuchają szumu oceanu. Nie znoszę panien z mojej kasty. Wszystkie one nieznośnie pozują, niby że mają duszę spiralną, zawiłą jak labirynt, a tragedią ich jest, że nikt ich nie rozumie. W rezultacie zaś są bezpiecznie głupie i powierzchowne. A że mnie w istocie nie rozumieją, tym bardziej ich nie cierpię, gdyż boję się uchodzić w ich oczach za podobną do nich.

— A kto pani nie rozumie?

— Moja rodzina. Dlatego włóczę się po świecie. Dlatego zbliżyłam się do ciebie, bo i ty nie jesteś szczęśliwy.

Mauro chciał usiąść. Złożył plecak, oparł się o skałę. Miał ręce zimne, oczy zamglone, a zmęczone powieki opadały mu bezsilnie.

— Tylko nie spać — prosiła go Melitta. — Nie spać. Ruszaj się, mów — rzuciła rozkazująco. — Proszę mi dać coś ze swoich rzeczy.

Przerażało go widmo górskiej choroby. Byli na znacznej wysokości, w milczącej rozpadlinie, daleko od wszelkich ludzkich osiedli; wśród nagiej pustki skał i zeschniętych krzewów, pod ciepłą ulewą słońca.

Melitta widziała całą swą beznadziejność z tym bezwładnym ciałem w ramionach.

— Zbierz siły, Mauro! — Wstań, jeszcze parę metrów, a później się już schodzi.

Otworzył oczy i podniósł się bez słów. Wsparty na ramieniu swej towarzyszki szedł ciężko, zlany potem, ku szczytowi który wydawał się bliski, ale oddalał się z każdym krokiem. Za ostatnim zakretem ukazał się drugi

szczyt, strzelający w niebo jak grot, poza którym było tylko turkusowe niebo i stok łagodny, pełen świeżości.

— Oto tam — krzyknęła radośnie dziewczyna, wciągając powietrze szeroko otwartymi ustami.

Wyszli na nagą wyżynę, pełną zapachu roślin, małych i splecionych, jak tkanina bogatego dywanu smyrneńskiego, ustrojonego w białe kosmyki, pokreślonego polichromią, która oglądana z bliska przypominała geometryczną symetrię kwiatnych kielichów.

— Patrz — widzisz tam w dole?

— Jezioro. Nie wygląda większe, niż zwyczajny tub.

— A biała kostka na brzegu!

— Też ją widzę. Wygląda na małą kabinę.

— To jest schronisko. Tam się zatrzymamy.

Zeszli na brzeg roślinnego dywanu, gdzie zaczynało się zejście: skrawki papieru, łupki z jaja, paczka z klisz do kodaka zdradzały że tędy przeszedł niedawno cywilizowany człowiek.

O ileż lepsze wydawały się plecaki, i świeższe powietrze, w obliczu tego turkusowego jeziora, które

wciąż się zwiększało i stawało się coraz bardziej przezroczyste!

— Ma się ochotę wypić je do dna przez słomkę jak lemoniadę!

Szkockie spodenki dziewczyny, tu i ówdzie poznaczone drobnymi odłamkami, układały się w miękkie fałdy na jej gibkich nogach, które żwawo przeskakiwały z kamienia na kamień i w zgrabnych łukach kreśliły swą drogę.

Na progu małego domku siedziały dwie drobniutkie dziewczynki, patrząc ciekawie na przechodzących.

— Dzień dobry — zawołała Melitta, wciskając w rękę jednej z nich nieodzowną monetę — czy wolne są dwa pokoje od strony jeziora?

Zrzuciła plecak i zerwała beret, rozsypując swą uwięzioną dotychczas burzę włosów koloru chartreuse. Wiatr wzdymał jej białą bluzę.

— Zgrzałam się, Mauro. Proszę mi narzucić mój płaszcz.

Mauro milcząc podziwiał góry
i jezioro,
i milczenie nieziemskie,
i zwał śniegu, który przegłądał się w wodzie
zmarszczonej podmuchem wiatru,
i dostojny lot orłów,
i nieskończoność
— jak piszą młodzi autorzy, którzy mają więcej kart
do zapisania niż myśli do wyłożenia.

* * *

— Decydujesz się na kurczę?
— Owszem.
— Z sałata w sosie à la Pitagoras?
— Pitagoras miał gusta profesora matematyki. Nie
cierpię tego.
— A więc z grzybami?
— O ile nie ma zbyt wyraźnego niebezpieczeństwa
śmierci.
— Zrobiłam sama wywiad w kuchni i dostałam
nienaganne informacje.

— Czy robiono też próby chemiczne?

— Są próby, którymi niczego nie można wypróbować. Jedyne jest tylko sposób: dać skosztować bliskiemu krewnemu...

— Ale są krewni, którym by nawet grzyby trujące nie uczyniły żadnej szkody. Jak wygląda kuchnia?

— Ostatni krzyk nowoczesności.

— Czysta?

— Sterylizowana. Idę wydać polecenia.

Mauro siedział przy stole i oglądał się wkoło jakby zdziwiony, że znalazł się w tym rodzaju refektarza urządzonego z rozbrajającą prostotą: szerokie stoły wsparte na kozłach i obrusy z grubego, ale niepokalanego płótna; tu i ówdzie ławki.

Na ścianach nie było żadnych kalendarzy ani afiszów zapraszających do spróbowania tego lub innego likieru, nie było też obrazów ze sceną z Otella, ani portretu Menelika z Abisynii.

Dwa okna otwarte na lodowiec.

Uciekł w poczuciu instynktownej obrony; nieświadoma, automatyczna siła popychała go w czasie całej drogi. Nie wiedział, dokąd idzie, nie znał

miejsowości, ani nazw. Wydawało mu się, że przerzucał jakąś książkę przyrodniczą: najpierw przeszedł brzozy, potem obszar zeschniętych liści, potem rdzawe rododendrony; potem przedzierał się przez zwał świerków i jodeł, aż zaczęły się sploty karłowatych ożyn – a najdelikatniejsze fiołki były rozsiane wśród wrzosów i mchu.

Początkowo zdawało mu się, że popełnił jeden z tych żartów żakowskich, które przebacza się, jeśli więcej tego nigdy nie zrobisz. Rozłączenie się z aktorką było nieodwołalne: nie mógłby już wrócić przed jej wyjazdem; nie wiedział zresztą, gdzie jej szukać. Niewyraźnie tylko wspominała, że chce pojechać do Paryża w sprawie sukien, a później do Pragi, ażeby zawrzeć kontrakt z czeskim reżyserem, ultraimpresjonistycznym i hipermetafizycznym, o inscenizację nowej komedii chirurgiczno-muzykalnej pod tytułem Pchła w uchu, agonia w trzech aktach z religijnymi tańcami zespołu Nikotyń i Karczoff.

Usiłował zdusić pierwszy napływ trwogi, wywołując wszystkie udreki, niepokoje i spazmy, dzięki którym kobieta o perwersyjnych nerwach

doprowadziła ich miłość do dramatu.

(Melitta szła przodem, kołysząc biodrami w swych szkockich spodenkach; jednym susem przesadzając szemrzącą wstążkę potoku).

Szli już całą godzinę, gdy przyszła mu myśl, żeby rzucić plecak, zawrócić, i pobiec do aktorki, tej czarującej fałszerki sentymentalnych bilansów, która wyuczyła go ułamków i całek miłości; do tej kobiety niewiernej a wypięknionej jak przywilej, tragiczki żyjącej coraz to innym życiem. Ona to przecie przyciągnęła go dzikim czarem, otumaniała swoją genialnością w półhistoryczną i wyuzdaną naturą, zmienną, kapryśną – przygniatając swoją namiętnością i nerwami o sile napięcia pięćdziesięciu tysięcy kilowoltów; ona oczarowała go błyskotliwością swego miłosnego języka, pełnego obrazowości i dźwięku, którym nie umiałaby mówić żadna inna kobieta.

(Melitta szła brzegiem zachwaszczonym dróżki, taka jasna, taka lekka, ocierając sobie od czasu do czasu różową chusteczką karczek posypany złotym puchem).

Wszystko skończone. Wszystko skończone

— powtarzał sam do siebie. — Więcej jej nie zobaczę. Co gorsza: będę ją mógł widzieć, kiedy tylko zechcę, ale nie będę mógł z nią mówić. I będę ją widywał w największych jej chwilach – na scenie! Po przedstawieniu przejdzie koło mnie, nie patrząc – ale z innymi; będzie piękna – dla innych, pełna wykwintu – dla innych, giętka i wyuzdana: uosobienie bezpłodności! Spojrzy na mnie szarymi, olbrzymimi oczyma, w których palą się metaliczne cętki.

(Melitta przed nim rozglądała się, spojrzała na mapę, potem na zegarek).

Odda swą słodycz i swoją neurastenię komu innemu. I ten inny będzie prowadził na spacer jej pieska, będzie znosił natręctwo i niezadowolenie pismaków, będzie pośmiewiskiem pierwszego bohatera, tego, który nosi zawsze w kieszeni gramatykę norweską i pisma naukowe; tego, który mi mówił na pocieszenie: biedny mój przyjacielu – ta kobieta zapala się, nawet gdy jej nic podniecasz, gdyż sama ma w sobie siłę ognia jak fosfor.

Miej cierpliwość – powie do drugiego amanta ów aktor z medycznym zboczeniem – Ona nie ponosi

winy; to wiek krytyczny, wigilia zupełnej dekadencji; patrz tylko na objawy: nierównowaga hormonów, niedostateczność jajników, słowem: symptomy zbliżającego się wyschnięcia płciowego. Cierpienia kobiety są najsilniejsze w okresie pełnej dojrzałości i w krytycznym wieku: konwulsje nerwowe, napady płaczu i gniewu są tylko odpowiednikiem epilepsji.

A druga ofiara odpowie: ale czy wydaje ci się rzeczą ludzką, ażebym ja oddawał mój spokój na łup niewystarczalności jej jajników i nierównowagi hormonów?

Ale mimo to pozostanie przykuty do niej, w stanie duchowej katalepsji, w złudzeniu, w tej hipertrofii złudzenia, która dała mi siłę życia aż do tej chwili.

Melitta wyprowadziła go tutaj z beztrąską lekkością dziecka, wśród przemyślnego gadulstwa, pobudzając go anegdotami, pieszcząc mu twarz i serce długimi palcami, niewinnymi jak u zakonnicy ale zbrojnymi w różowe ostre pazurki. A gdy doszli do tej białej gospody nad śpiącym jeziorem, szybko przemieniła swój pokój, rozpylając perfumy i paląc jakieś japońskie kadzidło; na prostym stoliku z

wdziękiem ustawiła wiązanke żywych kwiatów, szkatułki srebrne, książkę oprawną w skórę, ramkę szylkretową, kwiat zerwany po drodze, krzyżyk z topazów – i złożyła swoją najbardziej intymną bieliznę, delikatną i zalotną. (Nawet gdy się jest dziewczyną, nie trzeba koniecznie ukrywać swej dziewiczości w grubych majtkach z barchanu).

Biedne i nagie łóżko ożywiła, rzucając na nie, jak zmieszany pęk żółtych i czerwonych kwiatów, swe sukienki z krepdeszynu.

Niektóre kobiety, gdziekolwiek się zatrzymują, choćby na krótko, mają cenny dar przetwarzania swego mieszkania na zaciszny, pełen wdzięku kącik.

— Masz apetyt, Mauro? Bo ja tak. Co mówisz? Nic? Trzeba mieć apetyt. Ja tak chcę. Masz apetyt?

— Tak.

Stała przed nim, gdy jednocześnie jedna z dwóch usługujących niewiast odkryła dymiący półmisek.

— Nie patrz tak na tę rumianą dziewczynę – tylko jedz!

— Nie mam takich sielskich zachcianek

— uśmiechnął się Mauro.

Z wielkim hałasem weszły do pokoju dwie pary butów, podbite solidnie żelazem i unurzane w czymś tłustym.

Z butów tych wyrastały dwie długonogie postaci turystów angielskich odzianych w knicken-bockery: mężczyzna i coś, co po głębszej obserwacji wyglądało na kobietę. Wstrzymali się nawet od tego mruknięcia zamrożonej fokii, które u anglików za granicą zastępuje pozdrowienie.

Czterech czarnych młodzieniaszków o spalonych słońcem twarzach zjawilo się na progu w obcisłych pończochach; jakby na komendę podnieśli ręce do czapek ze zwróconymi na zewnątrz dłońmi.

— Francuzi — szepnęła Melitta.

Napełnili całą izbę krzykliwym żargonem rozmów strzeleckich i, tłukąc o stół fajkami, hałaśliwie upominali się o wino:

— Du pinard!

* * *

Melitta i Mauro wyszli z gospody; pożądali ciszy.

Przed nimi kładł się pochyły stok jakby gładkiego filcu spływającego do jeziora. Melitta przypomniała sobie, że w oknach wystawowych modnych sklepów widziała złote rybki pływające w akwarium zaimprovizowanym na fałdach płaszcza, ażeby zademonstrować nieprzemakalność towaru. To ciche jezioro wyglądało jak odrobina wody chwyconej w zagłębienie suchej tkaniny, rozciągniętej u podnóża górskiej korony, korony fantastycznej, na której połyskuje błękit lodowców, a groźne grzbiety agatowej moreny łączą się ze szmaragdową pogodą hal.

(Ten idiotyczny opis wylizany i szlachetny odpowiada smakowi pospolitego policjanta. Dla panienek studiujących i tkliwych dołączyłbym jeszcze kropki i daleki... płacz... dzwonów).

Ogarnął ich budzący się powiew wiatru, obciskając suknie z wybitną umiejętnością modelowania ciała na piersiach, tułowiu i nogach Melitty.

Gdy znaleźli się nad brzegiem jeziora, w cichym zakątku, pełnym słońca, tego słońca pieścizotliwego, które posypuje iskrami trawy i budzi brzęk koników

połnych – dziewczyna rozciągnęła swój płaszcz na ziemi.

— Oto jest miejsce dla nas obojga.

Ona usiadła po turecku na skrzyżowanych nogach, Mauro wyciągnął się obok, oparłszy się na łokciu.

Na wprost jego twarzy, którą wsparł na ręce, otwierała się przełęcz, którą niedawno zeszi.

Dziewczyna patrzyła tam, milcząca, nieruchoma, omal nieobecna.

— Muszę ci jedną rzecz powiedzieć, Mauro. Milczałam dotychczas, nie dlatego, żebym nie śmiała ci wyznać, ale że nie wydawało mi się to pilne. Mogłam ci powiedzieć o tym wczoraj wieczorem albo tego ranka w czasie wycieczki, albo wreszcie przy stole. Ale zdawało mi się, że lepiej to odłożyć, gdyż mógłbyś nie iść dalej ze mną.

— A więc?

— Muszę odejść i zostawić cię na parę godzin.

Obrócił się na boku i spojrzał jej w twarz. Potem wrócił do dawnej pozycji, spojrzał na przełęcz otwartą jak ramiona, które go zapraszały, i opuścił twarz w dłoń.

Nie płakał. Ale ramiona jego i plecy podrywały się jakby w spazmatycznym skurczu.

— Która godzina?

Spojrzała na zegarek: druga. Ale nie odpowiedziała.

Przysunęła się bokiem do niego, dotykając pierś jego ramienia; usiłowała podnieść mu twarz, wcisnąć między policzki i ziemię swe ręce — ale on pozostał niewzruszony, z ustami w trawie, jakby chciał wagnać do ziemi wszystkie łyzy, które z ziemi, to jest ciała, wybuchły.

Melitta wcisnęła między jego twarz i dłonie własną twarz, mieszając do jego rozpaczliwej boleści zapach swej młodości, cały wdzięk swej duszy.

I całując jego wpółukryte skronie i policzki wilgotne od spływających łez, szepnęła cicho:

— Płacz, biedny Mauro, płacz.

* * *

A tam na dole, o piątej godzinie, kilku służących pełnych uszanowania półdyplomatycznego, a

półpederastycznego, zęgnął autobus pełny kurzu i kufrów.

Gromadka panien, o inteligencji płytkiej jak ich pantofle tenisowe, usiłowała odgadnąć pod gęstą zasłoną wyraz oblicza samotnej damy, która odjeżdżała.

* * *

— Ale teraz już nie płacz więcej. Nie, nie zostawię cię; tutaj zostanie twoja Melitta. Nie, nie, już nie pójdę...

Ze schroniska, które było ongiś zameczkiem myśliwskim króla, a teraz nosi pompatyczną nazwę hotelu, i gości marzycieli, którzy chcą się wdrapać ponad mgły — dobiegał śpiew czterech młodych Francuzów, którzy z rowów strzeleckich zachowali swą gwara i piosenki.

Śpiewali Madelon.

Kłęby żółtej mgły ścieliły się między skałami moreny.

Na zawrotnej wysokości, ekipa orłów rozpoczęła

popisy akrobatyczne w słońcu, które udawało reflektor. Latały w łagodnych spiralach, obracały się w śmiałych ewolucjach, opuszczały się całym ciężarem jak ciała bezwładne, żeby w pewnym momencie podjąć lot i wzbicić się jeszcze wyżej w powietrze.

(Jeśli to nie były orły – to wszystko jedno. W każdym razie nie były to sikorki).

Z oddali biegł jowialny refren żołnierskiej miłości:
— Madelon!...

A słońce skryło się nagle za najwyższym grzbietem, ustrojonym w czerwoną koronkę, zostawiając chłodny powiew po sobie.

Melitta miała ręce zimne i zdawało się, że je zanurza w liliowym zmierzchu.

— Wracajmy.

* * *

Czterej młodzi ludzie odeszli. Anglik, z fajką w długich zębach, czytał Biblię, rzucając na jej karty błuzniercze kłęby dymu; jego towarzyszka przygotowywała tartinki z marmoladą, masłem i

miodem.

— A gdybyśmy tak wypili herbatę? — zaproponowała Melitta. — Idę do kuchni ją przygotować. Znajdziesz w moim pokoju białą paczuszkę i żółty flakon.

Znalazł biszkopty i rum. Zanim jednak wyszedł, spojrzął na czerwony stolik przemieniony w kącik pełen wdzięku: kwiaty, krzyżyk z topazów, ramki z jasnego szylkretu z fotografią mamusi, szkatułka srebrna i...

Jakiś dziwny acz pospolity przedmiot owinięty w papier: rodzaj pudełka z zapalek, złożonego z płatków staniolu ściśniętych na płatkach parafiny.

Mauro oglądał go ze wszystkich stron i ważył go w rękach po czym z paczką i butelką powrócił do jadalni, białej, klasztornej a pięknej jak refektarz.

Pili herbatę. Melitta prosiła Anglików, by wzięli trochę rumu: para angielska ofiarowała w zamian marmoladę z malin, i przypomniała słońce Rzymu, fontannę z żółwiami i karczochy po żydowsku, które się jada u Piperna w pałacu Cenci. Melitta okazała dużą znajomość ekscentrycznych zwyczajów księcia Walii, wyrażała swoją tęsknotę za Tamizą i dyskutowała o

mumiach ostatnio sprowadzonych do British Museum.

Mauro zaś rozmyślał: o tej godzinie pewna zawołowana dama jechała nie wiadomo dokąd, ażeby spotkać niewiadomo kogo.

Posiłek wieczorny nie był długi ani wesoły przy drżącym

świecie naftowej lampy. Noc była chłodna i mglista.

Dziewczyna chciała, ażeby Mauro wziął proszek na uspokojenie; sprawdzała, czy łóżko, na którym miał spać, było wygodne, miękkie i dobrze pościelone. A gdy się jej zdawało, że lekarstwo zaczyna działać na jego nerwy, odeszła do swojego pokoju.

Ale Mauro nie spał.

Zmęczenie, przeżyte wzruszenia, środek uspokajający – zamgliły mu umysł i wywołały nerwową senność. Fantazja jego wywoływała wciąż wizje rzeczy przeszłych i obecnych splecionych w dziwny koszmar, w którym zjawiały się wielkie, szare oczy o żółtych żyłkowaniach i dwa rzędy lampek z boku sceny zalanej złotym światłem. Czuł, że wznosi się w górę ponad klaskający tłum, na skrzydłach czarnych orłów, które latały w amfiteatrze gór nad małym, lazurowym

jeziorem.

— Melitta! — wyrzucił z gardła spalonego gorączką.

Nikt nie odpowiedział. Być może że spała, gdy on w opustoszałym pokoju dawnego zameczku, pustym jak lazaret, wykręcał sobie dłonie, pożerany budzącą się namiętnością.

Ja jestem, jak te lalki — mówiła przedtem Melitta — które położone, automatycznie zamykają oczy.

Wstał z łóżka. Zbliżył się do drzwi, zapukał.

Nikogo.

Przesady utrwalone we współżyciu z aktorami zaostrzyły się, zaczęły go męczyć. Myślał o zemście, o karze losu. Tamta kobieta o żółtych źrenicach miała w spojrzeniu jakąś magiczną siłę. Ona także przed kilkunastu godzinami pukała do pewnych drzwi prosząc:

— Sketch!

Ona także, otworzywszy drzwi, nie znalazła nikogo.

Mauro zawołał raz jeszcze:

—Melitta!

Milczenie. Znad sufitu ktoś chcący widocznie spać

zastukał

mocno trzy razy.

Czekał, wstrzymując oddech, i oglądał się wkoło; potem pchnął drzwi, oświetlając pokój drżącym światłem swej lampki.

Łóżko było nieruszone. Wszystkie drobiazgi Melitty na miejscu. Wstażki, srebrna szkatułka, krzyżyk z topazów, suknia z krepdeszynu strojna w chryzantemy. Sprawdził wszystkie przedmioty jeden po drugim. Tajemniczego pudełka z płatków staniolu nie było.

Ubrał się szybko, zawinął się w płaszcz i wyszedł w ciemną noc, wołając półgłosem. Nie mogła przecież zbyt daleko się oddalić. Była niedaleko, a wśród tego milczenia musiał ją odnaleźć.

— Melitta!... Melitta!...

Obszedł wkoło domu, wrócił do pokoju, wyszedł, wołał ją znowu; błąkał się w ciemności tu i tam, koło domu, w stronę jeziora, w stronę gór; zdawało mu się, że się zbyt daleko oddalił – i natknął się na mur; ruszył ostrożnie ścieżką, wdepnął w potoczek, zobaczył coś połyskującego w ciemnościach: szyba jeziora? Ruszył

znowu z wszelkimi środkami ostrożności, przywołując Melittę – daremnie.

Tak błąkał się w pustce i ciemności godzinę, dwie, kto wie zresztą ile! Czuł się samotny, jak gdyby wszyscy ludzie znikli z Ziemi, a on został ostatni, ażeby patrzeć na to rozpaczliwe opuszczenie.

Bał się, nie ciemności, ale milczenia.

Milczenie.

Co mógł czytać tamten człowiek w Biblii? I te ptaki czarne, które nad głową zakreślały kabalistyczne kręgi, jakby chcąc mu narzucić koronę męczeńską!

— Melitta!

Mrok, monstrualne zarysy gór, jeziora, jakby kamień grobowy z kryształu.

Uporządkował myśli, zebrał wszystkie siły.

Melitta nie mogła odejść zupełnie. Dlaczego by zostawiła wszystkie swe rzeczy? Dlaczegoż odeszłaby, nie mówiąc ani słowa? A później – dokąd? W nocy, przez te niewidoczne ścieżki, o tyle mil od najbliższych miejsc zamieszkania?

Szukał drogi ku domowi; zdawało mu się, że idzie dobrze; postąpił parę kroków, zawrócił: to nie tędy.

Wyteżył słuch: szmery? głos?...

Nic.

Błąkał się tu i tam. Szedł niepewnie, potykając się.

Robaczek świętojański.

Był jak człowiek, który śni niespokojny sen – ale nie może się obudzić.

Nie. To nie był robaczek świętojański. Rusza się, błyszczy i gaśnie naprzemian. Światelko było stałe. Czy kto wraca z wycieczki? Idzie do schroniska?

Podbiegł ku smudze światła, potknął się o kamień, upadł, podniósł się, biegł dalej.

Jakiś głos.

Kobiocy.

Zatrzymał się, nasłuchując.

Głos Melitty.

Podszedł ostrożnie, wstrzymując oddech, przyciskając fałdy płaszcza, które chygotały jak skrzydła.

Nie mógł zobaczyć kto był z Melittą; latarka elektryczna, rzucając trójkąt światła na ziemię albo w dal, w tym większej ciemności pograżała mówiących.

Bał się, żeby go nie odkryli; jeden rzut światła w

jego stronę oświetliłby go od stóp do głowy. Gdy przeszli, mógł rozróżnić jakby sylwetki wycięte z czarnego papieru na tle okręgu księżyca.

Musiał to być człowiek dość młody, wysoki jak ona. Dobięło go parę słów; zdawało mu się, że mówią do siebie – ty.

Gdy doszli do domu, ona otworzyła ostrożnie drzwi i ukazała się cała w słabym świetle, które płynęło z wewnątrz; latarka elektryczna na chwilę oświetliła jego twarz. Pożegnali się poważnie; mężczyzna ucałował Melittę i wrócił w ciemną noc, nad którą czuwał okrąg księżyca.

Weszła cichutko do pokoju i zamknęła drzwi. Dom, który na chwilę wynurzył się z ciemności, znów utonął w mroku.

Melitta zbudziła się w niedługi czas po wschodzie słońca głównie wskutek rżenia i tupania mułów, które miały zawieść dalej gości angielskich. Wyszła przed dom, ażeby pozdrowić góry otulone mgłą i odetchnąć świeżym powietrzem poranku. Na najwyższej przełęczy padał całą noc śnieg.

Wróciła do pokoju obudzić wszystkie swe drobiazgi, które też spały: budzik tykający monotonnie i krople wody śpiewnie spadające na miednicę.

Potem rzut oka w lustro. Nucąc z cicha coś na kształt rannej modlitwy, mydliła sobie pilnie kark. Potem odłożyła pędzelek i włożyła świeże ostrze do maszynki do golenia. Odwinęła rękaw, a ustawiwszy dwa lustra, jedno przed twarzą, drugie za ramieniem – zaczęła wygalać sobie karczek.

— Melitto! Czy mogę wejść?

— Proszę.

W długich rzutach przesuwała zgrabnie żyłkę po karku: nagie ramię podniesione i wygięte w tył

odkrywało w zagłębieniu pachy zwichrzoną kępkę włosów, złoty, nęcący zakątek.

— Słyszałeś moją piosenkę? A może ty wolisz romanse neapolitańskie?...

Mauro nie odpowiedział. Wówczas odwróciła się, położyła lustro i maszynkę do golenia i wzięła go za rękę, badawczo patrząc w twarz.

— Co ci jest? Jesteś chory? Nie spałeś? Nie spałeś? Powiedz.

Twarz zmęczona, włosy w nieładzie, oczy w ołowianych obwódkach.

— Gdzie byłaś tej nocy?

— Widziałeś mnie?

— Tak.

— Śledziłeś mnie?

— Tak.

— Dlaczego się więc pytasz?

— Nie śledziłem cię wcale.

— To źle. I cóż odkryłeś?

— Widziałem jak wracałaś. Kto był ten człowiek?

— Smok. Smok, który pożera dzieci...

— I zbliżał swoje usta do twoich...

— Nie całował mnie w usta. Źle widziałeś. Ten człowiek... Siadaj tutaj na moim łóżku. Powiem ci. Zaczekaj. Gotuje się woda na kawę: chciałam ci ją sama zanieść. Wstałeś za wcześnie. Daj mi ten ręcznik – rękaw mi się opali! Dużo cukru? Mało? Tyle? Jeszcze chwila – niech filtruje. Lubisz bardzo mocną?

Podsunała mu filiżankę i usiadła obok na krześle.

— Nie myśl, moje dziecko, że przyszedłam aż tutaj z samej miłości do gór; znam piękniejsze okolice. Podaj mi filiżankę. Zostaw. Ja naleję. Musisz wiedzieć, że... Pamiętasz, wczoraj, gdyśmy leżeli na moim płaszczu nad brzegiem jeziora, powiedziałam, że muszę cię zostawić samego na parę godzin? Pamiętasz? A tyś mi odrzekł: Nie, mała, nie zostawiaj mnie samego; boję się. Czy nie powiedziałeś tak?

— Powiedziałem

— Widzisz – niczego ci nie ukrywam.

— Ale dlaczego uciekłaś w nocy?

— Gdyż nie chciałam zostać sam. A w nocy spałam.

— Nie spałam.

— Trzeba mnie było zawołać. Zostałabym.

— To wszystko nie tłumaczy, ani gdzie byłaś, ani

kim jest ów...

— Więc jak myślisz? Kto to jest?

— Nie wiem.

— To powiedz: czy uważasz mnie za rozpustnicę?

— Nie.

— Że cię oszukuję?

— Nie.

— A jednak mogłeś myśleć, że ściągnęłam cię aż tutaj, ażebyś asystował przy... przy tym, co podpatrzyłeś. Ależ tak! Powiedz mi otwarcie: myślisz, że ten człowiek jest moim kochankiem?

— Nie.

— A więc kimże może być mężczyzna, z którym spotykam się nocą, w odludnym miejscu, który tam bawi ze mną parę godzin, odprowadza mnie i całuje?

— Nie wiem.

— A więc ja ci powiem: mój brat.

Długa pauza.

— Wierzysz mi?

Mauro odpowiedział skinieniem głowy. O wiele łatwiej tak się porozumiewać, gdy się cierpi. Uznał, że o wiele łatwiej, zamiast wyrażać uczucia swoje w

słowach, zbliżyć usta do nagiej szyi dziewczyny. Ona zaś oplotła go ramionami, spod których wychylały się dwa pukle bladożłote.

Kimono z krepdeszynu, na którym okrutne smoki wiły się wśród chryzantem, otworzyło się na piersiach, ukazując rąbek jedwabnej przezroczystej koszuli. Chciała zakryć piersi, podnosząc ramiona, ale ręce obejmowały jego szyję – więc, żeby skryć przed natrętnym jego spojrzeniem ten skrawek ciała, przylgnęła do niego, wciskając się i drażniąc drobnymi, drżącymi piersiami, które były jakby pierwsze wysunięte straże jej budzącej się zmysłowości.

— Nie skończyłam golenia — wyszeptała wreszcie, wrywając się z jego objęcia.

Szukała maszynki, ale dłoń jej drżała.

— Namydl — pędzel jest tutaj. Będiesz mnie golił – dobrze?

Mauro zabrał się do roboty.

— Popatrz — mówiła Melitta z głową pochyloną, wstrząsnąwszy się pod dotknięciem zimnego ostrza — to jest fryzura à la victime; nazywa się tak od ostatniej

toalety, którą robiono
skazanym na gilotynę.

— W istocie masz piękną szyję pod nóż gilotyny.
Byłoby ci do twarzy z czerwoną wstążką i z kroplą
rubinu, wysączającą się z otwartego gardła... Ładne
ramiona.

— Chude.

— Śliczny kark...

— Pochlebca!

— Śliczny!

— Kłamiesz. O karku to nieprawda!

— Słuchaj – czy zobaczysz jeszcze twego brata?

Czy mieszka

tutaj przez cały rok?

— Tak, cały rok.

— Sam?

— Ze służącym, bardzo mu oddanym. Jest to
doskonały myśliwy, który w zimie schodzi w doliny i
przynosi zapasy żywności. Był służącym brata w czasie
wojny i uratował mu życie; w parę miesięcy później brat
uratował mu życie transfuzją krwi. Własnej krwi.

— A co robi w tych górach?

— Czyta, studiuje; uczy się wciąż i wszystkiego; rozmyśla. Nie widuje nikogo; nic chce widywać.

— Pustelnik.

— Tak, pustelnik nowoczesny. Jedyłą osobą, która go odwiedza, jestem ja. – Już dobrze. Dziękuję ci. Połóż maszynkę. Umyj sobie ręce – mydło jest tam. Ja i mój brat mamy zupełnie podobne usposobienie. Dlatego lubimy się i rozumiemy. Żebyś uwierzył – zapoznam was.

— A jeśli on nie zechce mnie poznać?

— Mój brat chce zawsze tego, czego ja chcę.

I długo on już żyje tu w górach?

— Dwanaście lat.

— Nigdy nic schodził?

— Tak — w czasie wojny. Odbył swoją służbę; był raniony. Potem wrócił tu znów i pozostał.

— A dlaczego wybrał właśnie to odludzie?

— Ażeby być blisko pewnego trupa.

— Trupa?

— Tak, zasypanego lawiną. Są tu śniegi, które nie topnieją nawet w lecie. Była to osiemnastoletnia dziewczyna.

— Narzeczona?

— Tak. Brz... Zimno jest dzisiaj. Podoba ci się ta flanelowa bluzka? Zapina się na ramieniu, zupełnie zakrywa szyję. To model rosyjski: robiła mi go krawczyń z Odessy, która ma teraz zakład we Wiedniu.

— Wyglądasz w niej na Rosjankę.

— W pierwszych dniach naszej znajomości powiedziałeś mi, że jestem zbudowana jak baletniczka rosyjska. No – idź teraz do swego pokoju i zrób się też ładny. Ja zajmę się śniadaniem. Jeśli ci czego trzeba z moich drobiazgów...

* * *

Zostali jako jedyni goście w schronisku; zjawienie się wycieczkowiczów wystarczało im, ażeby od czasu do czasu rzucić okiem na przyniesiony dziennik, lub wypić razem szklankę aromatycznego genepi.

Jeziro połyskujące różowymi fałdami, uroczysty amfiteatr
gór i niezakłócone milczenie – oto był ich świat.

Nieraz dla zabawy krzyczeli, hukali, strzelali z rewolweru, głos się rozpraszał i gubił w dalekich echach...

Sami!

Godziny jedzenia nie były oznaczone na żaden określony czas, ale czas właśnie układał się według jedzenia; nie było tej nieznośnej dyscypliny gongu, który wzywa do stołu, ani nieoczekiwanych błysków lamp, które oficjalnie zawiadamiają, że jest wieczór. Nie było do kogo się uśmiechnąć uprzejmie, ani z kim wymieniać grzecznych pozdrowień. Mogli do woli wspinać się po grzbietach górskich i urwiskach, rzucać kamienie w senne jezioro, zbierać goryczki, bez złośliwych komentarzy o ich przyjaźni i jadowitych spojrzeń...

— Nie bawmy się w sentymentalne rachunki — powiedział Mauro swej dziewczynie, gdy pewnego wieczoru spytała go o właściwą treść ich uczucia.

Jakże błyszczало w ów wieczór niebo pełne gwiazd, a nie było poetów, żeby je podziwiali, ani astronomów, żeby kreślili swe przemądre obliczenia!

— A co będzie z nami za parę dni? — zapytał on innym razem, myśląc o fatalnej konieczności rozstania.

— Co będzie jutro? Czy się zobaczymy jeszcze? Kiedy? I gdzie?

— Nie rób planów na przyszłość — odpowiedziała, wskazując rubrykę nekrologów w przygodnym dzienniku. — Trzydzieści sześć osób w programie na jutro...

Beztroska. Pogoda.

Nie analizować, nie przewidywać i nie pytać się, ani o wczoraj ani o jutro.

Nie wiedzieć o niczym.

Zdawało się, że o wszystkich sprawach życia dowie się jedno od drugiego, że żadna chwila przeszłości nie będzie zakryta.

— Masz już dwa siwe włosy — powiedziała pewnego dnia, gładząc mu skronie. — Czas najwyższy, żebyś się ożenił.

— Nie mam herbu, ażeby sprzedać go bogatej córce rzeźnika, ani tym bardziej szczególnej siły męskiej plebejusza, ażeby zaimponować nią znudzonej arystokratce...

A jednak przyjdzie twój dzień: miła dziewczyna, z prowincji, pełna romantyzmu, która w jednej, jedynej

miłości złączy goździki, męża i kury...

— Melitto! Szanuj moje siwe włosy!...

— Nawet te dwa, które masz?

— Szanuj właśnie te dwa.

Pewnego razu odkryli rodzaj groty wciśniętej w zwalone skały; oplatały je zeschnięte chwasty i pęki żółkłych wrzosów. Tam, klęcząc w tym zacisznym tea-roomie, gotowali herbatę na przedhistorycznym ognisku złożonym z czterech kamieni, a wciąż podsycany płomień wywoływał dzikie okrzyki śmiechu i... kaszlu.

Śmiejąc się i kaszląc, kończyli stale na długim pocałunku, pocałunku oddanym na klęczkach.

Melitta mówiła wówczas:

— Zdawałoby się, że to pocałunek Uga i Parisiny.

Nosiła ze sobą często książkę pięknie oprawną w skórę. Były to wiersze pewnego poety, którego знаła kiedyś, a który umarł zbyt młodo.

— Mój ojciec był wówczas — jak ci to już mówiłam — konsulem włoskim w Kalkucie. Młody poeta, który w tych dalekich ciepłych krajach szukał wyzdrowienia, zjawił się u niego w jakiejś sprawie biurokratycznej: pieczętka czy podpis. Nie miałam

wówczas więcej niż dziesięć lat: młodzieniec o jasnych włosach, który, jak mówiono, był poetą i zbierał motyle, zaciekał mnie bardzo. Przyzwyczałam się do ludzi o brązowej skórze, którzy interesowali się zazwyczaj dziką zwierzyną i węzami; w tym zaś przybytku z dalekich stron odkryłam dalekie echo samej siebie, mojej rasy. Mówił mi o darach, które otrzymał: ząb słonia, pazur tygrysa, skóra z leoparda... Wówczas pobiegłam do mojego pokoju, wzięłam olbrzymiego motyla tamtejszego i ofiarowałam go trwożnie nieznanemu. W dwa miesiące potem ów poeta przysłał mi z Włoch tę książkę wraz ze srebrnym rozcinaczem, oto tym właśnie.

Mauro długo oglądał prostą klingę, cyzelowaną w antyczny sposób. A Melitta, leżąc na wznak z wyciągniętymi nogami, czytała półgłosem smutne poezje, w których piękna i smutna kobieta mówi: Ja w moim obłądnym śnie cierpię za cały, piękny świat, który nie jest moim. Marzę o świcie poranku, którego nie zobaczę: pożądam, pożądam..

— To jest poezja, po której robi się niedobrze — zauważył Mauro, i wyciągnął się obok Melitty, kładąc

rozcinacz między ich stykające się ciała.

Zamknęła książkę.

Upał południa oplatał ich łagodną sennością. Milczeli długo, nie dotykając się i nie patrząc; leżeli równolegle, z dłońmi opadłymi martwo wzdłuż ciała, z twarzami pełnymi słońca.

— Zupełnie jak Tristan i Izolda — zauważyła, śmiejąc się, Melitta, którzy nieszczęśliwi a niepokalani w swej cnocie spali rozdzieleni — tu podniosła rozcinacz — nagim ostrzem miecza.

— Orientujesz się świetnie wśród par sławnych kochanków — zauważył Mauro. — Ugo i Parisma, Tristan i Izolda; może jeszcze Paweł i Wirginia? Można z tego ułożyć cały kalendarz sentymentalny. Jesteś zmęczona? Senna?

Dziewczyna zasnęła w swej niewinności pełnej podniet, a Mauro z lubością wpatrywał się w nią jakby przemienioną, o subtelnym profilu i wielkich łukach brwi, które kreśliły się pod jasnym czołem.

W tym półśnie – regularnie zarysowane usteczka zamykały się.

Motyl małej i lazurowy, jakby okruch czarownicy

emalii, wędrował chwilę po pękach wrzосу i kwiatach, podleciał ku dłoni śpiącej dziewczyny i usiadł wreszcie na książce poety, który umarł młodo i kochał motyle.

* * *

— To bardzo proste — mówiła, rozbijając jaja o szklanekę i oddzielając umiejętnie żółtko od białka, z komiczną powagą, której nieraz używała przy najprostszych czynnościach. — Żółtko chwytamy w łyżeczkę — tu podniosła palce jak prestidigitator na znak, że nie ma żadnego oszustwa — sypie się trochę pieprzu, dwie krople cytryny i szczyptę soli. To wszystko!

— Dlaczego sól?

— Dlatego, że trzeba. Dobrze wychowane dzieci nie pytają nigdy — dlaczego? Teraz weź do ust, śmiało! No! Melicie niczego się nie odmawia. Musisz się odżywiać. Nie ma żadnych protestów. Zrozumiano?

I tak Mauro, dzięki Melicie, nauczył się połykać żółtko à la ostryga.

Dziewczyna czuła nieodparty pociąg do tego

człowieka, którego przyprowadziła tu z siostrzanej litości, a w tak szybkim tempie zaczynała kochać. I właśnie dlatego, że nie czuła się tylko siostrą, okazywała drobne, niewinne zainteresowanie siostrzane, klamiąc i przed nim i przed sobą.

Uważała, że pocałunki mogą oznaczać ostateczną granicę ich

miłości, i że wystarczy narzucić sobie pozór siostry, ażeby poskromić pożądanie.

— Spotkaliśmy się z czystego przypadku, albo z przypadku nieczystego — mówiła mu raz, poskramiając dłonie, które usiłowały nachylić jej głowę, ażeby raz jeszcze zbliżyć do ust pachnącą falę włosów. — Ja dałam ci coś z siebie; ale tyle tylko, ile sama chciałam: dałam ci wygodę, komfort, ale miłości — nie! Chciałam ratować cię z twojej ponurej choroby, zabijając namiętność do innej kobiety. Wiesz co to jest eutanazja? Jest to zbrodnia błogosławiona. Twoja dawna miłość była chorobą nieuleczalną, która mogła skończyć się tylko z życiem. Ja narzuciłam jej inny koniec, łagodniejszy. A teraz, gdy twój nieszczęsny romans jest zniszczony, i nie może odrodzić się na

nowo – pozwalam ci iść swoją własną drogą. A ja pójdę swoją.

— Nie, nie możemy się rozłączyć! — Ty już nie jesteś dla mnie małą Melittą, którą poznałem w pierwszym dniu naszej znajomości, dziewczynką, która tak chętnie chrupała słodycze. Jesteś kobietą, którą kocham, kocham z całej duszy.

— A ja z całego ciała — szepnęła, przyciskając się do niego wężowym ruchem, jakby chciała się wessać i wgrzyźć w jego ciało. — Kocham cię, kocham – ale nie chcę kochać!

Z tymi słowami zbliżała do niego swe rubinowe wargi... Ale cofnęła je nagle.

— Zostaw mnie! Powinieneś widzieć we mnie tylko przyjaciółkę, pielęgniarkę, psa z gór Bernarda (tu wybuchnęła śmiechem), który cię uratował. Ale kochankę – nie!

— A jednak twoje słowa kłóca się z twoimi ruchami, z głosem, spojrzeniem, instynktem, który popycha cię w moje ramiona. Ja patrzę na ciebie tak, jakbym cię już od dawna posiadał.

— Tak, Mauro, należę do ciebie...

Znów przytuliła się do niego.

Gorący dreszcz ogarniał ich ciała. Skryli się w załamie skał wyścielonym zóółkłym dywanem wrzosów.

Nadchodził wieczór.

Widmo ciemnych gór wyrastało ponad ich głowami, jakby ostrzegając przez złym głosem wiatru.

Zaczęli dokazywać jak małe, malutkie dzieci; ogarnął ją i podniósł niemal na piersi, całował zziębnięte dłonie, żeby je rozgrzać i dodać jej otuchy (biedna, malutka dziewczynka, zbłąkana, która tak się boi...), całował ją w szyję i ramiona, szukał ciepła jej łona i serca.

Osunęła się na ziemię z cichym, błagalnym jękiem; Mauro jedną dłonią podniósł jej głowę, a drugą z drzeniem osunął wzdłuż jej kibici, szarpiąc suknie i węzły, szukając – u bezbronnej – najkrótszej drogi do ciepłego ciała...

Księżyc skrył się za chmury; lekki obłok spłynął z gór i zbił się w ciężką, ciemną chmurę.

Ostre cięcie błyskawicy oblało ich twarze nagłą bledością. Potem głuchy grzmot, który z ust dziewczyny wyrwał okrzyk:

— Uciekajmy!

Lodowate strugi poczęły ich ściec w biegu, a błyskawice i grzmoty goniły ich bez przerwy. Okryli głowy jednym płaszczem i, schyleni, biegli kłusem. Zaledwie schronili się pod dach gospody, gdy uderzyła ulewa.

— Mój drogi, zamknij drzwi i otrzyj sobie włosy — mówiła Melitta, gdy znaleźli się w jej pokoju. — A teraz chodź tutaj: będziemy patrzeć na burzę. Słuchaj jak grzmi. Masz zimne skronie: przytul je do moich i stój cicho, cicho... O tak.

Co pewien czas błyskawica na mgnienie oka rozświetlała krajobraz dziwny, tajemniczy i zatopiony w nierozwikłanej szarości.

Olbrzymia ciemna chmura pękła nagle jak od cięcia szpady, a w ich oczach rozblęskło cudowne zjawisko: druga chmura czerwona, objęta czarną obwódką.

— Nie widziałem nigdy tak wspaniałego widowiska — zachwycał się, spoglądając na dziewczynę oblaną światłem błyskawic.

— Jak wyglądam?

— Jesteś cała jasna, piękna...

— Ale jak jestem piękna?

— Pięknością, której nie wytłumaczę.

— Powiedz, powiedz, jaka jestem piękna!

Chciałabym się widzieć teraz. Patrz na mnie i opowiedz mi. Chciałabym wiedzieć, czy jestem podobna do...

— Do kogo?

— Stój spokojnie!

— Powiedz mi do kogo chcesz być podobna?

— Do pewnej kobiety, chudej jak ja, ale czarnej; i która miała te same oczy i włóczyła się po Polsce, Litwie i Czechach z obozem Cyganów, grajków i tancerzy, a może i złodziei...

— Kto to był?

— I śpiewała piosenkę, w której były słowa: Cyganka, która kocha człowieka obcej rasy, jest jak zbłąkana gołąbka, stojąca na ostrzu szyletu; że nie może się utrzymać, żelazo wbija się w jej serce...

Nagły grad uderzył w okna: zadrżały w swych ramach; spore ziarna lodu dzwoniły o szyby, tańczyły i dobijały się, jak niezliczone perły z rozsypanej kolii. Wichur walił w okna i drzwi, jakby je chciał wysadzić z zawias; dom jęczał pod huraganem niby olbrzymi

instrument przy makabrycznym tańcu.

Mauro, wsuwając rękę między wiotkie tkaniny sukni aż do gładkich, żywych piersi – palcami, dłonią i pulsem wyczuwał ciepłe ciało Melitty.

Pierś, jędrna półkula, którą zebrał całą w dłoń, powtarzała mu uderzenia serca; między dwoma palcami wtulił się aksamitny jej wierzchołek, jakby w tym jednym punkcie zbiegły się wszystkie pożądania.

Podrażniona tą pieśczętą Melitta – drząc przegięła się w tył jak łuk złamany i opadła mu w ramiona. Podchwycił ją i podniósł, a zanim złożył ją na łóżko, trzymał przyciśniętą do siebie, ażeby odgradzić ją od świata, gdyż była cała, cała jego...

W mrocznym pokoju, na łóżku głębokim oczy jej błyszcząły chorobliwym blaskiem; białe zęby spod rozchylnych warg... I te dwie jasne plamy tak były jasne, że w nich ginęły zarysy twarzy dziewczyny w półomdlalej.

Nie broniła się, gdy Mauro obnażył jej pierś i rozpiął pas sukni. Wyciągała się cała ku jego dłoniom, nieco drżącym, i prężyła się i przeginała.

Między piersi splotywał jej złoty łańcuszek z

zawieszoną jakby kulką, jakby małym owocem; ziarno ołowiu wygładzone i oprawne w srebro.

Amulet?

Chuda. Ale była cała harmonią linii gibkich, przepięknie splecionych; harmonią wiotkich wypukłości i wytwornej rzeźby ciała.

Zaczął ją pieścić twarzą i wargami wzdłuż całego ciała, od karku aż do kolan; i w długiej pieszczocie nie napotkał na obronę zakątków wstydliwych, ocienionych kępą włosów, które w dzieciństwie po przodkach zostały jako obrona sromu.

Była cała naga, nagością posagu – a sexus niewinnie bezwstydnym jak u małego dziecka wydawał się znakiem, który rzeźbiarz w pośpiechu zrobił jednym dotknięciem palca.

* * *

Wstydliva czytelniczko, która rozcinasz karty tej książki szpilką od włosów, obojętnie spoczywając na uczciwym łóżu małżeńskim (po stronie lewej, gdy po prawej zacny małżonek czyta Sprawozdanie giełdowe i

najnowszy projekt zwiększenia kapitału obiegowego) – nieposzlakowana czytelniczko, która drapiesz sobie kolanka urażone zbyt obcisłą pończochą i ziewasz, dlatego że ziewa twój łaskawy pan mąż; przeczysta czytelniczko! gdy dojdiesz do tego punktu w dziejach Melitty i Maura, kolano nie będzie cię więcej swędziło, a gdy szpilka upadnie – nie podnoś jej.

Cnotliwa czytelniczko, która zachodzisz w ciążę, nie grzesząc, i grzeszysz, nie zachodząc w ciążę! Ażeby nie uszczknąć ci owych 1,60 lira, które pośrednio wpłaciłaś na rzecz moją jako autora, powinienem ci opowiedzieć co się właściwie dokonało na tym nagim ciele dziewczyny, w owym łóżku skromnym, w smętnym schronisku za świątami, gdy gradowa ulewa biła o szyby. Powinienem ci opowiedzieć: ile razy, w jakiej mierze, jakości i sile, mężczyzna pokonał tajemnicę, która dla nikogo nie jest tajemnicą – i powinienem ci opisać wszystkie fazy akrobatyczne owej ceremonii. W ten sposób, cnotliwa czytelniczko, przyniosłbym ci najpierw miłe i drażniące podniecenie, a następnie użyczyłbym ci sposobności, ażebyś na drugi dzień w czasie herbatki poobiedniej mogła oburzać się

na tę bezwstydną powojenną literaturę (wyrażenie ukute przez tych wypranych z dowcipu i nudnych pisarzy których nikt nie czytał, ani przed wojną, ani po wojnie).

A więc, nietknięta gwałtem czytelniczko, o duszy konoidalnej i świadomości ortogonalnej, która z racji samego swego społecznego stanowiska masz obowiązek najgorsze rzeczy mówić o moich książkach: Ty która zdradzasz prawowitego małżonka tylko w chwilach wielkiej okazji, a gdy zdradzasz, to li tylko dlatego, ażeby kochać go później tym więcej i stwierdzić, o ile przewyższa on wszystkich innych mężczyzn! Pani obdarzona najświetniejszym dowcipem, wyobraź sobie, co mogło zajść między kochankami tej opowieści!...

Za przeproszeniem: Pani zostawiła na nocnym stoliku pewną paczuszkę ovoidalną, zawiniętą w płatek staniolu. Pani ją rozwija. Na ów dźwięk metaliczny, czcigodny małżonek domyśla się intencji Pani i uśmiecha się z wdzięcznością i zrezygnowaniem.

Czy tak?

Doskonale! Podówczas gdy Pani tak rozwija,

powiem Jej że między Maurem i Melittą nie dokonało się to, o czym Pani myśli.

I nie z obawy grzechu powstrzymali się oni od tej ceremonii.

I tym bardziej nie dla literackiej ascezy.

Powstrzymali się, ponieważ...

Ale przypuśćmy, że paczka z instrumentem przeciwko zapłodnieniu jest już rozwinięta, a czcigodny małżonek Pani skończył czytać Sprawozdanie giełdowe i projekt zwiększenia kapitału obiegowego...

Proszę sobie nie przeszkadzać, zupełnie tak, jakby mnie tam nie było.

Więc będę opisywał krajobraz. Opisywanie krajobrazu jest to patrzeć na stronę, którego stale używa autor, gdy nie chce opisywać swych bohaterów.

Burza ustała. Rzadkie krople padały jeszcze od czasu do czasu i...

Księżyc wynurzył się z mroku i wędrował po strzępach chmur, które...

Niebo wyglądało jak...

Powiedziałby ktoś, że...

Góry były jak...

Czasem jakiś zbłąkany ptak...

Tęcza...

Państwo skończyli? Proszę więc przyjąć do wiadomości, że Melitta i Mauro nie połączyli się na owym łóżku, jak dwoje trywialnych małżonków. Czuli oni wstręt do wykonania w tak pospolity sposób aktu, który Pani i jej czcigodny mąż - i tyle, tyle innych małżeństw! - sprowadzili do ohydy, do poziomu najniższej potrzeby cielesnej.

Melitta, dziecko o lazurowych oczach i złotych włosach, nie mogła poświęcić swego dziewictwa na łóżku i prześcieradle, gdzie spało tylu turystów, cuchnących skórą, wilgotną słomą, potem.

Melitta, dziewczyna rozkochana w słodyczach, sama złota i słodka jak pszczoła, uciekła w te wyniosłe góry, daleko od ludzi, od praw i przesądów, ażeby obrzędu swej miłości dokonać pod lazurowym niebem, jak pszczoła-królowa.

Pokój dyszał jeszcze tamtym światem z dołu; a łóżko było jakby zamkniętym pokojem. Nie chciała się tam oddawać.

Oddała się zaś cała i niepodzielnie na drugi dzień w

słońcu, w pełnej jasności dnia, wśród ziół i zapachu tymianu i macierzanki: łązy, które błysnęły w jej oczach pod lazurowym niebem, napełniły się blaskiem słońca, a drobna wstążka krwi zabarwiła pęk białych kwiatów, których nazwy nie znam – a które, że nie znam ich nazwy, są dla mnie tym piękniejsze.

Ofiarowała swe ciało pod otwartym niebem, gdzie małością jest wszystko co nas otacza. Iskra buchająca w starciu dwu chmur jest pocałunkiem spotykających się sił elektrycznych; pyłek z kwiatów w ślepej wędrówce za podmuchem wiatru, w nieświadomej miłości, znajduje szypułkę, w którą przenika; kielich kwiatu jest przytulkiem dla erotyzmu motyla; ubarwienie skrzydeł jest pizamą w zalotach; owad, który przefruwa z kwiatu na kwiat, jest swatem na weselu kwiatów.

A teraz, cnotliwa czytelniczko o duszy ponadprzestrzennej, zgaś światło.

Tego wieczoru Melitta śpiewała piosenkę cygańską
która mówi:

Moje delikatne sutki u piersi stały się
twarde jak śliwki leśne – i ja, która ci je
oddałam, oddam ci je znowu, gdy grajek
bijący w srebrne blachy w kielich twój wleje
kroplę muzyki...

Szwaczka zawołałaby:

— Teraz będzie mną pogardzał!

Studentka literatury:

— Potraktował mnie jak szwaczkę!

Uczciwa gospodyni:

— Zachowałam swą cnotę do wczoraj!

Rozpuszczona dziewczyna:

— Teraz i ja jestem jak inne.

Córa mieszczańskiej rodziny:

— Upadłam!

A później:

— Wiesz teraz, co jest twoim obowiązkiem!

A wreszcie:

— Jeśli nie, powiem memu ojcu i moim ośmiu braciom.

(Rzecz ciekawa: pewne dziewczyny po tego rodzaju przypadkach mają więcej braci, niż miały ich przedtem. Zamiast rodzić synów, wydają na świat braci).

Melitta nie powiedziała nic. Śpiewała cygańską piosenkę:

A grajek, kiedy będziesz całował moje usta, wsączy do twego kielicha kropelkę muzyki...

Siedząc na kolanach Maura, objęła go za szyję i szepnęła w ucho wielką tajemnicę:

— Trzeba chcieć, ażeby Melitcie było dobrze.

Drugą zaś rękę zbliżyła do kominka, w którym płonął ogień, a gdy rozgrzała ją nad żarem, przesunęła jak smugę palącą po twarzy kochanka.

Za oknami ścieliła się mgła zbliżającej się jesieni.

— Patrz — wskazywała Melitta — objuczony muł niesie zapas drewna dla mego brata. Jest już prawie jesień: czuję ją w swoich kościach. I ty masz zimny pyszczek, mój kotku.

Czerwony refleks ognia padał na ich twarze, kreśląc ich cienie ciemne na ścianach; tumany mgły wciskały się niemal ze dworu w pasmach zmierzchu i rzucały dziwny czar na ich marzenia.

— Wyobraź sobie w tej milczącej mgle — marzyła głośno Melitta — dwie smugi jasne, biegnące gdzieś w nieskończoność jak snop światła z latarni samochodu, który rozbija mgłę i rozdrabnia ją na kropelki tęczy. Na asfaltowych, gładkich chodnikach połyskujących od wody – tłum ludzi w gumowych zmoczonych płaszczach i las parasoli, z których woda kapie nieznośnie na nogi; wszystko to w blasku olbrzymich, jarzących się okien wystawowych. Tak widzę, czuję, uwielbiam wielkie miasto. Iść, iść, wciąż dalej, we mgle, porwana mokrą falą, prowadzona przez te smugi światła! Zatrzymywać się przed wystawami, oglądać mnóstwo pięknych rzeczy, przeglądać się w roziskrzonych kryształach..

Idź, idź, wciąż dalej, potrącana przez ludzi i, z kolei, potrącając innych, aż skończą się i rozplyną dzielnice eleganckie, nie będzie pań w futrach, a uderzy zapach demokratyczny garnków. Jasne kule elektryczne wciąż świecą nad głową, ale krzyżują się i uciekają w innym kierunku, a ty wciąż idziesz naprzód i dalej, między stragany z warzywami, na targ, gdzie wykładają ryby na lodzie, idziesz wśród dźwięków grającej szafy ze spelunki i krzykliwych lamp przy wejściu do lichego kina...

Znasz chyba te kina trzeciorzędne uwielbiane przez przygodne pary kochanków, bo znajdują tam cieniste, dobrze ukryte zakątki. Stare afisze i żółkłe fotografie przy wejściu, odrapane resztki lichych złocen, i zachwalające okrzyki znudzonych krzykaczy w wyszarzałych resztkach liberii.. A obok – stary zrezygnowany straganiarz, który sprzedaje owoce zalatujące naftą i wpółzgniłe banany...

Idziesz dalej – i wchodzisz na most, nad rzekę. Wszystkie rzeki w wielkich miastach podobne są do siebie; wszystkie tak samo błyszczą brudem i zielonawym olejem. Na brzegu włóczą się pary miłosne;

i te są również do siebie podobne: w nocy koty są szare, a kochankowie czarni. Ona jest nieco niższa; on, idąc chwiejnym krokiem, opiera się o jej ramię. Zawsze ta sama para. Zdaje ci się, że widziałeś ich już parę minut przedtem. Gdy spotkasz ich nad Dunajem, przypomną ci żywo tych, których widziałeś na quais nad Sekwaną, na Lungotevere lub nad Tamizą. Gdy czytam, że dziewczyna się utopiła, wydaje mi się, że poznaję w niej jedną z tych, które widziałam nad rzeką: szła z kochankiem, a ten całował ją, gdy wyszli z kręgu światła lamp, szukając zacisznego mroku.

Mauro słuchał jej opowiadań, kołyszących słów Szecherezady, która wizje dalekich miast, niezliczonych ludzkich mrowisk, umiała wywołać w tym głuchym zamczku, tak opuszczonym, że nie było w nim oznak życia innych niż trzask ognia na kominku i bicie serca.

Milkła od czasu do czasu, znając dobrze urok tych przerw i muzyczny czar milczenia. W nostalgii jej słów drżało pragnienie, ażeby powrócić do tych miast ludnych i gwarnych.

Mauro zapytał ją o to wprost.

— Tak — odpowiedziała po chwili. —
Nieszczęsne dziedzictwo gna mnie tak po świecie.
Pochodzę z nomadów, jestem córką Cyganki. Moja
matka dzieciństwo swe i młodość spędziła na wozie
węgierskich Cyganów. Ta rasa ma swoje prawa, swoje
tradycje, swego króla. Matka moja była królewskiego
rodu.

Pamiętasz piosenkę o zbłąkanej gołąbce?

Zakochała się w moim ojcu, kiedy był urzędnikiem
konsulatu we Wiedniu, i uciekła z nim. Pobrali się; mieli
dwoje dzieci: mego brata i mnie. Kobieta, która
porzuca swoją karawanę i idzie za obcym, spotyka
sroga kara. Cyganie znają tajemnice rozmaitych trucizn:
sporządzają specjalne napoje; na kapsli jest znak –
znak pewnego szczepu. Jest to rodzaj pieczęci czy
firmy; szczep mojej matki miał jako swój znak oko
między dwoma krzyżami.

Ale w odległym domu naszym w Szanghaju i w
bungalowie w Kalkucie nie zdołali jej odkryć. Potem
wróciliśmy do Europy. Pewnego wieczoru – a
mieszkaliśmy w domku ukrytym wśród drzew – padł
strzał...

Melitta umilkła na chwilę i wskazała amulet, który miała na łańcuszku na szyi; ołowianą kulkę umocowaną na srebrnej płytce; na płytce widniał ów tajemniczy znak – oko między dwoma krzyżami.

— Zraniona — opowiadała dalej — wyzdrowiała szybko. Ale w miesiąc później, w Paryżu, w nocnej restauracji, gdzie orkiestrą fałszywych Cyganów dyrygował Cygan prawdziwy, zaczęto grać piosenkę o zbląkanej gołąbce.

Rodzice byli w licznym towarzystwie: oficerowie, dyplomaci, artyści.

Moja matka zbladła. Zemdloną wyniesiono ją ze sali. Przez cały czas pobytu w Paryżu wychodziła bardzo rzadko, jadła w pensjonacie. W dniu kiedy rodzice mieli wyjechać, usługiwał służący, który unikał rozmowy, odpowiadał gestem lub krótkimi słowami...

— Dosyć, przestań! — Mauro ręką niemal zamknął usta dziewczyny.

— Zmarła nagle. Służący znikł; i nikt później nie mógł stwierdzić, jaka była trucizna...

Melitta zamyśliła się: potem skrzyła papieros i

zapaliła go w płomieniu ogniska.

— Należę do szczepu wędrownego. Od wieków rodzą się tam dzieci na wozie, a wozy te jadą nieprzerwanie przez góry i doliny; nie przerywa im drogi drobny fakt urodzenia. Te dzieci, zanim przyszły na świat, przewędrowały setki mil i tyleż rozmaitych krajów...

Mauro przerwał:

— A twój brat?

— Wiesz o czym chcę mówić. Ta sama krew płynie w naszych żyłach, ale zamiast zostać wiecznym włóczęgą jak ja – stał się mizantropem. Jestem kobietą, której cała siła jest w ruchu i obronie – ale że działam przeciw sobie i bronię się przeciw melancholii, jestem słaba. Mój brat zaś jest człowiekiem silnym. Nie trzeba mu tej zmiennej panoramy krajów, miast; nie potrzeba tłumy, ażeby poskromić i opanować ból. On uważa – jak Nietzsche – że właściwym nakazem całej filozofii jest życie wolne wśród niebotycznych gór. I szuka tego ideału w egzystencji dziwacznej i w moralności niepojętej dla świata. Mój brat uznaje absolutną samotność dla higieny ducha: on dla zrozumienia

wszystkich ludzi uciekł od nich i schronił się tu. Ja zaś, ażeby nie znać nikogo i z nikim nie żyć bliżej, chcę wciąż z wszystkimi się spotykać. W ten sposób – samotny mizantrop i niezaspokojona wędrowniczka godzą się w pewnym punkcie, który prowadzi do równoważnych wyników: nie widywać nikogo, ażeby znać wszystkich, i spotykać wszystkich, ażeby nie znać nikogo.

* * *

Czy pani zrozumiała, inteligentna czytelniczko? Powtarzam: nie widywać nikogo, ażeby znać wszystkich i spotykać wszystkich, ażeby nie znać nikogo.

Dalszy ciąg, czyli wytłumaczenie, nastąpi.

Wiem jak dalece Panią to nie interesuje. Rzecz zasadnicza, dla której Szanowna Pani kupiła tę książkę, to, czy serca Maura i Melitty biją dla siebie wzajem, jak to się czyta w dobrych romansach, zalecanych przez najlepsze dzienniki, tygodniki.

Zapomniałem dodać, że kolor (oczywiście

fioletowy) zmierzchu i mgła – zwiększają patos. Jest to wyrażenie często używane na wytartych kanapach prowincjonalnej kawiarni. Zresztą, kiedy Szanowna Pani wieszka do szafy swe odświętne suknie, ceremonia ta jest jej domowym patosem..

* * *

— Zgaś! — zawołała Melitta, opuszczając swe spodenki Artemidy, i zaczęła rozpinać bluzę...

Mauro nie usłuchał. Ukryty pod kołdrą aż po białka oczu, trzeci wieczór z rzędu asystował przy rewelacji jej subtelnej nagości.

Ładne rzeczy lepiej się widzi przy świetle.

— Ale tę musisz oglądać w ciemności.

I zgasła lampę.

Wsunęła się zgrabnie pod kołdrę i zamknęła mu usta pocałunkiem gorącym jak kawał żywego mięsa. Potem nastąpił drugi, ale nieco chłodniejszy, gdyż przychwycono go w przelocie.

— Dosyć!

Osuwał swe wargi coraz niżej, niżej wzdłuż jej ciała

drżącego z oczekiwania pieszczoty.

Spali stuleni w splocie ciał, ust i oddechów, a sen ich przerywały naloty pożądania, męczące, rozkoszne wizje.

Rankiem zaś strugi zimnej wody zmywały z nerwów truciznę wchłoniętą tej miłosnej nocy, a ze skóry – ślady pocałunków. Błękitna pogoda tej alpejskiej muszli, dziwaczne skały, lazurowe jezioro, tajemnicza świątynia śniegu – witały ich wyjście na świat połyskiem barw i błogosławieństwem światła.

Po szale miłości przyszedł szal czystości; ich dusze stały się jasne i lekkie w kontemplacji tej niewinności. Czuli, że są idealnymi kochankami, że w nich uzmysławiają się siły bytu i ziemi, które wynurzają się nieświadomie z głębin.

Ludzie nazywają miłością takie nawet zdarzenia, jak oczekiwanie kochanki na rogu ulicy, jazdę do hotelu, połączenie się w jakimś pokoju i wyjście z powrotem.. Ale to nie jest miłość. Z prawdziwej miłości do złączenia ciał dochodzi się nieświadomie, stopniowo, ale jednym nieoczekiwanym skokiem: a gdy po chwili purpurowego zamroczenia odzyskuje się

jasność myśli, niepodobna nawet ustalić, jak do tego doszło.

W miłości prawdziwej spełnia się komunia ciał jak zapłodnienie kwiatów, jak akt płciowy owadów.

Owady, co za mistrzowie miłości!

— Czuję się tak całkowicie twoja! — zwierzała się Melitta. — Być może, że moja włóczęga po świecie była tylko poszukiwaniem kochanka, poszukiwaniem ciebie...

— Więc nie szukałaś samotności?

— Jest jedna rzecz od niej piękniejsza: samotność we dwoje. We mnie drzemała potencja miłości; byłeś tym, co fotograf nazywa wywoływaczem. Zostawisz ślad w moim życiu...

— Mówisz tak, jakbyśmy mieli rozstać się jutro.

— Jutro nie, ale niedługo. Nasza miłość stała się tak potężnym epizodem mego życia, że nie należy obciążać jej bardziej stałym związkiem, ani przeciągać w przyzwyczajenie. Musimy się rozstać, żeby miłość żyła dalej. Rozumiesz?

— Nie! To nie są słowa, to symbole, hieroglify, znaki magiczne!

— A jednak tak trzeba. Inna miłość może zakończyć się konkubinatem lub małżeństwem, albo serią codziennych ustalonych spotkań na trzy godziny, licząc w to pocałunki, przechadzkę i parę kieliszków likieru. Nasza miłość jest inna. Prędzej czy później stalibyśmy się kochankami jak wszyscy inni i skończylibyśmy na wzajemnej antypatii lub – co gorsza – na udreće z obowiązku. Oddałam ci się; oddam na parę jeszcze dni – a cokolwiek by się stało, nie dam ci odczuć ani przykrości, ani znudzenia. W każdym bądź razie – nie domyślisz się tego.

Umilkła. Na występie skały ukazał się domek.

— To tutaj.

Parę schodów wykutych w skale.

Melitta gwizdnęła, i drzwi się otworzyły.

Wielka kudłata suka z rasy owczarków, przedziwnie piękna, wyszła na ich spotkanie, chytra i podejrzliwa – a po czujnym egzaminie pozwoliła im wejść, szeroko merdając ogonem.

Trzydziestoletni człowiek o cerze oliwkowej, wielkiej czarnej czuprynie i niedbale utrzymanej brodzie, przywitał ich szerokim i gościnnym gestem

ręki. Ubrany był w aksamitny kaftan ściągnięty skórzanym pasem; około szyi układał się kołnierz płóciennej koszuli; manszety wychylały się z rękawów, olśniewająco białe między skórą rąk, brązową, i czarnym aksamitem.

— Dzień dobry, Iluszka!

— Dzień dobry, Sándor.

I przedstawiła:

— Pan Mauro Mauri – mój brat Sándor.

Sándor podał mu rękę i zaprosił w głąb mieszkania. Trzy ściany były całkowicie pokryte książkami. Długie szeregi tomów w rozmaitych oprawach: stare grube foliały zapowiadały uczoną zawartość swych kształtów przeznaczoną do długich rozmyślań i częstych nawrotów.

— Oczekiwałem cię już, Iluszka.

— Obiecałem ci, że przyjdę przed powrotem do doliny. Ruszam pojutrze.

— Nie mogę nic innego panu ofiarować — rzekł Sándor, prowadząc Maura w stronę okna — jak tylko ten widok.

Lodowiec do białości rozpalony żarem słońca,

zdawał się ciskać iskry.

— Wygląda jak wyzłocone kopuły cerkwi. Kazałem wybić okno tak, żeby nie domyślić się nawet, że poza mną wznoszą się górskie szczyty.

— Złudzenie optyczne.

— Złudzenie niewinne.

Na stoliku, pod oknem, nieład książek wskazywał, że przerwano właśnie pracę.

Dwa portrety: kobiety, której wizerunek wozila ze sobą Melitta, w ramce z szylkretu, i dziewczyny mniej więcej osiemnastoletniej.

Tu i ówdzie około drzwi – parę fotografii niezmierzonej puszczy węgierskiej.

— Kiedyśmy się ostatnio widzieli, Iluszka, nie mówiłaś mi nic o zaręczynach Donatelli.

— Istotnie! — I zwracając się do Maura: — Donatella to nasza siostra przyrodnia, naturalna córka naszego ojca, który po śmierci mamy wziął ją do domu. Ale ta nowina — zwróciła się do brata — interesuje cię chyba bardzo mało, jak i mnie zresztą. Narzeczonego znam z fotografii i, zdaje się, że ma solidny brzusek i łysinę – dał się bowiem zdjąć do połowy biustu i z

kapeluszem na głowie.

— Jeśli prawdą jest że w dalszym rozwoju naturalnym człowieka włosy mają zupełnie zniknąć, ludzie łysi są prekursorami przyszłości.

— Nazywa się... Posłuchaj jakie piękne nazwisko: Don Cicillo Cacace di Capafugata; jedna z najstarszych rodzin na południu.

— Im starsze szlachectwo – tym bardziej jest podejrzane.

— Pochodzi.. pochodzi z jednej z tych okolic, które produkują masami mandarynki i komiwojażerów.

— Rozumiem: gdzie analfabetyzm dochodzi do osiemdziesięciu pięciu procent ogółu ludności. A któż wyswatał to małżeństwo?

— Samo się wyswatało. Ona jest szczęśliwa że poślubi takiego dona, który przygniata wszystkich wspaniałością swego genealogicznego drzewa. Najpiękniejsze postaci historyczne należą oczywiście do szczepu Capafugata. Fryderyk II? – Capafugata. Musset? – Capafugata? Garibaldi? – Capafugata. Hindenburg, Eleonora Duse? – Wszyscy należą do rozgałęzionego krzewu Capafugatów.

— Czy ślub odbędzie się wkrótce?

— Tak myślę. On uważa, że to najlepszy moment żeby mieć dzieci.

— Dzieci! — zawołał Mauro. — Nie rozumiałem nigdy, jak ludzie mogą dojść do tego stopnia roztargnienia, ażeby wydać na świat dzieci! Tak robią dzieci, jak wsiadają do tramwaju.

— Zdaje im się że istotnie robią tylko dzieciątka — rzekł Sándor — a nie myślą o tym, że z nich wyrosną ludzie. Właściwie jest to tylko kwestia słownika.

— Bo zdaje im się, że w ten sposób przedłużają swój własny byt — zauważyła Mellitta, opierając czoło o szybę.

— A jednak człowiek ma obowiązek regulować ten ślepy popęd zachowania rodzaju. Gdyby rozmnażanie się ludzi nie było tak błazeńskie, nie trzeba by wciąż uciekać się do tak okrutnych praktyk maltuzjańskich, jakimi są wojny. A te przecie, okraszone retoryką, zachwytem poetów, i oparte na pretekstach okolicznościowych — zmierzają najprościej w świecie do gwałtownego zmniejszenia liczby współbiedaków; ci, którzy zostaną, nabiorą

lepszego apetytu.

— Nie godzę się z panem — odparł Sándor. — Uważam że wola rodziców ma stosunkowo najmniejsze znaczenie w rodzeniu się dzieci; one to same szukają dróg swego przyjścia na świat, a wola ich wyłonienia się z nicości, ze stanu idealnego, podnieca instynkty i wolę tych, którzy będą ich rodzicami. Los dzieci nie zależy od chęci rodziców — przeciwnie! rodzice nieświadomie słuchają nakazu dziecka, które szuka sposobu, aby się stać substancją, zwierzęciem, człowiekiem.

Służący przyniósł skromną zastawę.

— Poproszę was na kieliszek kummela — który przyrządza mój towarzysz.

Służący skłonił się.

— Zbiera on ziarna kminku i preparuje je w sposób rosyjski, dodając dawkę *agaricus muscarius*, ziela trującego, które zawiera sporo alkaloidów, do atropiny włącznie.

— Tej, która tak wypięknia oczy?

— Tak — Iluszka. Ludzie, którzy piją kummel, mają dlatego rozszerzone źrenice.

Nalał po kieliszku dla dwojga gości i dla służącego.

— Gdy byłem studentem medycyny w Petersburgu, noc po nocy upijaliśmy się tym kümmelem. Niektórzy z nas, którzy zachowali swą trzeźwość, patrzyli nam w oczy przy rannym przywitaniu, ażeby sprawdzić działanie tej dziwnej trucizny.

— Czy pan jest doktorem medycyny?

— Tak.

— I odbył pan praktykę jako lekarz?

— Tak. W wojsku rosyjskim. Nieprawda, Papryka?...

Papryka złożyła swoją wlochatą głowę na kolanach pana, prosząc o pieczętę, a gdy poczuła dłoń w swych kudłach koloru słomy, zamknęła oczy pełna rozkoszy.

— Jestem poddanym rosyjskim. Byłem stale uważany za złego oficera, dlatego że z tym samym oddaniem leczyłem Rosjan i nieprzyjaciół, żołnierzy i generałów, jeńców i bohaterów. Dla mnie – chory, ranny, umierający – nie mają stopni ani honorów, ani przywilejów religii czy ojczyzny; każdy z nich – to

człowiek nagi i krwawiący, bez orderów i bez oznak. Ból, agonia – nie mają narodowości. Kobieta zapłodniona jest – dla mnie – po prostu stworzeniem, któremu należy się opieka; nawet jeśli jest cudzołożnicą, jeśli nie jest żoną, jeśli sprzedawała się za pieniądze. Ale tam na dole – Sándor dłonią wskazał doliny, które symbolizowały daleki świat – myślą inaczej. Tam na dole – choroby dzielą się jeszcze na moralne i niemoralne; na takie, z których można się wypowiadać, i inne – z których spowiadać się nie wypada. Dla mnie – choroby są po prostu: uleczalne albo nieuleczalne. Tam – rzeczą okrutną jest tak zwana organizacja, to jest – instytucja raportów i donosów. W kraju lodowców i orłów nie widzę, na szczęście, tej ludzkiej organizacji. Zresztą ta właśnie organizacja potrafi obrzydzić najpiękniejsze rzeczy; w każdym mieście jest więzienie, w każdym domu – „ojcowska opieka”, w każdym ciele ludzkim – przewód pokarmowy. Organizacja jest rzeczą niezmiernie smutną: ojcowie chcą się pozbyć jak najprędzej synów i dziwią się, że synowie ich nienawidzą; szynkarze zatrują alkoholem swych klientów, a kiedy ci się

wreszcie upijają, każą ich z oburzeniem wyrzucić przez policję; drobne mieszczaństwo zmusza kobietę do sprzedawania się – a potem piętnuje ją jako prostytutkę.

— Czy pan nigdy nie wróci – tam, do miast?

— Trudno mi już powrócić do konwencjonalnego życia. Obrzydza to wszystkie myśli i sprawy. Złoto było ongiś substancją czystą, ale zaczęło tracić tę czystość od czasu, kiedy wybiliśmy na nim cyfrę i profil dostojnego władcy. Nagość ciała kobiecego była też przezroczysta, dopóki nie włożyliśmy kobiecie... podwiązki.

A później, z roku na rok, ten zapach ludzkiej fermentacji – tam na dole – zaczął przejmować mnie wstrętem. Nie cierpię tłumu. Tłum nie ma idei ani woli. Ażeby wzbudzić zachwyty plebsu i popularność, wystarczy opublikować czyjaś podobiznę w formacie osiemnaście na dwadzieścia cztery. Tłum, który w chwili wybuchy wojny bił kijami poddanych nieprzyjacielskich i wyrzucał ich meble przez okna, z tym samym entuzjazmem oklaskiwałby ich króla, gdyby przypadkiem naszego odwiedził.. – Gdyby któregoś

dnia autorytet i powaga papieża upadły – tłum demolowałby kościoły. Gdyby nazajutrz ów namiestnik kościoła odzyskał swą władzę, tłum wołałby: Niech żyje! Ci ludzie – to narzędzie w rękach przywódcy. Posługiwać się tłumem – to znaczy wyładowywać własną głupotę lub swoje okrucieństwo; dla samej przyjemności mordy lub rabunku tłum z obojętnością służy każdemu.

Dźwięk dzwonka poruszył nagle Melittę i Maura.

— To instalacja radiowa — zauważył Sándor, podchodząc do kryjącej się w cieniu kasetki. Zapowiada program: kursy giełdy paryskiej, sprawozdanie z posiedzenia francuskiego parlamentu, kronikę wydarzeń. Ale wszystko to jest mało interesujące. Niedługo będzie koncert wieczorny: jest szósta godzina, dzisiaj czwartek.

Sprawdził kartę przybitą na ścianie.

Drugi sygnał.

Sándor obrócił głośnik ku gościom i nastawił aparat. Błysnęło sześć żarówek – z paszczy głośnika padło nazwisko znakomitego skrzypka, tytuł utworu i nazwa sali koncertowej w Paryżu.

— Siadajmy do stołu — zaprosił Sándor. Nie mogę niestety ofiarować wam ostryg z Arcachon, ani róż z lazurowego brzegu...

— Czyś wypróbował już, Sándor, kondensator który przyniosłam ci przed kilku dniami?

— Owszem, doskonały!

— Obawiałam się, żeby parafina, która rozdziela płatki staniolu, nie roztopiła się w ciepłe plecaka.

— Czy codziennie słucha pan muzyki?

— Transmituję koncerty z Londynu i Paryża. Słucham muzyki, nie widząc ani publiczności ani artysty; nie słyszę uszczypliwych uwag jego kolegów z konserwatorium, którzy, wyrzuceni nawet z kawiarnianej orkiestry, ostrzą na nim języki lub piszą recenzje. — Papryka — precz! — Biedna psina przyzwyczała się jadać razem ze mną — a gdy jesteśmy sami pozwalam jej kłaść łapy na stół. Przyzwyczała się też do życia wśród skał — a mięso je z konserwowych puszek, przesiąkniętych octem salicylowym. Ale i do tego salicylowego octu można się przyzwycząć — prawda, Papryka? A w zimie, gdy młotkiem kruszymy suchary? No, ale psisko ma mocne zęby... Papryka!

pokaż państwu...

Po owocach i kawie, która nappełniła pokój miłym zapachem mokki, wysłuchali Andante Religioso Bacha, grane w Londynie przez Marcelego Boasso.

A gdy nadszedł wieczór, pożegnali się. Sándor pocałował siostrę w czoło.

Włochata Papryka ich odprowadziła.

Mieli ogromną ochotę pocałować się. Odwrócili się, żeby się upewnić, że ich nikt nie podpatruje. Więc suka zawróciła do domu.

Melitta przytuliła się do kochanka.

— Zaraz pójdziemy do łóżka.

— Zaraz.

Melitta myślała:

— On spędzi noc między moimi piersiami...

(Ostrzegam wielce szanownego pana prokuratora, że słowa te nie pochodzą ode mnie. Wziąłem je z Pieśni nad pieśniami Salomona; literatura „sprzed wojny” – i to ma trzy tysiące lat!)

Pozostali jeszcze dwie noce i jeden dzień w zamczku i ruszyli w powrotną drogę. Zejście z gór nie

było smutne; ale smutne było pojawienie się hotelu wśród cyprysów.

Baronowa Esmeralda (Paluszek w nosie – książeczka dla dzieci) stała na swej „wieży”, susząc grzyby na organtynie według starego zwyczaju. Trzy nieprzekwitające dziewice otulone w obszerne sukienki koloru zielonoszmaragdowego, przypominały jaja sadzone na groszku. Senator-filozof, który ongiś grywał w pokera, spacerował uroczyście dla ułatwienia sobie trawienia, z nadętą miną osobnika, któremu właśnie zrobiono zastrzyk według metody Woronowa. Na placu tenisowym, czyjaś małżonka, która postanowiła nie oddać swej cnoty, grała z interesującym młodzieńcem – a rozpromieniony mąż asystował przy zabawie, skacząc od czasu do czasu w krzaki, żeby przynieść zbląkane piłki.

Orkiestra w sali hotelowej grała modne tańce, tańce pełne konwulsji, które burzą mleko w piersiach najuczciwszych mamek.

Uciekli pod odległe okno, jak dawniej.

Zalotny młodzian przy fortepianie wyrzucał ramiona i wstrząsał wielką grzywą, ażeby dodać jeszcze koloru

tym muzycznym spazmom: uderzał przy tym od czasu do czasu pałeczką po pulpicie i jakimś narzędziem, w kształcie klucza, w podstawę świecznika.

— Kryminalna muzyka — zdecydowała Melitta.

Pary złożone z dziewiczych delikwentek i młodzieniaszków *gommeux dreptały*, kokietując tymi częściami ciała, których zazwyczaj nie używa się do tych celów publicznie – przynajmniej w bardziej cywilizowanych ośrodkach. Monotonna muzyka, powtarzająca do znudzenia wciąż tę samą nutę; kroki, w których więcej ruchu dla dobrego trawienia niż prawdziwego tańca. Ale w pewnych momentach ta jednostajność ruchów przechodzi w obłąkany kurcz, w którym pary stulają się i łaszą w drgawkach wezbranych piersi i podrygach wnętrzości.

Każda para ma swój styl. Ów, baletmistrz, bezkrwisty esteta, usiłuje olśnić grą swojej twarzy: wargi układa w kształt serduszka i rozmarzone oczy podnosi ku niebu. A gdy rytm przechodzi w konwulsje – rozszerza nozdrza namiętnego fauna, nieprzytomnie wodzi gałkami oczu, pokazuje zęby, i wysuwa dolną wargę lubieżnie oślinioną.

Ten, prowadzi swoją damę, jakby urządzał pokaz w muzeum starożytności; tańczy, jak gdyby spełniał ciężki obowiązek, i ma na twarzy maskę dostojną człowieka, który składa przysięgę lub wieniec na grobie.

Ten znów, błazen, kłown cyrkowy przyzwyczajony do pobudzania ludzi do śmiechu, wykrzywia twarz, przewraca oczy – a potem wiruje i rzuca nogami w tak mały sposób, że niesłusznie chyba zacni praojcowie wydziedziczyli go ze swego grona.

Tam – młodzieniec, który „dobrze tańczy”, który traktuje taniec w sposób naukowy, jak gdyby każdy takt pałeczki tworzył dylemat; nie tańczy, ale rozwiązuje trygonometryczne zadanie. Podnosi swoją damę jak odmierzony pion ciężaru – a podłożywszy dłoń pod jej plecy, trzyma ją, niby dar złożony na tacy, z tryumfującą miną. Dama zaś wyrzucona w górę opuszcza jedną nogę, a publiczność przez krótką chwilę ma szczęście ujrzeć jej podwiązkę, wąski pasek ciała i coś białego jeszcze.

Niewiasta mniej poważnie traktowana trzyma papieros w zębach – a mówiąc, podrzuca go ruchem

warg i biegnie oczyma za smugą dymu. Wyrafinowana – o chorobliwej, jak twierdzi, inteligencji, gwałci niemal młodzieńca, z którym związał ją magnetyczny fluid; palce jej, zakrzywione, drgają w lubieżnym ruchu jak szyja zakochanego łabędzia.

Niewiasta dojrzała, ale wiecznie młoda (lata dla niej wstrzymały swój bieg) oddaje się modnym tańcom, choć chowa w duszy tęsknotę za dawnym bostonem.

I dwie siostrzyczki (źle to ułożone i biedne) za pozwoleniem mamy też sobie podskakują.

A mężowie? Zawsze na sali tańca znajdzie się paru małżonków, którzy pół żartem a pół serio chcą pokazać młodzieńcom, jak jeszcze w pełni dysponują siłą. Dumnie uśmiechają się i chwają swą nienadgryzioną energię, ale protestują, gdy pianista przyśpiesza tempo, lub kiedy złośliwie wpada w inną melodię.

A gdy dają za wygraną, dysząc apoplektycznie, opadają na fotele i czoło ocierają chusteczką.

Melitta i Mauro przechodzili przez salon, gdzie między młodzieńcem i panną z rodziny idiota elegans taki rozwijał się dialog:

— Nie palę.

- Nie pali pan?
- Nie grzeszę.
- Palić to jeszcze nie grzech.
- I dlatego pani to czyni.
- Nie paliłabym, gdyby to był grzech.
- Ale pewno grzeszy pani inaczej.
- Tak się panu zdaje.
- Wiem o tym dobrze.
- Shocking!
- Przebaczy mi pani?
- Nigdy.
- Zawrzyjmy zawieszenie broni.
- Jamais de la vie!

Melitta i Mauro zeszli do czytelnicy. Znów okrucieństwo dialogu między osobami, które reprezentują dojrzały idiotyzm:

- Chcesz herbaty?
- Chcę ciebie...

Na komodzie, w pokoju Maura, budzik zasnął, kwiaty zeschnęły, i białą plamą świecił list od porzuconej kochanki.

Rzucił się na łóżko, ale nie mógł spać. Epileptyczna

muzyka długo biła o ściany.

Jak dobrze rozumiem teraz — rozmyślał — czyn Apollina, kiedy obdarł ze skóry Narsjusza, frygijskiego satyra, który umiał ze swej fujarki ciągnąć najśłodsze tony. Ten muzyk-dyletant na pewno był jego sąsiadem w domu lub w hotelu.

Melitta natomiast zasnęła jak dzieciak. Przedtem jednak, późnym wieczorem, poszła pożegnać swą sentymentalną kotkę, która myła sobie i gładziła futerko, ażeby podobać się księżycowi.

Niebo drżące i zasypane wszelkimi kolorami: gwiazdy żółte, różowe, białe. W nieruchomości konwencjonalnej owej gwiazdnej trzody, jedna tylko emancypantka wyłamała się z szeregu, w hiperbolicznym ruchu przecięła zmrok — i znikła.

Gwiazda ta zrobiła secesję.

Następnego ranka, Melitta i Mauro wyjechali z górskiej miejscowości.

— Będziesz pisał do mnie? — pytała, trzymając go za rękę.

Autobus zsuwał się cicho w dół, motor milczał. W różowym świetle poranka rysował się profil górskich

szczytów.

— Nie — odpowiedział. — nie cierpię listów miłosnych. Uparta wymiana tych gryzmołów zostawia mało czasu do prawdziwej miłości.

Zjeżdżali w doliny.

Po dwóch godzinach w pociągu znaleźli się w mieście. Ostatni pocałunek. Umówili się na następne popołudnie w cukierni i pożegnali się.

Melitta weszła powoli w tłum. Szukała kogoś wśród głów i waliz dźwiganych na ramionach.

— Iluszka!

Była to ciotka, słodziutka i pękata jak cukiernica, i ojciec o pięknej, energicznej twarzy dobrze zakonserwowanego starszego pana.

Zdawało mu się rzeczą wprost nieprawdopodobną, że ta rozwłóczona córeczka, niestałe stworzenie nie lubiące ogniska domowego, rozkapryszona podróżniczka, wciąż w pogoni za nowymi

granicami i nowymi językami — oto powraca do domu, bodaj że na parę tygodni.

Melitta miała jednak, tego dnia, tyle miłości w sercu!...

Rzuciła swą walizeczkę w otwarte ramiona ciotki, uwisała na szyi ojca i szepnęła tak rzadkie u niej pieszczotliwe słowo.

— Papo!...

W jednej tylko rzeczy powieść przypomina życie: w podziale na rozdziały.

Szczęście i nieszczęście trzeba rozbijać na rozdziały, ażeby zmieniały się – jak pech i powodzenie w grze. Nieszczęście jest niczym innym jak nieprzerwanym następstwem miłych wydarzeń.

Gdy Szanowny Pan zamawia czarne ubranie na czas jakiejś żałoby, bada Pan pieczołowicie, czy materiał jest mocny. Kto wie? – po pierwszej żałobie będzie druga, trzecia... Po prostu dlatego, że jesteśmy w smutnym okresie. Albo wesołym. Ale mówi się – smutnym, choćby był wesoły; taki już jest zwyczaj mówienia.

* * *

Mauro rozpoczął nowy rozdział w swym życiu. Ostatni był dla niego snem. Wszystko zbiegło się razem: miłość – nieoczekiwana – Melitty, zdobycie i

posiadanie jej nieskalanego ciała, objawienie miłości w zapadłym kącie świata.

Rozdział przedostatni: włóczęga z miasta do miasta i z hotelu do hotelu, z aktorką o czarującym oczach, o szalonym temperamencie, o charakterze extra dry – która ubezwładniła jego wolę, a duszy zadała takie rany, że tylko niewinna dziewczyna mogła je leczyć. W chwilach zadumy myślał czasem, czy nie należałoby dla wyleczenia się z tej okrutnej choroby użyć środka z dawnych wieków, który kazał zarazki szczepić nieletnim dziewczynkom. Ale dzisiaj nieletnie dziewczynki same szczepią te zarazki, oddziedziczone po swych antenatach, i może mszczą się w ten sposób.

A przedtem – jeszcze inny rozdział: wędrówka po „umeblowanych pokojach”, które zalatywały tłustym brudem i pospolitym mydłem.

— A teraz?

Czyż miał powrócić do tych umeblowanych pokoi?

Nie. Należało stworzyć przedziwnie piękne gniazdko, ażeby przyjąć w nim Melittę. Nie była przecie typu tych przyjaciółek, które, wychodząc z twego pokoju – zostawiają tylko włos w dziurce od

surduta i smugę pudru na twoim kołnierzu. Nie mógł jej przyjąć w żadnym z tych nudnych i zabrudzonych pokoi, wystrojonych w tapetę „turecką”, z perfidnie zawieszonym w kącie wizerunkiem Madonny.

Tym bardziej nie mógł jej ofiarować garsoniery – według przepisu lichych romansów: abażur na lampie, krzyżące tapety, poduszki wszystkich kolorów i rozmiarów na szerokiej, niskiej kanapie; kasetka, w której przechowuje się oryginalne wschodnie kadzidło; i nieodzowne ciastka i butelka porto, ażeby utrwalić wzajemną sympatię...

Melittę należało traktować inaczej, gdyż istotnie różniła się ona od pospolitych kochanek.

Mauro wynajął więc, na parterze, apartament godny dziewczyny która pozostała nieskalana i ponad wszelkie przesady, mimo że miała kochankę. Na pierwszym piętrze tego domu mieszkała utrzymanka pewnego nieskazitelnego dostojnika chętnie przyjmująca młodych adeptów palestry, którzy chcieli wejść mocniejszym krokiem na obcy sobie teren. Drugie zaś i ostatnie piętro zajmowała zacna niewiasta budująco uczciwa i bez przerwy brzemienna, która

prowadziła dom schadzek dla reprezentantów płci obojga.

* * *

Murarze, tapicerzy i dostawcy mebli stworzyli apartament odmienny od tych wszystkich, które się pospolicie widuje.

Więc niech każdy go sobie wyobrazi, jak chce,

W każde niemal popołudnie Melitta kierowała tam swe elastyczne kroki i wychodziła o godzinie, kiedy w mgłę wczesnej jesieni światła elektryczne mieszają się z ostatnimi błyskami dnia.

W pozostałe dni, kochankowie spotykali się w tea-roomie cukierni Baratti, gdzie gromadzi się wszystko, co udaje Old England w pocziwym świątku mieszczańskim: damy o wyszukanym słowniku, które wymawiają słowa jak: imponderabilia, pesymizm, hiperkrytycyzm – podnosząc głos, ażeby słyszano je również przy dalszych stolikach; kobiety konserwatywne, które podnoszą dłoń ku wargom opierającego się młodzieńca, jak na sztychach dobrych

dawnych czasów; starsze panie, które sztuczną szczęką próbują kasztanów smażonych w cukrze.

Młodzian typu „zdobywca” wtajemnicza się powoli w ciężką pracę *viveur’a*: znudzony i niezadowolony, nerwowym ruchem bierze dziennik, rzuca okiem na byle stronicę i odkłada pismo ze sceptycznym uśmiechem. Wydając garsonowi niecierpliwie rozkazy, przygląda się kobietom z pewnością siebie i wyższością, jaką dać może tylko piętnaście lirów brzęczących w kieszeni, zresztą – dar kochającej mamy, lub suma uzyskana ze sprzedaży szkolnego wydania Boskiej komedii, lub wreszcie – przyjacielska pożyczka kucharki.

Elegancki dryblas w rzekomo nowym palcie (raz tylko nicowanym) staje na progu, władczo opiera się na lasce i badawczym spojrzeniem szuka „kogoś” na sali. Ale że tego „kogoś” nigdy i w ogóle nie ma, wytworny mąż odchodzi pełen powagi. Żegna go ironicznym uśmiechem Angelo, kelner-psycholog, który zgrabnie roznosi filiżanki herbaty i lubieżnie intymne informacyjki.

Melitta i Mauro siadywali tam do chwili, kiedy gadatliwa trzoda zalotników zalewała ulice...

Mauro odprowadzał kochankę, przez miasto

nabrzmiałe życiem

i erotyzmem, aż pod ogród jej domu; żegnali się, szczęśliwi z godzin, które przeszły, i szczęśliwi na myśl, że godziny te powrócą nazajutrz. Czasem, gdy siedzieli w cukierni Baratti, nagle – i jakby za milczącym porozumieniem – odstawiali swe filiżanki, zostawiali likier niedopity – i po trzech minutach jazdy byli w swojej willi.

Wchodzili do zacisznego mieszkania wysłanego dywanami; otulało ich rozkoszne ciepło elektrycznego pieca i słodki zapach rozpylonej esencji bananowej. Melitta przygotowywała cocktail; w przedziwne arkana rozmaitych mikstur alkoholycznych wtajemniczał ją ongiś barman – Murzyn z Nowego Orleanu. Sączyła uważnie rozmaite płyny w niklową puszkę, a gdy potrząsała nią mocno i miarowo – Mauro zdejmował jej pantofelki i wkładał wygodne wiedeńskie pantofle z melodramatu Verdi’ego.

Najpierw piła Melitta, dzwoniąc ząbkami o kryształ; potem Mauro.

Nadeszły dni, kiedy pierwszy raz wdziali futra zalatujące nieco zmieszany zapachem kamfory i

perfum; dni, nad którymi unosi się trupi zapach chryzantem, a z podwórek uczciwych burżuazyjnych domów bije mdła woń lichego moszczu winnego.

Szli we mgle wzdłuż brzegów rzeki wśród zaspanych świateł latarni i nagich drzew, z których sypały się liście. Szli jak zakochane pary, które Melitta spotykała na quais nad Sekwaną, na Lungotevere i na brzegach Tamizy: pary, które otula we mgle nieodparta wizja szczęścia.

Z dziecinną radością i upojeniem przeżywali swoją miłość; czasem podejrzliwi i ostrożni jak dwoje winowajców lub odważni do tego stopnia, że całowali się niemal pod nosem tego uprzywilejowanego oprawcy, który zwie się guardia municipale.

— Jakby to dobrze było u mnie w domu — westchnęła pewnego wieczoru — bez tej woskowej kukły, która ma zostać moim szwagrem! Jest to typ, który przejmuje mnie wstrętem. Z dziką zajadłością ogryza wciąż paznokcie — tak, że jego palce wyglądają jak gładziutki, dobrze ugotowane kielbaski. Ogryza je przy stole, przed jedzeniem i po jedzeniu, kiedy mówi i kiedy śpi. Nie

rozumiem Donatelli. Po prostu – niepodobna mówić z nim, nie pokazując mu w pewnej chwili języka. Podobno jako chłopak w swej rodzinnej mieścinie poruszał miech przy organach w kościele; stąd uważa się za znawcę muzyki i przy śniadaniu lub obiedzie wciąż tłumaczy piękności Rigoletta i Trubadura, albo wygłasza znakomite uwagi o balecie – oczywiście w teatrze rodzinnego miasta.

— Skąd właściwie pochodzi?

— No, z...

— Czy gra na mandolinie?

— Nie.

— Człowiek z tamtych stron, który nie gra na mandolinie, to jak kucharka angielska, która nie umie przyrządzić plum-puddingu.

— Ale gra na okarynie, tym okropnym instrumencie, który z kształtu przypomina odartego ze skóry szczura, a z dźwięku pisk szczura, gdy go obdzierają ze skóry. Poza tym – ma bardzo zajmującą manię statystyki. Powie ci na przykład, ile razy owinie kulę ziemską wstążką urobioną z niedopałków papierosów – wypalonych na całym świecie w ciągu

jednego dnia; lub ile kosztowałyby dzisiaj w funtach sterlingach (kurs oficjalny) zbudowanie wieży Babel z żelazobetonu.

— Dlaczego nie zrzucisz go z balkonu?

— Trzeba by mieć nogi chwytlive jak u małpy.

Brzydziłabym się dotknąć go rękami.

Don Cicillo Cacace! Urodził się w starym domu na rogu ulic, z których jedna prowadzi do urzędu podatkowego, a druga do zakładu dla obłąkanych; w kraju, który jest utrapieniem urzędników pocztowych, szukających z przekleństwem na ustach dziwacznych nazw jego miasteczek; w kraju, który ongiś był głośny w czasie walki z bandytyzmem.

Nie było tam szkoły handlowej (mimo że otwarcie jej zapowiadają wszystkie rządy od Crispiego począwszy aż po nasze dni), wobec czego młody Don Cicillo porzucił swe rodzinne strony, korzystając w innym mieście z gościnności utytułowanych kuzynów.

Skończył z dyplomem buchaltera. Szybko pozyskał zaufanie swych pryncypałów – tak mówi przynajmniej – dzięki szczególnemu darowi wymowy skleconej z kwiatków gwarowych różnych okolic, które zwiedzał

jako komiwojażer – handlując smarami, gumami i żelatyną.

Bujna wymowa i znakomite nazwisko jednej z najznakomitszych rodzin świata (Capafugata) – pchnęły jego interes na pełne wody. I tak w pierwszej swej podróży na północ poznał Donatellę.

Donatella: charakterystyczną cechą tej dziewczyny jest to, że nie ma w sobie nic charakterystycznego.

Przypomina żółwie pocziwe chowane w domu, głupie i miłe, bojaźliwe i milczące; nie protestują one przeciw krzykom i groźbom – i główkę wciągają pod skorupę.

* * *

Donatella kochała Don Cicilla.

Kochała też ciocię, papę i Melittę, chociaż Melitta śmiała się z niej i z jej adoracji dla Don Cicilla.

— Patrzysz na swego Cicilla z otwartymi ustami, jakbyś brała inhalacje miłości.

A Donatella uśmiechała się, opuszczając skromnie oczy i chowając ręce pod fartuszek.

— Obraziłam ciocię — zwierzała się pewnego dnia Melitcie — ale prosiłam już Madonnę o przebaczenie mi winy.

— Zdaje się, że lepiej było prosić o to ciocię.

— Żeby zrobić futro z kretów, trzeba mi czterystu sześćdziesięciu sześciu skórek — opowiadała Donatella o swej ślubnej wyprawie.

— Czterysta sześćdziesiąt sześć skórek! Tyle kretów, żeby okryć ciebie jedną! Ładny wydatek! A dlaczegoż nie pomyślisz o tym, żeby się pozbyć piegów?

— Czegoż chcesz, Iluszka? Pan Bóg stworzył mnie taką.

— Ale nie zakazał przecie dbać o swoją piękność! Stworzył też pewne kosmetyki na to, ażeby niszczyć piegi.

— Spytam o to Cicilla.

Don Cicillo jednak był niezadowolony.

— Wybacz mi pani, piękna Iluszko — mówił z gestykulacją głuchoniemego — i nie pogniewaj się, że pozwolę sobie na uwagę. Donatella podoba mi się taka, jak jest. Nie chcę, żeby była gorsza lub lepsza. Nie jest

przemądra ani sofistyczna. A kiedy słyszę rady pani – zdaje mi się, że pani kpi sobie ze mnie. Donatella nie nosi haftowanej koszuli ani kołnierza z gronostajów, jak pani; w ogóle nie ma chorobliwej fantazji. Gdyby się stała inna – sprawiłaby mi przykrość. – Proszę mi wybaczyć, panno Iluszko, i pozostajmy w zgodzie.

Melitta – subtelna, inteligentna, przepojona nowoczesnymi ideami – nie mogła pogodzić się z dzikusiem wychowanym wśród dziwacznych przesądów. Przy stole strugał on wykałaczką nożem, nalewał sobie wino z miną granda, a w ubieraniu się przypominał Murzyna: białe kamasze i cały pęczek wiśiorków na brzuchu, surdut z połyskująco czarnej wełny, a kołnierz zatłuszczony, świecący jak jedwabne klapy smokingu.

Donatella cierpiała z powodu tych sprzeczek:

— Iluszka, wierz mi: Cicillo jest dobry jak sama słodycz...

— Tak, jak słodycz z pieprzem.

Don Cicillo, w dziedzinie moralności, reprezentował przekonania sprzed dwustu lat. W jego rodzinnych stronach, panny z dobrego domu nigdy nie

wychodziły same na ulicę, a gdy wyjeżdżały, lokaj zamykał drzwiczki powozu i klucz chował do kieszeni.

Jego pięć rodzonych siostr nie wiedziało, co to jest kino i nie było jeszcze w teatrze; nie miały jeszcze w rękę czasopisma mód. Rosły pod okiem troskliwym mamusi, która za grzech śmiertelny uważała, żeby dziewczyna – nie powiem: wychyliła się z okna – ale rzuciła okiem przez zasunięte zasłony. Oczywiście z wyjątkiem – kiedy szła procesja.

Troskliwa matka pięciu córeczek prowadziła dokładny dzienniczek wszelkich grzechów z miesiąca; a gdy w okresie słoty bywały zaniedbania – robiła tragedie.

Mimo tej pogody życia zdarzało się nieraz, że jedna lub druga dziewczyna szła do łóżka wśród bólów żołądka, lub że trzeba było brać krople laurowe.

W tej rodzinie, jak we wszystkich „lepszych”, gdzie są córeczki, krople laurowe piło się na litry.

Mimo tej atawistycznej srogości Don Cicillo, potomek Saracenów przesiąknięty dogmatami i przesadami, mówił czasem o miłości.

— W moich stronach miłość zaczyna się już w

ósmym roku życia.

— Zupełnie jak u węgorzy — rzuciła złośliwie Melitta.

Don Cicillo odpowiedział wyrozumiałym uśmiechem, który miał oznaczać, że w tych jego stronach miłość to tylko wyglądanie przez okno. Ale Donatella spojrzała na Iluszkę wielkimi źrenicami, które prosiły o przebaczenie.

Don Cicillo usiłował wprawdzie bronić się czasem przed ironią Melitty, odpłacając złośliwością, ale wyglądał wówczas jak hipopotam, który włożył sobie za ucho pawie piórko.

— Ironia to sztuka bardzo trudna — tłumaczyła mu łagodnie Iluszka. — Albo jest zbyt lekka, a wówczas się jej nie rozumie, albo jest zbyt ciężka, a wówczas przygniata nogi temu, kto się nią popisuje. Ironia w handlu — to towar znacznie trudniejszy niż smary, gumy i żelatyna.

(Tutaj Donatella uroniła łezkę).

— Nie weźmie mi pani za złe, Iluszko, że spytam, dlaczego tak późno pani przychodzi do stołu; dzisiaj, wczoraj i przedwczoraj. W całej rodzinie jedna tylko

osoba stale spędza poza domem całe popołudnie. Mam pięć sióstr rodzonych i trzy kuzynki, a żadna z nich nie wychodzi sama. Wybacz mi pani, Iluszka, że dotykam tego tak drażliwego punktu...

Melitta rzuciła mu w twarz spojrzenie pełne pogardy.

— Na dziś powiedział pan dosyć niesmacznych głupstw. Resztę proszę zachować na jutro.

I wstała od stołu.

Ciotchna nadęła się jak kobza i westchnęła.

Dobra ciotka! Istnieją jeszcze dobre ciotki, beznadziejnie i nieuleczalnie tępe, którym da się jeszcze wytłumaczyć, że syfilisem można się zarazić przez telefon, a trzy noce trzeba spędzić poza domem, ponieważ tramwaj, z braku prądu, stanął.

Donatella codziennie wylewała łzy, a Don Cicillo, ażeby podnieść nastrój przy stole, objaśniał jak to Bismarck, Mascagni i święty January (krew z wodą sodową) należą właściwie do rodu Capafugata. Albo, niszcząc własnymi zębami resztkę paznokcia, obliczał w pamięci: ile trzeba baranów, ażeby – używając ich cennych kiszek – sporządzić kielbasę, która z Ziemi

sięgałaby na Księżyc.

Ojciec Melitty zjawiał się tylko przelotnie, na krótko. Wpadał czasem i pytał o Iluszkę, ale nie czekał na odpowiedź i chwycił jakąś depeszę lub słuchawkę telefoniczną. Interesy i kobiety zostawiały mu nader mało czasu dla spraw rodzinnych; nieraz przychodził do domu po to tylko, ażeby wziąć jakieś papiery lub zamówić telefonicznie miejsce w sleepingu. Człowiek o zdecydowanej linii i mocnym spojrzeniu, w słowach — zwięzły, przyzwyczajony do narad administracyjnych i panowania nad zebraniem akcjonariuszów, nie przywiązywał wagi do nudnych niesnasek w domu. Nie dziwiło go uparte przesiadywanie tam Don Cicilla, i nie zabiegał o przyspieszenie ślubu między nim a Donatellą.

— Iluszka! Pani coś ukrywa — zapytał kiedyś przyszły szwagier z uśmiechem gładkim i obrzydliwym. — Niech mi pani wyzna wszystko. Wszyscy wiedzą, że zwierzenia, które wchodzi jednym uchem..

— Wychodzą ustami — zaśmiała się Melitta.

— Wiem doskonale — ciągnął z obłąną miną inkwizytora — że codziennie widuje się pani z pewnym młodym i eleganckim panem. Niech się pani strzeże!

Ojciec byłby bardzo zmartwiony, gdyby się o tym dowiedział. Przestrzegam panią, Iluszka!

Melitta, niezależna i przyzwyczajona dotąd, by nie ulegać niczyjej woli – wybuchła gniewem:

— Dlaczego nie wraca pan do swego kraju?! Tam jest miejsce dla pana! – Cóż to za ohydna mieszanina Albańczyka, Negra i Saracena! Wracaj do kraju godnych przodków! Nie czuje pan nostalgii za tropikalnym słońcem? Wracaj pan tam, gdzie kokos, gutaperka, daktyl i baobab, gdzie czarna dżuma, żółta febra i gdzie jeszcze wbijają ludzi na pal!...

— Fi, fi, fi... gwizdnął przeciągle szlagon, urażony. Mówiłem to tylko dla pani dobra, jeśli pani nie chce przyjąć moich uwag – umywam ręce.

— Raz wreszcie będzie je pan miał umyte!

* * *

Melitta groziła że wyjedzie na Węgry, a potem na ocean. Trzeba było całej słodczy ciotki, pokropionej łzami Donatelli, ażeby doprowadzić do zawieszenia broni między nią a Don Cicillo.

— Ty masz, Iluszka, jakieś uprzedzenie — mówiła ciotka. Wierzę, że to głupiec, ale mimo to jest wcale inteligentny.

— Może będzie kiedyś inteligentny. Dotychczas niczym tego nie stwierdził.

— Prowadzi dobrze swe interesy.

— Gdyby miał odrobinę inteligencji, w ciągu dziesięciu lat zostałby szefem przedsiębiorstwa, a tymczasem wciąż jest komiwojażerem. Biedna Donatello — codziennie kołyszysz się w snach marzeniem o przyszłym ślubie — a nie domyślasz się, że ten dzień w ogóle nie nadejdzie.

— Nieprawda! Złość przez ciebie mówi!

— Nie — tylko patrzę jasno, Donatello. Ten jegomość znalazł w naszym domu pokój z centralnym ogrzewaniem, kuchnię, która mu odpowiada, wygodne łóżko i okno na południe; został więc,

i zostanie dopóki nie wyrzucisz go za drzwi.

— Nie znasz go, Iluszka. Przysięgam ci, że Cicillo nie jest złym człowiekiem.

— Jest jadowity jak list anonimowy.

— Odłożyliśmy datę ślubu tylko z powodu wyprawy i mieszkania, ale...

— Odłóżcie ją jeszcze, ale ostatecznie.

— Papa, który zna się na ludziach, wyrobił sobie dobre zdanie o Cicillu.

— Nie wiem, czy papa studiował go z bliska i czy miał dobre o nim informacje.

Ojciec wszedł właśnie.

— Nieprawda, papo?

— Nie chodzi o niego — rzekł chłodno ojciec. — Ale chcę mówić o... tobie.

Melitta została sama z ojcem.

— Iluszka, wiem, że codziennie chodzisz do pewnego mężczyzny...

Melitta milczała.

— Czy to prawda?

— Prawda... Powiedział ci to Cicillo — szpieg i kryminalny dozorca!

— Powtarzam — mówił ojciec, usiłując poskromić ją głosem i spojrzeniem — że nie chodzi o niego. Procesu mu nie wytoczymy.

— A tym bardziej mnie!

— O tym ja zdecyduję!

Ale Melitta nie mogła się już pohamować. Ona, tak jasna, wiotka i wdzięczna jak postaci świętych mistycznych na szczytach kościołów — wybuchła krzykiem i gniewem:

— Buduje się szpitale dla cholerycznych, zakłady dla wariatów, galery dla zbrodniarzy — a nie ma dobrze zamkniętego schroniska dla natrętnych głupców, którzy są bardziej niebezpieczni od choleryków, obłąkanych i zbrodniarzy!

— Słuchaj, Iluszka — podjął ojciec ze spokojną energią. — Umiem rozmawiać z kobietami i nawet ścierać się z mężczyznami; uderzenie i obronę przewiduję, zanim mój przeciwnik o nich pomyśli. Dlatego ostrzegam cię że, dla prostej ekonomii czasu lepiej porozumieć się ze mną spokojnie. Jak widzisz, jestem spokojny. Nie będę ci opowiadał o moim własnym bólu, gdyż nie cierpię słów bezużytecznych.

Czuła, że rozbraja ją lodowaty ton ojca.

— Nie zrobiłam nic złego — rzekła z dumą.

— Jesteś jego kochanką?

— Skąd o tym wiesz?

— Wiem! A jeśli mówię, że wiem, to nie po to, ażebyś wyznawała mi wszystko. Nie wyciągam zeznań w tak nikczemny sposób. Mówię ci, że wiem – gdyż mam dowody.

Dowody? Jakie mógł mieć dowody? O tym, co zaszło, nie wiedział nikt prócz Maura.

Nie chciała kłamać, a nie miała sił, by zwalić oskarżenie. Wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami.

Gdy ciotka dowiedziała się o tej komplikacji miłosnej, przede wszystkim – przeżegnała się.

Kobiety dobroduszne przed burzą czynią znak krzyża: środek zapobiegawczy. Podobnie lekarz wiejski, zanim postawi diagnozę, zapisuje na wszelki wypadek – olej rycynowy.

A później wyrzekła te sakramentalne słowa, w których zamyka się cały rozsądek przyzwoitej rodziny:

— Zawsze ci to mówiłam, ale nie chciałeś mnie słuchać.

— Co takiego?

— Że dajesz tej dziewczynie zbyt wiele swobody. Gdy panna nie ma jeszcze dwudziestu lat, nie puszcza

się jej zagranicę – samej!

— A cóż to zagranica ma z tym wspólnego? Jej kochanek nie jest cudzoziemcem.

Na to słowo kochanek – zacna kobieta przeżegnała się po raz drugi.

— Co mówisz? Czy jesteś pewny...

— Zupełnie pewny. Cicillo odkrył w pokoju Melitty pewien instrument higieny kobiecej, którego panna – o ile nie jest tylko panną na bilecie wizytowym – nie może i nie potrzebuje używać.

Ciotka skamieniała. A potem wywołała głośno z tuzin rozmaitych świętych, płci obojga.

— Ale skądże wiesz, do czego ona używa?...

— Dobraś sobie! Myślisz może, że używa go jako zapalniczki do papierosów? Co?

Dalszych dwunastu świętych stanęło do apelu.

Cicillo zresztą powiada, że przez dziurkę od klucza widział na własne oczy, jak używała go właśnie w dobrze wiadomym celu.

* * *

Łaskawa czytelniczko! Powie Pani, że ten nikczemny pisarz posunął swą bezczelność do tego stopnia, by pewną intymną tubkę pasować na deus ex machina w sytuacji dramatycznej, na węzłowy punkt uczuciowych powikłań.

Niech mi Pani wierzy, że i ja uwielbiam tych, którzy wynoszą schody aż ponad chmury; i byłbym niezmiernie szczęśliwy, gdybyśmy mogli wędrować w sferach snów miłosnych i obracać te karty, jak orły swe skrzydła, w niebotycznych lazurach. Oczywiście – lepiej patrzeć na miłość oczyma dziecka, marzącego o miłości.

Wszystkie dzieci są marzycielami. Niektóre z nich jednak pozostają dziećmi. To są właśnie poeci. Inni stają się ludźmi serio – i stają się kupcami.

Poeci ze swą miłością wnoszą się w przestworza, na skrzydłach. Ale pocziwe kupczyki przywiązują ją do ziemi i przyglądają jej się bacznie przez okulary moralności.

Moralność (stare zbiorowisko praw – w dziedzictwie po naszych przodkach – złożone z wszelkich przesądów, fałszywych komentarzy, bigoterii i głupoty), moralność – to jakby lorgnon teatralne;

wydłuża się i skraca, przybliża i oddala, wyolbrzymia i pomniejsza – posłusznie słuchając małej śrubki, umieszczonej między szklami.

W tej śrubce, która z tak magiczną siłą zmienia walory i odległości, proporcje i kształty – zamykają się też tajemnice płci.

To niesmaczne – prawda, łaskawa Pani? – mówić o płci, o przyrządach intymnych i higienicznych zabiegach. A jednak cały instrument moralności i jej równowaga opiera się tylko na tym rozdziale ludzkiej fizjologii.

Proszę tylko posłuchać:

Gdyby w szlachetnej rodzinie Cacace di Capafugata jedna ze siostr Don Cicilla doznała zaburzeń lub nawet zupełnego wstrzymania objawów miesięcznych pielęgnowanych tak troskliwie przez zacną mamusię – czcigodny ten dom rozpułynałby się wśród potoku łez.

Ale gdyby ta zacna panienska wyszła za mąż – wszyscy krewni błagaliby, jak o dar boski, o to samo powstrzymanie rytmu miesięcznego – niedopuszczalne, tragiczne w jej dziewiczym stanie!

Gdyby jej mąż nie był zbyt chwacki w wypełnianiu swych obowiązków męża, zastałby na pewno całą rodzinę siedzącą w półkole jak srogi trybunał. I ten trybunał wytłumaczyłby owemu leniwemu mężowi, że – gdy się ma tak młodą żonę – słuszną jest rzeczą, że ma ona chęci i pożądaniami godziwe, haniebną zaś — kiedy mąż ich nie zaspokaja. Ale – gdyby owa niewiasta przed ślubem miała czelność przyznać się do swoich zachcianek tenże trybunał orzekłby z oburzeniem, że jest ona dziewczyną straconą, występna, zdegenerowana; gdyż wiadomą jest rzeczą, że dziewczyna nie może odczuwać żadnego pożądanego; przez myśl jej nawet przejść nie powinno, że takie pożądaniami istnieją.

Białe wiewiórki i kwiat pomarańczowy świadczą, że to, co ma spaść na dziewczynę najbliższego wieczoru – jeszcze się nie dokonało.

Jutro ofiarują jej purpurowe róże. Już nie białe. Ponieważ – stało się już..

Kochane, dwudziestoletnie dziecko, tak naiwne dotąd (jakaż niewinna! wiecie co mi powiedziała? Wyjść za mąż? Tak. Ja najchętniej wyszłabym za mego

papę...) – będzie więc miało czas by rozmawiać o podróży, hotelach, pokoju i łóżkach. I dla niej, która wstydziłaby się zdjąć pończochy przed mamą – leżeć pod jedną kołdrą z tym nowym panem będzie rzeczą naturalną.

Jak Pani widzi piękna czytelniczko – powieściopisarz nie musi wysuwać na czoło tych obrzydliwych materialistycznych zagadnień płci.

Jest jednak Don Cicillo Cacace di Capafugata, jest ciotka, ojciec, tłum, publiczność, społeczeństwo, którzy na wszystkie walory moralne rzucają cień bezwstydu.

Melitta i Mauro spotkali się w najczystszyim świecie: tak czystym, jak mogą być tylko wyniosłe góry. Ich zaślubiny dokonały się pod nakazem siły wyższej, niż ich własna wola; siły ślepej, która prowadzi pszczołę z jednego kwiatu na drugi. Zmysłowość, instynkt który nie podlega analizie – wywołała tę rozkosz ciał i szczęście dusz, bez żadnego wyrachowania. Ta, przyczynowo związana, konieczność spotkania wyniosła miłość ich do wyżyn nieśmiertelnego symbolu.

Ale oto jakiś Cicillo Cacace, jakiś niedoszły stróż

moralności, brudzi czystość ich związku, drapuje się w togę obrońcy moralności, chwytą – w brudne łapy obgryzacza paznokci – drobiazg znaleziony w pokoju Melitty; przyrząd higieniczny, którego niestety nasze panie używają zbyt mało; a może i wcale nie...

Surowe oczy krewnych Melitty zwróciły się na jej organa płciowe. Mówiło się uroczyście o moralności, o złym i dobrym, o uczciwości i występku – ale cała uwaga rodziny spoczęła na jej łonie.

Rodzina, podstawa społeczeństwa!

Szanowna Pani! Jeśli chcesz być szczęśliwa, uciekaj na odludną wyspę wśród oceanu lub do pustelni, jak Sándor. Ale nie do tej samej, gdyż tam grozi ci niebezpieczeństwo, że z nim założysz nową rodzinę.

Rodzina, zwalczając wszelakie „zło”, jest przyczyną nieszczęść, błędów i zbrodni. Młodzi chłopcy oddają się samotnym grzechom, gdyż rodzice nie spuszczaają z nich oka, nie pozwalają na normalne stosunki. Młodzieńcy zarażają się chorobami wenerycznymi, ponieważ wszelkie zabiegi dezynfekcyjne w domu wzbudziłyby podejrzenia. Dziewczęta zachodzą w ciążę

przeważnie dlatego, że nie mogą się należycie wymyć. Potem zaś spędzają płód lub zabijają noworodka, nie śmiąc pokazać go przed światem, przed tym brudnym światem, który nad cudem macierzyństwa ma czelność stawiać pytanie: czy przed owymi dziewięcioma miesiącami kobieta oddała się na łóżku, w trawie, czy na łódce, i czy on dał firmę na to przedsiębiorstwo, i czy wypowiedział decydujące tak przed municypalnym brzuchem przepasanym trójkolorową wstęgą z frędzlami?

Mauro Mauri, otulony po szyję białym prześcieradłem, jedną ręką trzymał otwartą książkę; drugą trzymała mała Japoneczka. Lustro przed nim odbijało jej schyloną postać, a poza nim szybka chwytala pierwszy obraz – i tak sobie w nieskończoność podawały: żółte kimono, białe prześcieradło i twarz jego, koloru szafranu.

— Czy bo-o-li?... — sylabizował głos – wyostrzony jak lancety i pilniczki, którymi manewrowała zgrabnie około palców – za każdym razem kiedy zdawać się mogło, że ostrze przekroczyło okrąg paznokcia i drasnęło palec.

Z bocznych gabinetów, zza leciuchnych ścian, dochodziły zmieszane głosy, okruchy dialogu, przerywane głośnym oddechem rozpylacza, metalicznym sykiem eksykatora lub bełkotem splukiwanych włosów; to znów okrzyk protestu, gdy zbłąkana, zimna kropla spływała po karku, wzdłuż krzyża, lub kiedy rozpalone żelazko zbyt blisko

nachylało się nad skronią.

Od czasu do czasu dźwięczny dzwonek u drzwi wchodowych; a potem posuwisty szelest kroków na miękkim chodniku i głos krystaliczny, który gubi się w odległym gabinecie. Odurzający zapach kobiecości parujący ze skór podrażnionych płynami balsamicznymi, woń spirytusu, ostrej esencji kolońskiej, spalonych włosów, rozbełtanego mydła; wszystko w powietrzu wilgotnym, ciężkim i dusznym.

— Pro-szę p-a-ana, dru-ga rę-ka... — w urwanych sylabach skandowała japonka, zbierając swe narzędzia i przesuważąc na drugą stronę stoliczek.

Mauro ściągnął brwi i podniósł palec, jakby nakazując milczenie; w tym oczekiwaniu trwał chwilę, nasłuchując: głos zacierał się za ścianką.

Poznał wreszcie.

— Lucjan! — krzyknął głośno.

— Kto to? — odpowiedział głos zza ściany.

Ukazała się twarz mężczyzny namydlona z jednej strony, wygolona z drugiej, owinięta w ręcznik jak w turban, i połykująca.

W uścisku odrobina mydlanej piany przeszła z

policzków Lucjana na twarz Maura.

— Pozbawiasz się swej męskości?

— Stara chirurgia.

— W hołdzie dla jakiejś damy?

— Dla cywilizacji.

— Cywilizacji japońskiej?

— Lux ex Oriente!

— Czekamy na żółte niebezpieczeństwo.

— Kiedy przyjechaliście?

— Przed godziną.

— Widziałem ogłoszenia. Jak długo zostajecie?

— Miesiąc. Nie pytasz mnie zupełnie o...

— Nie.

Fryzjer, ufryzowany na sposób byroński, przeciągnął brzytwą po pasku – więc znakomity aktor powrócił na krzesło operacyjne.

— Zapowiadacie dwie nowości.

— Dwie klęski

— Rozumiem. Ale to skutek „złego teatru francuskiego”, jak mawiają ci, którzy wyobrażają sobie, że tworzą „dobry teatr” rodzimy.

— Jedna z tych komedii jest prześliczna: teatr

paryski skrzający się dowcipem, pełen finezji. Ale we Włoszech nie wystarcza, żeby komedia miała dowcip; u nas wymaga się „treści”: nóżki na stół! Druga zaś komedia jest zbyt oryginalna, ażeby mogła mieć powodzenie. To, co jest naprawdę oryginalne, nie podoba się publiczności. Podoba się to, co ma pozór nowości, co skacze o jeden stopień ponad normę uznaną. Ale jeśli przeskoczy o całe piętro – kłapa! Publiczności podoba się tylko suknia nicowana na modelach.

— Ale autor powinien pisać dla publiczności, a nie dla siebie.

— Stary frazes. Mój kapelusznik myśli tak samo.

— Proszę cię – nie obrażaj...

— Ależ nie obrażam! Mój kapelusznik to moja publiczność.

— No, a zespół?

— Zawsze ten sam, z wyjątkiem amanta, którego zastąpił..

— Znam go. Doskonały.

— Śpiewa!

— Co – śpiewa też?

- Powiedziałem: śpiewa – ale to o brzytwie.
- Aha! A tamten dlaczego odszedł?
- Nieporozumienia z... szefową.
- Czy b-o-oli?...
- Co? boli cię coś?
- Nie! To pyta manicurzystka...
- Nie szukałeś jej?
- Kogo?
- Twojej eks-kochanki.
- Nie.
- I nie chcesz jej widzieć?
- Pamiętam ją przecież!
- Nawet z krzesel?
- Nawet z łoży.
- Nie interesujesz się nią?
- Jest mi obojętna... Powiedz no – kto jest jej nowym kochankiem?
- A więc interesujesz się?...
- Ani trochę.
- Jeśli pytasz...
- To nic. Takie sobie zapytanie. Z grzeczności.
- Hm..

— Któż więc jest teraz?

— Jeśli nalegasz, to chyba już nie z grzeczności?

— Ach — jakiś ty zgryźliwy!

— Przed chwilą krzyczałeś na mnie wobec tej

Japonki.

— Nie rozumie po włosku.

— To przy golarzu.

— Ja jestem głuchy, szanowny panie...

— Lucjan – długo się jeszcze będziesz guzdrał?

— Dwie minuty, panie. Odrobina brylantyny?...

— Owszem.

— A ty?

— Tak... Brylantyny na rękę.

— Co czytałeś?

— Poker – proporcje matematyczne i rachunek prawdopodobieństwa.

— Słowem – grałeś na pewniaka?

— Tak... Ta książeczka uczy, jak należy zgrywać się naukowo.

— Z kim grasz?

— Z trzema albo z czterema przyjaciółmi. Co wieczór.

- I mieszkasz tu na stałe?
- Tak.
- Kobietki?
- Jedna.
- Własność prywatna?
- Nie. Wolność użytkowania.
- Domena publiczna?
- Ach nie! Skądże!
- Młoda?
- Smarkata.
- Wdowa?
- Panna.
- Dużo kosztuje?
- Mało.
- Zgłodniała?
- Wyrafinowana.
- Strawna?
- Rozkoszna.
- Gdzieś ją odkrył?
- Hotel.
- Służka?
- Nie – klientka.

- A z wejrzenia?
- Pierwsza klasa.
- Jaka moneta?
- Liry.
- Dziedziczy?
- Nie interesuję się tym.
- Jedyńaczka?
- Nie.
- Bracia?
- I siostra.
- Hm.. I cóż właściwie z nią robisz?
- Ubóstwiam ją.
- To forma zewnętrzna...
- Na kolanach.
- A ona?
- Też.
- To niewygodne.
- Skończyliśmy.
- Rozchodzicie się?
- Nie! Mówiłem do manicurzystki.
- Ja też jestem gotów.

Kasa, reszta, napiwek, salem alejkum, unizone

ukłony Japoneczki.

Mauro i Lucjan zeszli po lśniących od marmuru schodach. Aktor postawił swój kołnierz z oposów i wziął przyjaciela pod ramię.

— Dwa słowa: bądź spokojny!

— Istotnie, nie mogę dodać trzeciego: jestem spokojny. Spokojny bez granic. Znalazłem dziewczynę pełną inteligencji, która ma te same gusta i tę samą zmysłowość. Panuje między nami niezmacona zgoda. I oboje jednakowo wyobrażamy sobie jutro, gdyż żadne z nas nie myśli o żadnej przyszłości.

— Ale czy nie ma nikogo, kto by myślał za nią?

— Żyła poza domem, w międzynarodowych ekspresach, na statkach transatlantyckich. Nie ma matki; ojciec jej ma kochankę w każdym mieście o ponad stu tysiącach mieszkańców, i rozmawia z ministrami – jak ty z buchalterem trupy. Oddała mi się – nie żądając niczego, nawet miłości, nie obiecując niczego, nawet kartki z podróży. Nie przewidywałem ani nieszczęść, ani grózb. Przychodzi do mnie codziennie i...

— Zmienia kwiaty w wazonie.

— Owszem. To też.

— Jakiś ty liryczny...

— Ale ona nie jest głupio-liryczna. Nawet przy tej poniekąd literackiej czynności gasi sentyment konwencjonalny, i śpiewa strofki maltuzjańskie albo refren z kabaretu. Ofiaruje mi całą swoją wesołość dziecka, umie być doskonałym kolegą, tym, co Francuzi nazywają un copain.

— A gdy wyczerpuje się repertuar rozrywek i pieszczot, cóż się robi w domu?

— Wywołuje się klisze fotograficzne, maluje jedwab w stylu hawańskim – barwnikiem, który sporządzamy sami; szyje się poduszki. Co dzień chce zmieniać lampy, żeby kąty wyglądały bardziej tajemniczo. Zelektryfikowała mi cały dom: piec, wentylatory, maszynka do kawy, maszynka do herbaty, maszynka do krajania chleba – wszystko elektryczne! Zawsze to innowacje, a że wszystkim sama się zajmuje – ja tylko sprawdzam kontakty. To bardzo miłe.

— Słowem – upiększacie sobie gniazdko? Jak kanarki?

— Miłość składa się z takich pospolitych

drobnostek...

— Pospolitych? Fermentujących! Ta dziewczyna nie przykuje cię do siebie na długo.

— Mylisz się. Nieraz czuję dla niej tyle miłości, że gotów jestem zaproponować jej małżeństwo.

— Dlatego, że przestajesz ją kochać!...

— Nie rozumiesz mnie.

— Tak mówi się z początku.

— Nie rozumiesz miłości! Ty ją widzisz przez pryzmat ról komediowych, które recytujesz, i przez mgłę tych scen, które aktorki powtarzają w twoich ramionach! Przyzwyczyłeś się do niewiast, które twarz myją sobie wazeliną, a gdy opadają na kanapę – wydaje się, że czekają tylko na reżysera.

— Nie poniżaj mego zawodu i mojej klasy.

— Wiem coś o tej twojej „klasie”. Poznałem tam typy, które omal nie doprowadziły mnie do obłędu.

— Z pewnością – głupców.

— Ta perfidna kobieta...

— Perfidna, to trochę za ostro.

— Bronisz jej?

— Bronię samego siebie.

— Czy – przypadkiem – nie jesteś jej obecną ofiarą?

— Przypadkiem.. Dobrze powiedziałaś.

— Jesteś jej kochankiem?

— Niestety!

— Ach! — jak mnie to cieszy — roześmiał się Mauro. Osobliwe uczucie: wiedzieć o tym, że mój przyjaciel jest kochankiem mojej dawnej kochanki.. Coś, jakbyśmy byli kuzynami.

— Sam jesteś tego przyczyną — odparł aktor. — Gdyście się rozłączyli, tam w górach, ona zaczęła rozsyłać depesze i w ciągu kilku dni ściągnęła całą trupę. Po pierwszej próbie zawołała mnie i powiedziała, że jesteś zwyczajnym łotrem.

— Uwierzyłeś?

— Musiałem. Kryzys historyczny. Chciałem ją uspokoić – zaczęła płakać. Płakać tak, że mi przemókł rękaw i koszula...

— A potem?

— Ona mnie pocieszała.

— I zniszczyła ci inne ubranie?

— Nie, bo już przyszedłem w pizamie.

— Biedny przyjacielu! Kiedy sobie przypomnę, jak sam mi radziłeś, żebym od niej uciekał...

— Higieniści przestrzegają przed bakcyłami, ale zazwyczaj roznoszą je sami.

Aktor zatrzymał się przed bramą hotelu.

— Tu mieszkam.

— Ona też?

— Naturalnie. Kiedy cię zobaczę?

— Kiedy chcesz.

— Dzisiaj wieczór, po przedstawieniu.

— Gram z przyjaciółmi. A może byś wstąpił, wychodząc z teatru?

— Kawiarnia?...

— Zawsze ta sama.

— Co za stałość!

— Powiedział ktoś: łatwiej zmienić wyznanie niż kawiarnię.

Mauro kupił gazetę, wszedł do tramwaju. Czytał o tragicznym samobójstwie szwaczki, której rodzice nie chcieli pozwolić na małżeństwo: wbiła sobie nożyczki w brzuch – wobec przerażonych rodziców...

Myślał: przerażeni rodzice, którzy nie chcieli

zezwoić na małżeństwo, zasługują na tę samą śmierć; tymi samymi nożyczkami.

Dał drobny pieniądz konduktorowi i otrzymał w zamian porcję śliny podanej na brzeżku biletu.

Dzieciak klęczący na ławce trącił go nogą, brudząc nienagannie zapracowane spodnie.

Nie rozumiem — rozmyślał — dlaczego do tramwaju nie puszczają psów, a wpuszczają dzieci. Byłoby praktyczniej wpuszczać psy, a dzieciom kazać biec za wozem.

Złożył dziennik, wysiadł na rogu pustej ulicy. Na łagodnym stoku wspinała się cicha ulica; nieliczni przechodnie przesuwali się wzdłuż pałacyków: atelier artystów i wyłączone pudełka ludzi „poważnych”. Wśród chodnika, tu i ówdzie, wychylał się pęczek trawy.

Skręcił w bok. O tej godzinie Melitta oczekiwała go już przebrana w męską piżamę; układała na tacy owoce, biszkopty, albo – na elektrycznej kuchence – przysmażała skrawki chleba do tartinek. Śpiewała: Yes, we have no bananas – i rzucała okruchy chińskim rybkom, które zataczały złote kręgi w akwarium.

Wszedł.

Ciemno.

Zapalił światło, i długo trzymał rękę na kontakcie.

Podniósł portierę. Poczł zapach papierosów.

Zbliżył się do okna. Bacznie śledził ulicę.

Zeszedł do portierni: nie widziano Melitty. Żadnego listu.

Wrócił, napisał parę słów na kartce i zostawił ją na stole.

Wyszedł.

Śledził każdy powóz i każde auto, czy nie padnie z nich znane spojrzenie.

— Mauro!

Melitta odchyliła okno i kazała szoferowi zatrzymać.

Mauro wszedł, podał adres.

— Szukałeś mnie? Dokąd szedłeś? Do mego domu?

— Dlaczego tak późno?

— Rozmówka z rodziną, z powodu tego przekłętego mahometanina.

— Coś poważnego?

— Da się naprawić.

I dodała po chwili:

— Przynajmniej tak myślę.

Wysiedli. W pokoju przytuliła się do niego z miłością pełną rozpacz, a patrząc nań w milczeniu, uśmiechem powstrzymywała łzy, które cisnęły się do oczu. Ale oto kąciki ust zaczęły drgać, dwie linie zbiegły wzdłuż warg i całe ciało zgięło się jak podcięty kwiat.

Pierwszy raz widział ją płaczącą.

Biedne dziecko – drogie, kochane!...

Wziął ją w ramiona, podniósł. Złożył ją na miękkiej puszystej kanapie.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

— Mów — prosił Mauro.

Opadła mu na piersi, objęła za szyję – i opadła z powrotem, kryjąc głowę kochanka między swoje ramiona.

— Nie! Nie... — szepnęła. (Chciała się uśmiechnąć.) Jestem kobietą, jak wszystkie inne. I mam swoje „dni” i „nerwy”.

Nagle poderwała się, skoczyła na ziemię, wyprostowała się ze zwinnością akrobatki:

— Woda, herbata, cukier, masło, sardynki, owoce!

Mauro też powstał. Melitta założyła kontakt elektryczny, otarła wielkie, smutne oczy i podeszła do rybek wirujących w akwarium. Biedne rybki! I one musiały słuchać nakazu, który się zwie – konwenans! Jakie to obce, ale zgrabne słowo! W ogóle – rzeczy okrutne mają zazwyczaj wdzięczne nazwy. Najgorsze choroby, gazy trujące mają tak dźwięczne, subtelne imiona, że mogliby ich używać zakochani. Konwenans... Powiadają, że złote i czerwone rybki w akwarium powinny pływać tak, aby nie uderzać łebkami o szkło. Konwenans – to ta sala tortur, która zarówno rybkom jak i dziewczynom zabrania iść prosto, jasno – tak jak nakazuje instynkt – ale każe kręcić się, wirować w chorobliwych konwulsjach.

Melitta z ciekawością dziecka przekraczającego wciąż nowe granice i morza dalekie – wpadła w senne, ciasne akwarium.

— Jakie nudne dzisiaj są te rybki — mówiła do kochanka, gdy podszedł do niej, chcąc pomóc w

nakrywaniu stołu

W godzinę później odprowadzał ją ulicą milczącą i zatopioną we mgle, w tej mgle listopadowej, która nie jest smutna, ale budzi nieodparte pragnienie lata, upału; w której pojazdy snują się jak drobne zbłąkane światełka – a nagie gałęzie drzew płaczą ich zwichrzone włosy.

Przeszli most na rzece.

Dzwonki tramwajów dźwięczały głucho. Długie szeregi aut, połyskujących latarniami, stały przed jarzącym się wejściem kawiarni: światła latarni rzucały wielkie, błyskotliwe plamy, które rozbijały się na płonące krople i – im dalej – tym dziwniejsze budziły odbłyski – żółte, zielone, lazurowe – rozpluwając się wreszcie w fioletowym mroku. Oświetlone wystawy wchłaniały potok mgły.

Pożegnali się blisko jej domu. Mauro zawrócił. Na kołnierzu palta pozostał mu zapach fiołków i delikatny powiew futra: wspomnienie Melitty pachnącej jak fiołki i dzikiej jak...

lech pani dokończy, szanowna czytelniczko, dzikiej jak...

Niech Pani dokończy, szanowna czytelniczko, dziękuj jak...

Powiedzą to wszystkie panienki – nawet te, które wychowano uczciwie w klasztorze. Dziękuj jak...

— Jak rozwydrzona samiczka w lesie...

Doskonale! Otóż to właśnie!

* * *

Mauro i Melitta ugrzęźli w tej uśmiechniętej fazie miłości, gdy wszystko jest pełne słodyczy i zatapia się w kontemplacji własnego szczęścia; zmysły są uspokojone, miłość się utrwała, ale i kostnieje poniekąd, a kochankowie bawią się nią jak piłką, wiedząc, że odbije się, ale ani nie pęknie, ani nie straci kształtu. Okres pełen zasadzek i niebezpieczeństw. W radosnym używaniu bogactw nie pilnuje się ich; i wówczas łatwo wpaść w zaniedbanie, w nieostrożności, błędy stylu i serca; i nagle z tej szczęśliwej mgły wyłaniają się błędy i słabostki.

Tylko ci kochankowie mogą powiedzieć, że miłość ich jest wyższa ponad wszelkie reguły, gdy w tym

okresie – tak niebezpiecznym! – nie tracą nic z wzajemnego prestiżu.

Szlachetna czystość Melitty z każdym dniem nabierała więcej blasku; umysł jej jaśniał coraz nowym światłem.

— Dlaczego nie żenisz się z nią? — pytał aktor. — Z powodu tych... drobnych?

— Tak.

— Ma za mało?

— Nie. Za dużo.

— Każ sobie zrobić analizę krwi.

— Dlaczego?

— Paraliż postępowy w pierwszym stadium. Mówisz o zbyt wielkiej ilości gotówki; widoczne delirium megalomanii!

— Gdybym się z nią ożenił, wyglądałoby to na spekulację.

— Małżeństwo jest układem prawnym, w którym obie strony są pewne, że robią doskonały interes..

— Aforyzmy możesz zachować dla świątecznej publiczności; w życiu nie były one nigdy regułą. Ja jestem biedny, lub coś w tym rodzaju; nie mam zresztą

żadnego tytułu, dyplomu. Jej ojciec jest bogaty, a bracia mają dyplomy: jeden jest doktorem medycyny, drugi – zastępcą weterynarza.

— Na Boga! Weterynarz!

— Nic w tym śmiesznego. Ty, który grzebiesz się wciąż w przyrodniczych pismach, powinieś mieć więcej szacunku dla weterynarza niż dla profesora na przykład języka greckiego. Weterynarz studiuje rzeczy realne, pozytywne, użyteczne; badacze zaś greckich hieroglifów, piosenek prowansalskich lub łamigłówek filozoficznych – to zbieracze bezużytecznych starożytności, kolekcjonerzy dziwadeł, którzy – co najwyżej – mogą być tolerowani jako nieszkodliwi maniacy, zdecydowani na tę beznadziejną naukę, zamiast zbierać znaczki pocztowe. Do czego służy taki profesor sanskrytu? A weterynarz, który znalazł sposób na...

— Na przyprawienie kundlom sztucznych nóg. Doskonale. Ale powiedz mi: czy dlatego, że ojciec twej dziewczyny jest bogaty, a brat – weterynarz, czy dlatego zrezygnowałeś ze swego własnego szczęścia?

— Ale...

— Nieprzyzwoitość!

— Przypuśćmy że...

— Idiota!

— Winszuję...

— Śmieszny jesteś.

— Że ja...

— Dosyć! Mój kochany, tego wieczoru na przykład grałeś w pokera jak siostra miłosierdzia. Ciągnąłeś do koloru z trzema kartami; nie odważyłeś się na bluff; miałeś mnóstwo okazji – i wszystkie puszczałeś.

— Wygrałem dwieście lirów.

— Ale grałeś źle! Wygrać – to nie znaczy: grać dobrze. Jeśli wygrywasz w pokera albo z kobietami, lub w ogóle w życiu, to nie znaczy, że ci się to należy! Znaczy tylko – że masz szczęście w spotkaniu: cała sztuka w tym, by znaleźć partnera z gorszymi kartami.

Mauro i Lucjan błakali się bez celu. Przechadzki takie, bez określonej mety, podobne są do gorących dyskusji bez konkluzji.

Miasto rozbrzmiewało echem nocnego życia, co im przypominało scenę po przedstawieniu. Na środku

wielkiego, pustego placu – człeczyna grał na rozstrojonych organkach, w których poszczególne tuby wyraźnie cierpiały na chorobę krtani. Wzdłuż domów – pracowały przekupki miłości, po cenach wyjątkowo stałych, i strażnicy nocni, którzy punktualnie wsuwali swe karty w szczeliny wystaw sklepowych, ażeby złodzieje wiedzieli, w których godzinach mogą operować bezpiecznie.

— Gdybym wystąpił z propozycją małżeństwa, wywołałbym tylko wybuch śmiechu.

— Nikt się nie śmieje z tego, co jest niejako drugą naturą.

— Drugą naturą to właśnie – nie żenić się. Oczywiście, w życiu konwenansów. Nie dalej jak dzisiaj widziałem ją tak zdenerwowaną, tak biedną, że, dla samej jej ochrony, chciałem zaproponować...

— Elektryczną maszynkę do mielenia kawy, przyrząd do krajania sera – w ogóle krzesło elektryczne. Ale dlaczego tego nie zrobiłeś?

— Ona ma naturę włóczęgi, niestałą, zmienną...

— Ale i to przecież kiedyś się skończy! Nawet listonosz idzie na emeryturę. Jeśli cię poślubi –

będziecie podróżowali razem; taka niekończąca się podróż poślubna. Pomyśl, jak świetnie można się kłócić w pociągu!

— Wiem o tym dobrze.

Spotkali znajomych. Kilku z nich wyszło z kawiarni, gdy kelnerzy zaczęli gasić światła; błakali się po mieście, jak to robili co noc; do nich przyłączyło się paru przyjaciół; potem znów inni, choć bronili się z zegarkiem w rękę... Ale ich przekonano i pokonano. Szli razem.

Jedyny jest sposób, ażeby przedłużyć sobie życie: ograniczyć godziny snu.

— Dorożka! Dwie dorożki! Trzy dorożki — krzyczał Simonelli, karykaturzysta-megaloman, stary bywalec nocny, który budził uspiomych woźniców. A gdy cały orszak się uszykował, dorzucił:

— Jedyny jest sposób, ażeby nie wpaść pod nóż w nocy: wsiąść na ten nóż.

Trzy dorożki zawiozły dwunastu przyjaciół przed pewną nocną kawiarnią, która – wedle prawa – była dawno zamknięta, ale od strony podwórza dostępna

była dla gości dyskretnych, niezbyt krzykliwych i rozporządzających gotówką.

Lśniące gorsy u koszul, kwiaty w butonierce, nagie ramiona.

Butelki szampana zanurzone w lodzie, i dyskretnie okryte białą serwetą, ukrywały wstydliwie swe zagraniczne firmy i liczny poczet odznaczeń z wystaw.

Tłum ludzi, którzy palą i śmieją się. Znanie i osławione kokoty. Kelnerzy z obleśnym uśmiechem, którzy proponują zagraniczne cygara. Szanowni, nieposzlakowani panowie, których nikt nie śmie obrazić podejrzeniem, choć twarz niejednego z nich zdjęta z profilu i en face widnieje w archiwum policyjnym wraz z odciskami palców.

Towarzystwo w ogóle podejrzane, zatrute przesadną elegancją, alkoholem, kwasem węglowym i alkaloidami, które wpłynęło decydująco na powieściopisarstwo lat ostatnich, zaszczepiając czytelnikom zaszczytne idee, jako to: wychodzić na ulicę bez krawata, gryźć surowe, niezbyt czyste owoce, pić wodę z wodotrysków i pluć na wywieszone dzienniki.

Wytrawny kelner skłonił się głęboko, serwetą wywinał zgrabnego młynka i pilnie słuchał zamówień.

— Angiolo! Prawda, że należałoby zaprosić kobiety?

— Oczywiście! Codziennie ci to radzę.

— A później wyśmiewacie się ze mnie.

— Przyrzekamy ci święcie — mówił Paschetta, że nie będziemy ani słowa mówić o twym małżeństwie. Każdy człowiek ma swoją kroplę goryczy. To jest twoja. Nie będziemy jej rozmazywać. Jakby jej nie było! Życie zwierzęce ma pewne naturalne potrzeby, które się załatwia, nie opowiadając o tym nikomu. Przyjmujemy, że twoje małżeństwo należy do obrzydliwości, o których nie mówi się wśród ludzi dobrze wychowanych.

— O ile, rzecz jasna, nie zaczniesz fabrykować noworodków — wtrącił Caroli, malarz-pesymista.

— Tylko bez dzieci! — powiedział Paschetta. Rodzenie powinno być regulowane tak jak pewne obowiązki publiczne. — Jedno na tysiąc mieszkańców.

— Ożeń się — zachęcał go Casalegno, fotograf bez określonego celu życia. Są dwie kategorie ludzi: ci,

k którzy się żenia, i ci, którzy żalują, że tego nie uczynili.

— A ci, którzy żalują, że się ożenili?

— To też pierwsza kategoria.

Piti, literat i wróg literatury, wypił jednym haustem kufel jasnego zimnego piwa; po czym mówił:

— Zgodzisz się, drogi Mauro, że miłość gratisową można uprawiać do pewnego wieku. Później trzeba płacić, ażeby inni mogli korzystać z darmowych biletów. I ty dotychczas, jak wszyscy kawalerowie, zbierałeś próbki szczęścia, to jest przygody. Z biegiem lat zrozumiesz jednak, że nie można żyć z gratisowych próbek; trzeba kupić całą sztukę towaru. Ty zresztą z twoim stanowiskiem..

— Nie mam stanowiska.

— Świetna okazja, żeby je zyskać! Ożeń się. Społeczeństwo tego wymaga.

Paschetta potakiwał:

— Gdy się żyje w kraju pełnym przesądów, trzeba przyjąć jego zwyczaje. Ta niewiasta, dlatego, że jest bogata, daje ci sposobność wydobycia z życia wszystkich rozkoszy: produktów i superproduktów.

— Nie strasz mule. Nie chcę się z nią ożenić, gdyż

chcą mnie zmusić do małżeństwa.

— Kto?

— Rodzina.

— Ojciec?

— Brat młodszy; ona ma starszego brata.

Casalegno, który nie tracił równowagi ducha, radził:

— Spróbuj go ugłaskać ładnym krawatem. Nie ma takiego braciszka, który oparłby się pokusie modnego krawata.

— To nie jest braciszek. Człowiek dorosły. A przy tym — nie nosi krawatów, gdyż jest oficerem.

— Najpiękniejsze nogi we Włoszech — zachwycił się Pita, wskazując na Emmę Sanpiorenzo, pachnącą i jasną jak lipcowa noc.

Weszła z dwoma towarzyszami, którzy z pełnym ceremoniałem zdjęli płaszcz z jej ramion. Przyjaciele Maura porwali się, prawie wszyscy, aby pozdrowić znakomitą aktorkę, która z uśmiechem wdowy i subretki zarazem wyciągała dłoń ku cisnącym się ustom. Przy stole zostało zaledwie dwóch wiernych.

— Mów dalej.

— Dzisiaj więc odprowadziłem ją i wróciłem do siebie.

Słyszysz?

— Idę razem z tobą.

— W drzwiach spotkałem starszego pana, jakich pięćdziesięciu pięciu lat...

— Ojciec.

— Z podporucznikiem.

— Weterynarz?

— Właśnie: braciszek. Lodowate ukłony.

Prezentacja aż nadto chłodna. Proszę ich do środka:

podsuwam dwa fotele. — Pan uwiódł moją siostrę —

wybucho oficer. — Pan skompromitował moją córkę

— akcentuje ojciec. Ja na to: — Przepraszam, jedna

chwila... — Trzeba to naprawić! — rzuca brat przez

zęby. Starszy pan mnie hipnotyzuje, wojownik

przygniata. — Naprawić — ciska jeden. — Naprawić

— sylabizuje drugi, jakby chciał mi wbić w mózg

sprawę „naprawy” przed- i powojennej. Braciszek

przypomina z twarzy tego smoka z legendy, który ziej

ogniem. — Cóż pan postanowił? — wrzeszczy oficer.

— Moja córka jest zhańbiona — zauważa zimno papa.

— Zgwałcona — woła brat głosem operowym.. —

Przepraszam panów — mówię, korzystając z krótkiej przerwy — chciałbym wiedzieć, jeśli panowie bez ustanku mówią, dlaczego ich rozmowa toczy się właśnie w moim domu... — Na to ojciec, jak gdybym w ogóle ust nie otworzył, obwieszcza mi ultimatum: — Daję panu dwadzieścia cztery godziny do namysłu. A syn, uderzając dłonią po futerale z rewolwerem: — Spełni pan swój obowiązek, albo wpakuję panu dwie kule w brzuch: kaliber siedem...

— Razem czternaście. Musi mieć puls w nieporządku ów morderczy podporucznik.

— A kiedy uprzejmię zamykałem drzwi, powtórzył mi jeszcze: — Dwa ładunki – pistolet mauzer.

— Pistolet z operetki.

* * *

Z drugiego końca sali dobiegały dźwięczne trele paryskiej artystki, a muzyk Ripp półgłosem śpiewał jej do wtóru refren z ostatniej swej kompozycji.

Sella, poeta i ekonomista, słuchał uważnie Calandrina, który

wykładał mu najnowszy projekt dojścia do pieniędzy. Calandrino jest ostatnim typem prawdziwego bohémien: dziwaczny i ruchliwy, ma w sobie coś z muzycznego kłowna, a jednocześnie z mistyka, który daremnie szuka swego klasztoru; jest postacią wykrojoną z niesamowitej noweli Poe'ego. Spojrzenie – ascetyczne i słodkie jak u pewnych obłąkańców politycznych; ubranie – zblakłe w słońcu i wodzie – modnego zresztą kroju, gdyż nigdy nie było modne.

— Wystarczy otworzyć — opowiadał z zapalem — sklep z pomysłami: drewniany kiosk z drzwiczkami, stołem, lampą i wrzącym samowarem. Sklep z pomysłami: za pięćdziesiąt lirów sprzedaje się malarzowi pomysł do obrazu, literatowi – do nowelki, cukiernikowi – do nowego tortu; a potem żonie – jak ma pozyskać męża, a mężowi – jak pozbyć się żony...

— Sprzedaj mi taki pomysł — jak się pozbyć brata — prosił Mauro.

— Zaczekaj, jeszcze nie otworzyłem sklepu — odparł humorysta najpoważniej w świecie. — Ale z tym przedsiębiorstwem trudno jeszcze dojść do milionów.

Mam inny pomysł: fabrykować lekarstwo w fantastycznej ilości, rozrzucić je po całym świecie wśród szalonej reklamy. A gdy wszystkie apteki, nawet w najodleglejszych krajach, będą go miały pod dostatkiem, wypuścić pierwszą serię bakcyliów jakiejś choroby, którą leczyć można tylko tym lekarstwem. Aptekarze zawsze popełniali dotąd błąd, że wypuszczali i zachwalali same lekarstwa, zamiast wypuszczać choroby. Tak na przykład hiszpankę zorganizowano nieudolnie...

— Chodźmy. Wiecie która godzina?

— Godzina? Cóż mnie obchodzi godzina?

— mruczał Paschetta. — Dlatego, że głupie wskazówki tak czy inaczej ustawiają się na pokreślonej płytce, ja mam przerywać sen, miłość czy rozmowę?

— Kelner cię wyprosi.

— Gdy będziesz miał żonę, co wieczór będę przychodził do ciebie – po to tylko, żeby uchronić się przed kelnerem.

— Czy to jedyny zysk małżeństwa?

— Dla nas, przemysłowców tak zwanej rozkoszy, przyzwyczajonych do zakazanych awantur, małżeństwo

przedstawia tylko idealną możność spokoju, kiedy – żeby się kochać – wystarczy zdjąć buty. Ale przyjdzie dzień, gdy już nie będę myślał o tej przyjemności; wówczas kupię sobie zapas tytoniu, i zamknę się w domu, przy pianinie.

— Słowem: nasiadówka harmonii — zauważył Piti.

— Gdybym miał dziesięć tysięcy, zaraz kupiłbym pianino.

— Taniej wypada małżeństwo z nauczycielką muzyki.

— Niewątpliwie. Ale nauczycielka muzyki wychodzi za mąż po to, aby przestać grać.

* * *

Gdyby ta książka była pisana czterdzieści lat temu, albo przez jakiegoś szanownego kolegę, który o tyleż lat się spóźnił, nie byłoby tu na pewno odchylenia w powieści, które zaraz sprostuję.

Ostatnie sceny, rozgrywające się w nocnej kawiarni, nie zajmują dwu godzin z rzędu, ale ten sam czas w ciągu dwu nocy.

Wesoła banda Maura, po upływie doby, zebrała się w tej samej knajpie. Znów nawiązano rozmowę i obie noce podobne były do siebie jak dwie krople wody.

Między jedną nocą a drugą odbyło się spotkanie Maura z ojcem Melitty i weterynarzem, o czym ów ohydny uwodziciel opowiadał przyjaciółom.

* * *

— W rezultacie, czy można wiedzieć dlaczego cię chcą ożenić?

— Dlatego, że była moją kochanką.

— Czy to wystarcza? Jeśli się miało kobietę – i dlatego trzeba się z nią żenić, to zupełnie tak, jakbyś ukradł trąbkę samochodową i za to kazali ci odkupić samochód. Zapłać za trąbkę!

— Nic nie zapłacę.

— A więc ożenisz się?

— Nie ożenię się.

— Zakładam się o moje wąsy, że się ożenisz!

— Bo nie masz wąsów?

— Zakładam się na słowo.

— Ale ty ją kochasz?

— Kochałem ją; miłością idealną.

Poeta Sella, który wychodził właśnie i rozdawał uściski dłoni, zadeklamował na pożegnanie:

— Miłość idealna jest jak jarska dieta, łagodzi nasze mięsożerne zmysły. Nic wstydźcie się, kochajcie się, aż do absurdu. Kiedyż człowiek inteligentny pozwolić sobie może na to, by być kretynek, jeśli nie w miłości?

Mauro uśmiechnął się i wyciągnął na kanapie. Wzruszenia dnia wyczerpały go tak, że teraz był śpiący. Trwał w stanie półodrętwienia, które mgłą przesłania rzeczy i ludzi, pozwala słyszeć, ale nie każe słuchać. Ospalność – która oddala głosy i zaciera postaci, wszystko osłaniając obłokiem.

Dobiegały go słowa i zdania zmieszane:

— Będziemy olbrzymim państwem, jeśli się zgodzimy być małym narodem..

Ktoś odpowiadał:

— Polityka to nie głośnie i uroczyste hasła, ale lista kursów giełdowych..

A ponad wszystkimi brzmiał głos Pavia, teozofa, badacza labiryntów filozofii:

— Zanim społeczeństwo pójdzie na galery, człowiek przebyć musi więzienie prewencyjne rodziny.

Mauro drzemał. Słyszał dźwięk monet na marmurowym stole, dzwonki telefonu, huk wentylatora. I głosy, wciąż głosy zmieszane... Brzęk kieliszków, tarcie zapalanych zapalek, duchoty kobiet, które wychodziły, i zalotny śmiech tych, które dopiero wchodziły...

— Gdy zazdrościmy sobie przeszłości, to tylko z obawy przed zarażeniem się syfilisem — mówił Paschetta.

— Gonokoki, zanim rozpoczną swoją działalność — tłumaczył Piti — pozostają nieczynne przez całe sześć godzin. Akurat dość czasu, ażeby grzesznicy, którzy przyjeżdżają z prowincji, mieli czas powrócić do domu i tam poddać się dezynfekcji.

Mauro, drzemiąc z współtwartymi oczyma, myślał:

— Musi już być późno, jeśli mówią o chorobach wenerycznych.

Potem słyszał niewyraźnie, jak Simonetti rozprawia

z kimś o estetyce.

— Tajemnica piękności polega na akcentowaniu własnego typu, nie zaś na zmienianiu. Brunetka chce być bardziej jeszcze czarna. Blondynka – bardziej jasna. Błędem jest natomiast, gdy brunetka tleni sobie włosy. Założę kiedyś instytut piękności. Wchodzić się tam będzie z mordą małpy, a wychodzić – z obliczem anioła.

Mauro leżał bokiem. Zasypiał. Rozmowy nie interesowały go: nie mówiono o miłości.

— Kobiecie się wydaje że jest wybranką, a przecież ona wybiera mężczyznę — analizował Paschetta. — Gdy mężczyzna jej się podoba, daje mu do zrozumienia, że – jeśli poprosi – odda mu się. Stwarza złudzenie, że to ją nagabują, a łapie w swoje sieci. Podobnie jak prestidigitator: oszukuje cię, podając kartę, której rzekomo żądasz, bo wybierasz kartę, którą ci wsuwa do ręki.

Mówiono o miłości. Mauro się obudził.

Casalesco, fotograf metafizyczny, określał miłość wieczną w terminach z dziedziny gospodarstwa:

— Mężczyzna zabiega o kobietę, gdyż poświęcił

jej już część siebie i swego czasu. Ażeby tego kapitału nie stracić, wykląda dalsze sumy: ażeby nie zmarnować dziesięciu minut, pan, który rozmawiał z kobietą na rogu ulicy, czeka potem pół godziny. Kto przegrał sto lirów, rzuca tysiąc, by odzyskać tę pierwszą stawkę. Oczywiście traci tysiąc. Ażeby nie stracić pierwszych trzech miesięcy miłości, masz kobietę na karku przez całe życie.

— O czym myślisz?

— Myślę — westchnął smutno Passoni, adwokat zblazowany — co ma robić prawdziwy viveur w Turynie i jak tu dostać morskiej choroby nad naszym jeziorkiem Avigliana.

Wchodził właśnie jegomość, znany ze „złego spojrzenia”.

Posypały się rozmaite zaklęcia i pukania. Ktoś jednak machnął ręką.

— Źle robisz — ostrzegał go Sella, poeta o blond włosach — jeśli nie wierzysz w złe oczy, czarodziejskie pierścienie i amulety. Tam, gdzie dla pewnych ludzi jest już pustka lub nicość, dla wierzących zawsze przecie zostanie światełko.

(Jakże to? Czyż poeta ów nie wyszedł, zapinając na wegetariańskim brzuchu swoje zacne futro?

Owszem. Ale wrócił już, gdyż znów upłynęło dwadzieścia cztery godziny...)

* * *

W tym czasie, jedna ze złotych rybek zdechła – a ponad jej ciałkiem, lśniącem i martwym, towarzyszki zawodziły ton żałobny.

Mauro nie widział się z Melittą, ale za to spotkał się ponownie z jej bratem i, po radzie z najbliższymi przyjaciółmi, powrócił do knajpy.

Knajpa.

Lucjan słuchał cierpliwie wszystkich skarg i boleści skazanego na małżeństwo, spoglądał nań uważnie przez monokl (oko w lodzie, jak mawiał malarz Caroli) i z roztargnieniem myślał o własnych kłopotach.

Gdy któryś z przyjaciół opowiada swoje troski – jest to najlepsza chwila by pomyśleć o własnych. Wygrzebujemy wówczas z pamięci zapomniane drobiazgi, a przyjaciel spełnia tylko rolę odzwierne

twojej mózgowicy.

Mauro opowiadał:

— Nie uczyniłem absolutnie nic, ażeby zdobyć tę dziewczynę. Oddała mi się jak...

— Oszczędź nam porównań. Dobrze? — powstrzymał go Piti, literat nie znoszący retoryki.

— Nie kochałem jej. Tyle że mi się podobała. Odrobinę zresztą. Miała czar niewinności.

— Niewinność... — zaczął Paschetta.

— Oducz się tych aforyzmów — prosił Piti.

— Zdawało mi się, że to moja siostra. Kochałem ją jak siostrę...

— Ażeby dodać i kazirodztwo do tej idealnej miłości...

— Jak siostrę, z którą rozmawia się o najniewinniejszych rzeczach. Opowiadała mi, że ma ciasne buciki; ja zaś – o moim bólu głowy. Nie myślałem nigdy że nasze dialogi mogłyby nas zaprowadzić dalej. Zapewniam was, że – po mojej pierwszej kochance o rozszarpanych nerwach, stwarzającej atmosferę sirocca – dziewczynka ta była dla mnie oazą...

— Na Saharze. Gadaj dalej.

— Szanuj pejzaż.

— Ten ustawiczny ruch, który tamta wyprowadzała do naszej miłości, kazał mi tęsknić za miłością statyczną, nieruchomą, bezwładną. Dziewczynka uosabiała spokój...

— Wierny to wszystko. Jużes to mówił.

— Ale Paschetta nie wie...

— Szczęśliwiec! Wierzy w to!

— Mieliliśmy dni cudowne, boskie, rajske, edenowe. Nie umiem nawet znaleźć odpowiedniego przymiotnika.

— Nie fatyguj się.

— W małym hoteliku, w górach, gdzie stała się moja...

— Bez wstępu?

— Bez wstępnych świństw. Bez tego udawania wstydlivosti, które jest chytrym podniecaniem.

— Daj pokój.

— Ale, oddając się, była tak uczciwa, że mi powiedziała: Cokolwiek się stanie ze mną, nie będziesz o tym wiedział.

— Wszystkie mówią to samo.

— Strzał mierzący w oddalony cel, do małżeństwa.

— Nie mogę uwierzyć, aby miała zamiary matrymonialne – ona, która przegląda co chwila biuletyny linii okrętowych, a po trzech miesiący pobytu w jakimś kraju czuje potrzebę przekroczenia granicy.

— Znam te włóczęgi. Na każdej komorze zdaje im się, że zostawiają przeszłość.

— Nie miała przeszłości. Ja byłem pierwszy.

Trzej słuchacze spojrzeli na siebie, ale żaden nie zaprzeczył.

— Nie wierzycie?

— Wszystko jest możliwe.

Adwokat, który słuchał, nie zabierając głosu, z zamkniętych ust wypuścił sarkastyczny dźwięk, polegający na wydaniu przez nos trzech lub czterech hm. Potem trącił Piti'ego łokciem i szepnął:

— Tak oto staje się rogaczem bez nauczyciela.

„Nieuchwytna” prawie piękna w martwym świetle abażurów, weszła.

Incessu papuit dea.

Zdanie łacińskie o pewnych godzinach nocy równa

się tak zwanemu napić się czegoś ciepłego i pokrzepia ducha.

„Nieuchwytna” weszła hieratycznym krokiem w towarzystwie lśniącego, emaliowanego jegomościa, który pomógł jej zdjąć futro o płomienistej podszewce.

Na nagiej szyi zwieszał jej się aż do pasa łańcuszek platynowy ze złotym krzyżykiem.

„Nieuchwytna”, która cieszy się opinią niedotkniętej, jest najbardziej zdradzieckim typem prostytutki. Niektórzy mówią o deformacji anatomicznej, inni o psychozie płciowej. Nie wiadomo, jak żyje i jaka jest wobec mężczyzn forma jej działalności zawodowej.

Metafizyczny fotograf poznał ją:

— To jedna z owych studentek rosyjskich (popatrzcie, jaki urok azjatycki!), które przed dwunastu laty przyjeżdżały do Włoch aby głosić wolną miłość i łapać na mężów rewolucjonistów włoskich. Nie oddaje się, bo jest histerycznie zimna.

Filozof Pavia, idealista humanitarny, wygłosił sentencję:

— Być może, że nie chce się oddać, bo ma

arystokratyczny zmysł czystości i chęć wywyższenia się.

Piti odparł:

— Najlepszą zemstą wobec kobiet, które chcą uchodzić za cnotliwe, jest wierzyć w tę ich cnotliwość bez zastrzeżeń.

Towarzysz „Nieuchwytnej” skinał na przekupnia ostryg. Sprzedawca tyfusu w skorupkach przybiegł z ukłonami i swymi mięczakami.

— Trzeba jeszcze czegoś innego!

— Najsilniejszą podniętą dla kobiety jest banknot tysiąclirowy — powiedział Piti.

— Są wyjątki — zaprotestował filozof.

— To prawda — przyznał Piti — są wyjątki: te — które chcą dwóch tysięcy.

* * *

Scena jest zawsze ta sama, ale minął jeden dzień.

Nie ma prawie nikogo w knajpie.

Na marginesie dziennika, Pita wypisuje kwartyny oszczędnościowo-kieszonkowe na cześć łotrzyca,

która dopiero dwadzieścia pięć razy traciła dziewictwo:

Usta świeże,
czoło bez cienia,
jak miniatura
Odrodzenia.

Co czyni poezję współczesną nie do zniesienia, to używanie szerokich arkuszy, które zmuszają do wyciągania długich wierszy.

Gdyby poeci chcieli pisać na marginesach dzienników, ileż na tym zyskałaby poezja.

Wyrzekły dobrze
usta dziewczynki
swawolnym ruchem
małej małpeczki.

Piti pisał, a Lucjan, komediant i komediograf, wylewał w jego łono gniew na zimne przyjęcie przez krytykę jego nowej komedii.

A Piti:

Oddała mi się
naga, pobladła,
miękka, bez kości,
jak obraz sadła.

— Do diabła z nią! — wrzasnął Lucjan. — To kokota.

A Piti:

Mówisz kokota?
Nie, to figurka
i bohaterka
pism Walter-Scotta.

A Lucjan znowu od początku:

— Krytyka...

Piti zniął w kulkę swe kwartyny kieszonkowe i palcem wskazującym wystrzelił nią w ogon fraka kelnera.

Odpowiedział potem pobłażliwie:

— Nie mów nic złego na krytykę, na tę pobożną,

święta, dobroczynna, filantropijną instytucję, która służy do ulżenia szlachetnej wściekłości upadłych.

— Zostaw w spokoju upadłych! — zaprotestował komediograf Nino Berrini, pokazując majolikę swego senegalskiego uśmiechu pod węglem wąsów karabiniera. — Pozwól im gadać! Jest to ich jedyna przyjemność. Ty masz pełny teatr, powodzenie, poklaski, – a oni nie mają nic. Skazani są na życie w ciemnościach aż do śmierci, a na rozdzierający ból, jaki im sprawia nasze powodzenie, nie mają innej pociechy jak nienawiść do nas.

I wraził rozwścieczone zęby w krąg ananasa z kirszem.

Kokoteczka preraffaeliczna o akwarelowej karnacji, aby coś przecie robić, zakaszłała, schylając twarz ku ramionom, i – zamiast podnieść rękę do ust – zakaszłała sobie na łopatkę.

— Podoba mi się ta kokoteczka.

— Za pięćdziesiąt lirów możesz ją sobie zafundować.

— Za pięćdziesiąt lirów możesz ją wziąć sam.

— Będę cię leczył!

— Uchowaj mnie Boże od lekarzy! — wrzasnął Piti. — Medycyna to umiejętność odprowadzania z greckimi terminami do ostatniego mieszkania.

— Dała syfa najpiękniejszym okazom naszej jeunesse dorée.

— A wyleczyła się?

— Ale potem znów go złapała.

— Mogłaby do siebie zastosować motto D'Annunzia: Mam to, co sam darowałem.

Dwuznaczny efeb, zbyt piękny i zbyt jasnowłosy, wszedł z zuchwałym kołysaniem bioder, usiadł i zamówił natchnionym głosem trunk (anyż z wodą).

Był to hiperesteta i nadczulek.

Błądy z nudów, rozłożył na marmurze arkusze papieru, dużo arkuszy, strasznie dużo arkuszy, i – podtrzymując czoło końcem palca – zapisywał linie długie i linie krótkie, z obfitym szafowaniem wykrzyknikami.

Dwóch epikurejczyków kawo-mlecznych woła:

— Teresino!

On podnosi czoło jasne jak noc księżycowa, uśmiecha się uduchowanie i kłania z nostalgicznym

otrząsaniem z czoła złocistego pukla pomiędzy łukowatymi brwiami.

Młody medyk Santora bada poprzez okulary bladą Taidę i z oddalenia stawia diagnozę „wegetacji brzusznych”.

Piotr Gelli, powieściopisarz powojenny, wykazuje skomplikowanymi wyliczeniami, że – jeżeli zsumujemy wszystko, co nas kosztuje żona przez całe życie, i podzielimy to przez liczbę użytkowania jej przez męża zdrowej kompleksji – otrzymamy jako iloraz kwotę, która wystarczy szczerze na opłacenie za tę samą liczbę łask najbardziej doświadczonej kurtyzany, najbardziej wymagającej awanturnicy, najbardziej emocjonującej american beauty.

Mauro nic przyszedł jeszcze. Musiało już być późno, bo Paschetta był w fazie żalobnych aforyzmów:

— Smutno mi się robi na myśl o umarłych, bo jest ich za mało. Zaczynam myśleć o żywych – i staję się jeszcze bardziej melancholijny, bo jest ich za dużo.

Uczuwano w powietrzu pewien niepokój.

Czyżby Mauro poszedł do łóżka z dwiema kulami w żołądku?

— Czy naboje mogą być niestrawne?

— Jeżeli żołądek jest słaby – tak — odparł chirurg.

Filozof Pawia, przegarniając palcami pozostałe na czaszce włosy (reszta opadła mu na kołnierz) robił frykcje filozoficzne pewnej prostytutce intelektualnej – z tych, które chowają śpiewy Aleardiego na komodzie, pod flaszeczką gliceryny.

— Profesor Pawia — zauważył ktoś — odkupuje Magdalenę skruszoną... że zaczęła za późno.

— Ma nadzieję, że spotka, jak Voltaire, jakąś Ninon de Lanclos, która mu pozostawi dwa tysiące franków na kupno książek.

Północ.

— Otóż on!

Mauro wszedł.

— Czemu tak późno?

— Czemuś tak wzburzony?

— Gdybyście wiedzieli!...

Trzymając nogi pod kanapą, odsunęli stolik i wzięli go do środka.

— Wyobraźcie sobie – właśnie jechałem taksówką – wpadamy na księdza.

— Umarł?

— Wyleczy się za parę tygodni, ale musieliśmy zawieźć go do szpitala, jechać na policję, tracić czas!

Księża przynoszą nieszczęście. Przychodzę do domu...

— Dajcie mi pić. Do tej chwili gadałem z tymi ludźmi.

Zdejmę palto. — Cała rodzina wpakowała się na mnie.

Topnieję z gorąca. Cała rodzina, nawet ciotka. Nawet

ten nosorożec, samiec ciotki. Chce się bić ze mną.

— Ciotka?

— Brat.

— No?

— Chce wstąpić do klasztoru.

— Brat?

— Ciotka. Ze wstydu. Bo taki skandal. Chce oskarżyć mnie przed prokuratorem.

— Ciotka?

— Ojciec.

— Opowiadaj po kolei.

— To nie tak łatwo. Jest tam nawet Turek.

— Co za Turek?

— Narzeczony.

— Więc ma narzeczonego?

— Nie ona. Jej siostra.

Architekt Pagano wyszczerzył jęzemy, a młody chirurg wlał Maurowi w usta kieliszek gencjany.

Mauro zmartwiał w ohydny grymasie, po czym zaczął znowu:

— Po pierwszej rozprawie dali mi dwadzieścia cztery godziny do namysłu, ale po dwunastu godzinach znów ich mam u siebie. Miałem jeszcze dwanaście godzin zapasowych...

— Racja!

— A tu weterynarz mówi mi zniecka...

— Czemu on się nie zajmuje swymi mułami?

— Końmi, nie mułami. Jest w pułku kawalerii,

— Nie zważaj na przerwy. Mów dalej. Cóż on powiedział zniecka?

— Ożeń się pan!

— Ale przecież to ci już mówił.

— Powtórzył: ożeń się pan!

— Niewiele wymaga!

— Wydaje ci się za mało?

— Wydaje mi się – w miarę.

— Ojciec bez ogródek zaczął mówić o posagu.

— Co za sympatyczny ojciec!

— To zależy od sumy.

— Brat zaś – o datach. Jutro zapowiedzi w magistracie, za dwa tygodnie – ślub.

— Co za pośpiech!

— Oszczędzają ci fatygi długich zaręczyn. A ty co na to?

— Nie!

— Toś numer! Podoba ci się ta dziewczyna?

— Tak.

— Kochasz ją?

— Tak.

— Chcesz większego posagu?

— Gwizdzę na posag.

— Więc?...

Mauro uczynił pauzę, równającą się zmianie tonu, i rzekł z zaakcentowaną jasnością:

— Nie mógłbym kochać już dziewczyny, która oddawszy mi się bez wyrachowania, wyciąga teraz korzyści ze swego oddania, aby złapać męża.

— Kiedy to nie ona chce łapać męża!

— Wiem. Nie mógłbym jednak oddzielić jej osoby

od rodziców. Koniec końców, oświadczyła rodzinie, że jest moją kochanką. To wystarczyło, aby ich poszczuć na mnie.

— Trzeba się dowiedzieć, co oświadczyła, czy wyznała, czy dała do zrozumienia.

— Subtelności, kochany adwokacie!

— Albo czy sami nie wykryli wszystkiego?

— Nie bądź no obrońcą z urzędu.

— A ty jej nie oskarżaj, zanim z nią nie pomówisz.

— Widziałeś ją już po tym?

— Nie pozwalają jej wychodzić.

— Szelmy! A tobie co mówią o niej?

Aby mnie wzruszyć, mówią, że wpada w suchoty. Ludziska zawsze jeszcze wierzą, że bakcyle Kocha skłonne są do ukazania się na scenie z powodu bankructwa, niepowodzenia na konkursie lub zawodu miłośnego.

— Wiedzą, że jesteś sentymentalny, a suchoty cieszą się jeszcze wielkim powodzeniem pomiędzy romantykami.

— Ale nie pomiędzy higienistami. Chcąc przedstawić ją jako męczennicę, przedstawiają jako

kretynkę. Obawiają się, że sobie życie odbierze. Chce pan, żeby się zabiła? piszcziała ciotka. Tak się mówi! odparłem. Tak się robi – odpowiedziała i zapewniła mnie, że dziewczynka ma zawsze sublimat na stoliku.

— Wystarczy go jej zabrać.

— To samo powiedziałem. Zamiast skłonić mnie do miłości, obrzydzą mi ją. Wyobraź sobie, że kiedy ciotka powtarzała Chce pan, żeby się zabiła? odpowiedziałem: Postąpiłaby zgodnie ze swoim obowiązkiem. Gdybyście słyszeli wrzaski ciotki. Erynia! Syrena z fiata! Dziewica szamocąca się w pazurach goryla. Nie wiedziałem, jak ją uciszyć. Im bardziej ją uśmierzałem, tym bardziej wrzeszczała.

— Wystarczyłoby przeciąć jej nerw głosowy — wytłumaczył spokojnie chirurg.

— Dziś zaś przyszło do mnie dwóch oficerów.

— Weterynarzy?

— Kawalerii. Wyzwanie.

— Bijesz się?

— Nie można odmawiać, kiedy jest się człowiekiem honoru. Kto uderza nożem w chwili gniewu, czy to z powodu namiętności łatwej do

wytłumaczenia, czy z powodu strasznego wyzwania, jest nożownikiem. Ale kto po latach trenowania się w fechtunku dla pięknego gestu nadziewa na szpadę bliźniego, ten jest człowiekiem honoru.

— A twoi świadkowie?

— Pytałem mego portiera, czy chce być moim sekundantem, ponieważ – gdy go proszą o umycie szyb, porąbanie drewna lub duszenie kur – nie odmawia nigdy.

— Zgodził się?

— Nie. W domu naprzeciwko mieszka Ombel Ik, pajac vieux style, nieopisany komik z Caspità-Film. Posyłam mu bilet wizytowy. Przyjmuje mnie. Pytam, czy chce mi sekundować.

— Skracaj się. Co ci odpowiedział pajac?

— Że jest za poważny na wyprawianie takich błazeństw.

— Każdemu wolno mieć swoje zdanie.

— Nareszcie wpadam na Pelliniego i Fermentiego...

Mauro wystawił rogi z dwu palców obu rąk.

Inni dotknęli żelaza, drewna, rogu koralowego i

innych, intymniejszych amuletów. Zażegnawali „złe oko” rozmaitymi sposobami, podług rozmaitych metod (metalicznej, roślinnej, zoologicznej).

— Pellini i Fermenti jako przedsiębiorcy pogrzebowi, dokładają starań o zarobienie na pojedynku jednego przynajmniej trupa. Toteż, zaledwie spotkali się z sekundantami strony przeciwnej, ułożyli pojedynek na pistolety, na dziesięć kroków, ze swobodą strzelania nieograniczonej ilości razy.

— Zabiłeś go już?

— Nie. Ojciec przyszedł do mnie przed dwiema godzinami, prosząc, żebym się nie bił, bo taki pojedynek ściagnąłby uwagę na dziewczynę, kompromitując ją raz na zawsze.

— Słusznie. A cóż twoi przedsiębiorcy pogrzebowi na to, widząc że im ucieka trup?

— Wobec solennego zobowiązania ciotki, że umrze z bólu w ciągu trzech miesięcy, odeszli, pozostawiając adres firmy z numerem telefonu i cennikiem.

— No, to jesteś spokojny.

— Nie. Pozywają mnie do sądu o zepsucie

małoletniej.

— Nie ma jeszcze dwudziestu jeden lat?

— Będzie miała za kilka miesięcy.

— Posiadłeś ją gwałtem?

— Nie trzeba było.

— Oddała się z dobrej woli?

— To wszystko jedno. Wszystkie kobiety oddają się z dobrej woli. Żadnej nikt nigdy nie brał gwałtem.

— Możesz więc być skazany?

— Tak, jeżeli się z nią nie ożenię.

— W takim razie, sędziowie wydadzą lekki wyrok skazujący warunkowo. Prawda, adwokacie?

— Tak bywa zwykle. Ja cię bronię.

— Ale ja mam już wyrok warunkowy za znieważenie kolejarza. A jeżeli znów mnie skarżą...

— Będziesz musiał odsiedzieć dwie kary, starą i nową.

— Nie ma innego wyjścia?

— Ja go nie widzę.

— Ożeń się.

— Wstąp w święty związek małżeński.

— Stań przed ołtarzem.

— Z obrączką na palcu.

Kelner na tajemniczy rozkaz postawił na stoliku kubałek metalowy z lodem i spowodował wyskoczenie korka z obowiązkowym hukiem wliczonym już w cenę szampana.

Architekt wypróżnił jednym haustem szumiący kielich przed rozpoczęciem przemowy, aby nie wylać go na siebie w zapale natchnienia. Ale napełnił go znowu, bo niepodobna improwizować przy pustym kieliszku.

Malarz wystąpił z pantomimą sceny z siedemnastego wieku, dowcipnie sprośnej, na brzuchatych lekturkach w stylu Ludwika piętnastego.

Chirurg ofiarował kleszcze do dyspozycji nowonarodzonego, naturalnie płci męskiej.

— Palta!

Wyszli.

Była czwarta rano.

Na progu uklonił im się żebrak.

— Nie dawaj mu nic. Udaje kalekę.

— Daję mu podwójną jałmużnę. Cóż za zasługę miałby prawdziwy kaleka? A ten, kiedy zadaje sobie

trud udawania, musi być wynagrodzony za fatygę.

Mauro i Lucjan skierowali się ku hotelowi, gdzie Lucjan mieszkał z aktorką.

— Byłeś poza domem przez całą noc. Nie boisz się jej gniewu?

— Nic mi nie powie.

Gdy byli przed hotelem, podnieśli oczy ku pewnemu oświetlonemu oknu na drugim piętrze.

Spojrzenia ich spotkały się.

I Mauro nieraz miewał chwile, gdy był wolny na całą noc, ale wtedy pozostawał na ulicy aż do świtu – spoglądał w okno i liczył, ile razy tajemniczy osobnik kazał jej zapalać światło.

— Szczęśliwy jesteś, że nie cierpisz.

Aktor westchnął.

— Trzeba przyjmować od kobiet, mój kochany Mauro to, co ci same dają, i nie żądać więcej. Brać – jakie są. To cudowne zwierzęta.

— Tak, cudowne zwierzęta, które by należało podziwiać w zwierzyńcach, za grubymi kratami, jako dziwy.

Zwierzątka...

Melitta, wstrząsana dreszczami, uciekła do swego pokoju, nie chcąc nic odpowiadać nikomu.

Dwa czy trzy razy trybunał złożony z ojca, ciotki i weterynarza na próżno próbował pytać, błagać i wyrwać ją z tego milczącego oporu.

Zamknięta w sobie, otulona w norki i wciśnięta w fotel, kryła twarz w miękkie futro – jak ślimaki, kiedy, czując bliskość niebezpieczeństwa, wciągają rogi, chowają łapy i udają nieżywych.

Nie cierpiała. Jadowity gniew, którym był dom napełniony, nie dotknął jej.

Świat jej uczuć był tak niewspółmierny z temperamentem otoczenia, że pozostawała obojętna na krzyki, niedotknięta wyrzutami tej hałasty, co, wyęzając wszystkie siły w obronie moralności, dawała panoramę swej średniowiecznej głupoty.

Przyczepki ciotki, krzyki brata, słowa surowe lecz spokojne ojca sięgały jej uszu jak szereg zniekształconych sylab.

Ona i jej rodzina były moralnie jak dwa ciała, przyległe ale niemieszające się; tak jak lak i pieczętka. Co w jednym jest wypukłe, w drugim jest wklęsłe.

Zuchwałe nowatorskie wypukłości charakteru Melitty odpowiadają wstecznej bigoterii rodziny.

Melitta, która była dziewicą jeszcze przed dwoma miesiącami, może wskutek opóźnienia dojrzałości płciowej swych żądz, miała pojęcie o miłości zbyt nowoczesne, zbyt schematyczne naukowo, by dać się nadziewać niedorzecznymi przesadami hołoty, z którą łączyły ją jedynie słabe i konwencjonalne węzły rodzinne.

Była w Austrii i Niemczech, w krajach o wielkim rozwoju przemysłowym, gdzie wolna miłość nie jest brudzona jezuickim „zdrowym rozsądkiem” krajów łacińskich.

Była w Belgii, gdzie pary się rozdzielają, gdy miłość ich już nie wiąże, spotykając się co pewien czas dla zwykłych spraw administracji, jak mówią ministrowie w stanie dymisji.

Na Boulevard Anspach w Brukseli widywała panny z najlepszych rodzin, jak witały ręką

nieznajomych młodzieńców, którzy w przejściu rzucili im komplement dla ich wdzięków.

Wiedziała, że tam, jeśli panna wraca do domu w odmiennym stanie, nie bywa przeklinana przez ojca, który rwie sobie czcigodną białą brodę i wyrzuca na ulicę – ją i „owoc grzechu”.

Przeciwnie, przyjmują ją w domu z tymi ciepłymi słowami, na które zasługuje kobieta, nawiedzona nadnaturalną tajemnicą macierzyństwa.

Kiedy dziecko przychodzi na świat, jest chętnie widziane, a jeżeli matka nie może się nim zająć, żywią je i wychowują dziadkowie.

W Belgii nieszczęśliwe wypadki przy pracy Kupida – to komedia kończąca się wesoło.

We Włoszech – należą one do krwawego repertuaru Grand-Guignolu. Ojciec może bezkarnie zabić córkę „zhańbioną”, tak jak mąż może zadusić niewierną małżonkę.

Wszyscy wiedzą, że – u nas – kto zabije żonę, pewny jest uniewinnienia, bo dzięki imponującej większości rogaczy, na dziesięciu przysięgłych co

najmniej pięciu dźwiga rogi, a ci wystarczają do wydania wyroku uniewinniającego.

Kilka dni przedtem, Donatella osłupiała, zobaczywszy Melittę nagą aż do pasa, gdy schodziła do łazienki, by puścić sobie lodowaty prysznic na piersi.

Piersi!

A Melitta, śmiejąc się ze zgorzenia Donatelli, rzuciła jej w przejściu:

— Kobieta z plemienia Naga!

Donatella płakała przez kilka godzin.

— Naga! Dlaczego mnie przeżywasz kobietą z plemienia Naga? — zapytała, wyczerpawszy wszystkie zapasy wodne swej urazy.

— Kobiety z plemienia Naga są jak ty, Donatello. Wstydlivość osiedlają w piersiach. Każdy kraj posiada własną strefę wstydlivości. W Japonii mieści się ona od pięty wzwyż. W niektórych krajach syberyjskich – w stopie. W Turcji – na twarzy. W Guaycum kobiety nie wstydzą się ukazywać nagie, lecz rozbierać się, a mężczyźni – ubierać.

— Wygłasza pani odczyt o psychologii narodów?

— przerwał szyderczo Don Cicillo, nadszedłszy na

palcach. — Ja, który według pani jestem Turkiem, mogę służyć jako przedmiot studiów.

— Studiów nad zwierzętami, które nie mogą się zaaklimatyzować — odcięła się Iluszka.

Donatella spróbowała trysnąć nową falą łez, ale, znalazwszy zbiorniki wyczerpane, rzuciła się na krzesło, jak bokser po nader męczącym round.

* * *

Burboński don Cicillo Cacace di Capafugata uczuł od razu sympatię i pokrewieństwo dusz w podporuczniku weterynarzu.

Podobał mu się młodzieniec, który nagle porzucił stajnię pułkową i trząśł się przez trzydzieści sześć godzin w wagonie, aby z piersi własnej uczynić pancierz czci siostry, której prawie że nie znał.

Melitta i Bernard (weterynarz) rozstali się, będąc dziećmi, i nie widzieli się przez długie lata.

Bernard, ukończywszy nauki w jednym z tych małych uniwersytetów prowincjonalnych, gdzie profesorowie przynaglają delikatnie studentów, aby

raczyli przyjąć dyplom, wyszedł jako ostatni z pięciuset konkurentów na czterysta miejsc podporuczników weterynarzy.

Koledzy jego byli już kapitanami, ale on, nie pożądamy ani tytułów ani ziemskiej chwały, pozostał podporucznikiem.

Bernard pouczał Don Cicilla Cacace di Capafugata o cechach charakterystycznych odróżniających pchłę końską od psiej i człowieczej, i dodał, że namaścił pomadą antypasożytniczą konia generała Cadorny.

Don Cicillo zagrał mu na okarynie urywek Trubadura, opery, którą dawano najczęściej w teatrze komunalnym jego miasteczka. Wyliczył mu na pamięć ilość gumy arabskiej pochłanianej przeciętnie w ciągu życia przez człowieka, który ma zwyczaj naklejać językiem znaczki pocztowe na listach.

Donatella, zajęta czterystu sześćdziesięcioma kretami swego futra oraz akuratywnym haftowaniem pięciu pałek przyszłej korony na białej stołowej i pościelowej, musiała z żalem odejść do hafciarek i dostawców – bez narzeczonego, który znalazł w Bernardzie formację umysłową tak symetryczną do

swojej, że prawie zapominał o Donatelli.

— Ja mam stryja bogatego nader — zwierzał się z wielką rozrzutnością mimiki Don Cicillo Bernardowi. Ale tu jest nieszczęście wielkie nader: mój stryj ma syna.

I wytłumaczył, że, gdyby stryj ów nie posiadał owego syna, on właśnie odziedziczyłby rozległe tereny pomarańczowe i boczną linię kolejową Marrancio – Tesmeforia.

Don Cicillo rad był, że poślubi Donatellę, i wyrwie ją z tego zepsutego domu, oderwie od złego przykładu Iluszki, tajemniczej podróżniczki, która się zatrzymuje po to tylko, aby wpaść w objęcia mężczyzn!

Był szczęśliwy, że się żeni – Don Cicillo.

Z domu przysłano mu list tak żaloszny, że udał się w towarzystwie Bernarda na pocztę i wysłał pięciu siostronom sto lirów, zalecając, aby były cierpliwe aż do dnia ślubu.

Posag Donatelli polepszy sytuację.

Zapewne, gdyby stryj o bogatych plantacjach pomarańczy i wąskotorowej kolejce Marrancio — Tesmeforia nie miał owego syna, sytuacja byłaby o

wiele lepsza. W każdym razie, po ślubie Cicillo nie zapomni o matce i pięciu siostrach.

Powracając do domu, Cicillo opowiadał Bernardowi o własnych bogactwach i rozmaitych „domach pałacowych”, które posiadają w swych dobrach feudalnych jego siostry (pięć), wszystkie niepokalane, tak jak Donatella.

I pocałował Donatellę w czoło.

Donatella kochała Don Cicilla, ale na swój sposób.

Bywają kobiety zakochane bez przedmiotu miłości; te przyczepiają się do pierwszego, kto się nawinie.

Jest to miłość nieokreślona, strzał bez celu, stan fizyczny odpowiadający popędowi seksualnemu zwierząt.

Podczas gdy Cicillo całował ją w czoło, poprawiała mu węzeł krawata o nadnaturalnym kolorze błękitnym.

Błękit ten był jak dusza Donatelli tkwiąca jeszcze w sentymentalizmie zasuszonego w książce bluszczu, w radowaniu się strzelaniem z płatka róży, w żartach gaszenia zapalki dmuchnięciem, gdy papa przykładła do płomyka koniec swego trabucos.

— Iluszka!

Nie było jej.

— Iluszka!

Wyszła, a nikt tego nic zauważył.

Weszła do domu Maura, ociekając deszczem, jakby całe jej ciało płakało.

Oczy jej jednakże były lśniące i suche. Iluszka nie była skora do beczenia.

— Chcą mnie oczyścić — zaczęła z cierpkawym uśmiechem, powoli ściągając rękawiczki.

Mężczyzna patrzył na nią z miną inkwizytora.

— Wiem, co myślisz — powiedziała nieporuszona.

— Myślisz, że ja jestem przyczyną tego całego kramu.

Nieokreślony gest Maura.

— Nie zasłużyłeś na tyle kłopotów. To ja chciałam, abyśmy się kochali. Ja ciebie szukałam.

— Nie, Melitto. Żadne z nas nie szukało drugiego. Spotkanie naszych pragnień było jednoczesne. Nie graliśmy zwykłej komedii podboju i odmowy, i doszliśmy do posiadania wzajemnego bez

przedwstępnej kokieterii, bez ohydneho zwlekania i układów, bez zapytań, co nam przyniesie jutro.

— Niezupełnie tak, Mauro. Tyś pytał wtedy, co będzie jutro... A ja odpowiedziałam: Nic. I przyrzekłam ci, że cokolwiek by się zdarzyło z naszą miłością, jakiegokolwiek byłyby następstwa, ty nie będziesz nic o tym wiedział. Tymczasem...

Pierwszy śnieg padał powoli, i na kwadratowych krosnach okna snuł delikatne zasłony.

Melitta wstała, odsunęła firankę.

Rybki chińskie poruszały się miarowo.

Melitta zabębniła paznokciami w szkło i przestraszyła je.

Zapaliła papierosa i, puszczając w górę kłęb niebieskawego dymu, który zwijał się i rozwijał, usiadła znowu obok kochanka.

— Ty myślisz — wzięła obie jego ręce — że to ja ściągnęłam na ciebie wściekłość tej całej hałastry?

— Nie — odpowiedział bez przekonania. — Ale nie rozumiem, jak mógł wydać się sekret tak ściśle strzeżony i tak wyłącznie nasz.

Słabe zrazu, potem coraz mocniejsze dobiegać

zaczęły płacziwe chóry niewieście za pogrzebem.

W ościeży okien przesuwały się wystające szczegóły orszaku żałobnego: krzyż, woźnica w trójganiastym kapeluszu i białej peruce, cztery kopcające pochodnie, półkole wieńca fiołków.

Potem karawan pokryty kwiatami.

Gdy zrównał się z oknem, orkiestra uderzyła marsza żałobnego całego złożonego z pytań i odpowiedzi pomiędzy pocieszycielem bębniem a niepoczonym fletem, rozpaczonym filozoficznym zwątpieniem basu i kategorycznymi zapewnieniami bębna materialisty.

— Któż to jest ten zmarły, co każe się chować z takim hałasem? — zapytała Melitta.

Dźwięki ucichły.

Rozległy się powolne głosy modlitw.

Mauro patrzył na nią, szukając prawdy na dnie mineralnego szafiru jej szerokich tęczęwek.

— Patrzysz czy płakałam? Nie. Nie myślę, że sytuacje mogą się rozwikłać, kiedy się wyciśnie dwie czy trzy krople słonej wody z kanałów łzowych.

— Czy to prawda, że chciałaś się zabić?

— Co? Kto to wymyślił? Ciotka? Nie mają jeszcze dość! Chcą ośmieszyć mnie jeszcze więcej? Uwierzyłeś w to?

— Nie.

Na twarzy jego widniały oznaki zrozumienia. Jest to jedyna siła, która może niekiedy uśmierzyć ból.

Dziewczyna milczała.

Wzruszenie podnosiło pierś jej tym lekkim oddechem, który w zegarze ma sprężyna wahadła.

Chociaż miłość wyryła w niej ślady kobiecości, Melitta zachowała czystość dziecka, tak jak niektóre kobiety pozostają uczciwe, nawet jeśli się sprzedawały, lub jak niektóre narody pozostają wielkie, nawet gdy zostały pobite.

— A teraz?

— Jeden jest tylko człowiek, który mógłby nas ocalić. To brat mój Sándor, ten, którego poznałeś w górach. Jest lekarzem, przywykł patrzeć na rzeczy z wysokości swoich dwóch tysięcy pięciuset metrów nad poziomem drobnych podłostek, nędzy i bigoterii. Nie łatwo jednak doręczyć mu list na jego wyżyny. O tej porze roku leży tam śnieg wysokości dwóch metrów i

nikt nie wdrapuje się na górę z najbliższego urzędu pocztowego.

— Telefon bez drutu? — zaproponował Mauro.

— Myślałam już o tym. Ale jak telefonować, skoro go nie uprzedzono? Aby chwycić rozmowę, trzeba nastroić aparat jego na długość naszej fali, a ponieważ nie ma porozumienia pomiędzy nadawcą i odbiorcą, rozmowa jest niemożliwa.

Umilkła.

Wzięła do ust krzyżyk rosyjski o podwójnym ramieniu, który spływał jej z szyi na czarnej aksamitce. Stała zamyślona.

— Znalazłam! — i krzyżyk wypadł jej z ust. — Co wieczór słucha koncertów z Paryża i wiadomości politycznych z Londynu. Trzeba się dowiedzieć na jakiej fali przesyłane są te transmisje. O tej samej godzinie i na tej samej fali prześlę mu wiadomość stąd z jakiegokolwiek aparatu.

— Myśl jest doskonała. Wiesz jednak, że u nas dozwolone są jedynie aparaty odbiorcze, zabroniono zaś nadawczych.

— Właśnie dlatego, że je prawo zabrania, można

być pewnym, że ktoś je posiada.

* * *

W dwie godziny później, Melitta zjawiała się w laboratorium pewnego nieufnego profesora politechniki i ukazała osiem siekaczy i cztery świetliste kły swego uczciwego śmiechu.

Pachnący wdzięk jej młodości przebiegł lekko i swawolnie pomiędzy kłębami drutów, tajemnicami szpułek, uroczystym lśnieniem maszyn elektrycznych, skrupulatnymi galwanometrami i wanienkami pełnymi żółtych płynów.

I po krótkiej rozmowie...

* * *

...Wszyscy słuchacze radiowi zaabonowani na koncerty paryskie i politykę londyńską, usłyszeli te słowa:

— Sándor Virgili! Mówi twoja siostra Iluszka i

prosi żebyś zaraz przyjechał. Nic zaszło nic groźnego, ale potrzebuję cię. Ty nie możesz mi odpowiedzieć, ale pewna jestem, żeś mnie słyszał. Czekam na ciebie.

Sándor w swym domku, wzniesionym jak latarnia morska nad oceanem śniegu, leżał wyciągnięty na sofie, z fajką w zębach i z szorstkim, kędzierzawym łbem psa na kolanach, i słuchał obojętnie wiadomości rzucanych do pokoju przez czarny metaliczny otwór głośnika: kurs bawełny w Hawrze, Liverpoolu i Aleksandrii; kurs giełdy paryskiej, papierów państwowych; ceny zboża, cukru, kawy i metali, rezultaty wyścigów, wiadomości parlamentarne.

Oczekiwał początku koncertów.

Pani Fanny Hedy z Opery miała zaśpiewać *C'était une chanson d'amour* z Opowieści Hoffmana.

Służący przyrządził kawę.

Z głośnika wypadł nagle głos kobiety powtarzający wyraźnie jego imię:

— Sándor Virgili!

I mówił dalej:

— Mówi twoja siostra Iluszka...

Sándor wstrzymał oddech i unieruchomił szczęki Papryki, która na niespodziewane poruszenie pana zaczęła ujadać niespokojnie.

Po ukończeniu ostatnich słów rozległy się akordy fortepianu.

— Zamknij! — rozkazał służącemu, ukazując aparat.

Podszedł do okna.

Góry i niebo były jak biała tarcza, bez zmiany, bez życia.

— Jutro zejdziemy w dolinę. Pójdiesz ze mną do wsi.

I siadł przy oknie, zamyślony.

Papryka położyła mu pysk na dłoni i przymknęła oczy, jakby chcąc mniej ciężyc.

* * *

Dwaj narciarze i pies schodzili po błyszczących zboczach, podnosząc co jakiś czas tumany sproszkowanego lodu.

Gdy zbliżyli się do pierwszej dzwonnicy, jeden z

nich zatrzymał się przy grupie na wpół pogrzebanych w śniegu domostw; drugi poszedł dalej.

* * *

Telegram adresowany do Melitty wywołał alarm w domu. Ciotka weszła do swego pokoju, aby go przeczytać. Ale potem rozmyśliła się i zapytała:

— Czy to do ciebie ten telegram?

Odpowiedziała naciągając pończochę:

— Czy moje imię jest na adresie?

— Tak.

— A więc do mnie.

— A można wiedzieć od kogo?

— Można wiedzieć — odparła, zatrzasnąwszy podwiązkę. — Ja wiem.

— Wychodzisz teraz?

— Wychodzę.

— Dokąd idziesz?

— Na miasto.

— A gdybym ci powiedziała, że masz nie wschodzić?

— Odpowiedziałabym, że wyjdę jednak.

— A gdybym ci zabroniła?

— Pobudzasz mnie do śmiechu, ciotko.

— Ten się najlepiej śmieje, kto się śmieje ostatni.

— Przysłowia są bogactwem ubogich duchem,
ciotko!

— Przysłowia są mądrością narodów.

— I niewiedzą osobników.

— Chcesz żebym ci dała radę?

— Daj mi szczotkę.

— A gdybym zamknęła drzwi?

— Byłoby nonsensem nie uczynić tego po moim
wyjściu.

Melitta owinęła się w futro i zapięła, schodząc ze
schodów.

W hallu dokończyła przeglądnięcie twarzy, w małym
wypukłym lusterku.

Sándor i pies!

Melitta rzuciła się w ramiona brata, i pozostała
nieruchoma w uścisku, dopóki urzędnik przeznaczony
do odbioru biletów nie
poprosił biurokratycznie, aby nie tamowali przejścia.

Przybycie Sándora wstrząsnęło całą rodziną.

Cicillo w nieposzlakowanym krawacie błękitnym obserwował, z maskowaną dobrym wychowaniem pogardą, tego młodego lecz mizernego człowieka, który podczas prezentacji rytualnej nie wyjął rąk z kieszeni kurtki i nie wygłosił kłamliwych formuł ukontentowania.

Wspaniała typ myśliciela mizantropa, o twarzy okolonej czarnymi odrzuconymi w tył włosami i o rozczochranej brodzie, górował nad wszystkimi swym spojrzeniem człowieka sprawiedliwego.

Biały kołnierz koszuli opadał mu na aksamitne wyłogi ubrania, obnażając szyję.

Pas skórzany obciągał jego kurtkę na sposób rosyjski.

— Ojca nie ma? — zapytał. — Kiedy wraca?

Donatella nie umiała sobie wytłumaczyć niespodziewanego przyjazdu brodatego przyrodniego brata, którego prawie nie знаła.

Podporucznik weterynarz i Don Cicillo Cacace próbowali wypytać Melittę, ale dziewczyna nie chciała odpowiadać.

Ciotka ogarnięta niepokojem, jaki uczuwają głupcy

i zwierzęta wobec zdarzeń, których nie mogą sobie wytłumaczyć, miała ochotę skrzyknąć Sándora za nieoczekiwany przyjazd, ale zadowolila się zapytaniem, czemu przywlokł ze sobą to zwierzę?

— Ten pies, choć nie jest członkiem Kennel Clubu, odbył wojnę wraz ze mną.

— Wala mi aksamit łapami.

— Łapy, co deptały błoto okopów, mają prawo stapać po kobiercach pałaców i po mozaikach katedr.

Ciotka nie odpowiedziała.

Don Cicillo, Donatella i podporucznik weterynarz obserwowali Sándora tak, jak się patrzy na politycznego wariata.

— Za pozwoleniem szanownego towarzystwa — zadeklamował don Cicillo — ja się oddalam.

— Chwileczkę — zatrzymał go Sándor. — Muszę powiedzieć panu dwa słowa.

— Konfidencyjnie?

— Publicznie.

Cicillo opuścił swe jezuickie oczy pod tym twardym wejrzeniem.

Potem spróbował dowcipkować:

— Mój drogi panie, przepraszam, ale patrzy pan na mnie na wskroś, jak gdybym był biletem bankowym.

— W rzeczy samej, wydaje mi się pan fałszywy.

Tamten nie odpowiedział.

— Ależ, mój Sándorze... wybelkotała ciotka.

— Proszę cię, ciotko, nie mieszaj się pomiędzy mnie i tego osobnika.

— Pan sam jesteś osobnik — krzykiem zaprotestował Cicillo.

— A ja panu — odparł z największym spokojem Sándor — radzę nie zajmować się moją siostrą Iluszką, jeżeli nie chcesz być odesłany do domu w podwójnej skrzyni metalowej.

Don Cicillo wyszedł z godnością, a za nim drżąca Donatella.

Gdy był już pewny, że jest poza polem słyszenia Sándora, zamiauczał:

— To wariat skończony! Kurtka aksamitna, goła szyja bez kołnierza, buty podkute... Przypomina mi karabinierów przebranych za kapucynów, aby tropić bandytów.

— Muszę z tobą pomówić! — powiedział

podporucznik-weterynarz do Sándora.

— Słucham chętnie, ale nie tutaj. Chodź ze mną do hotelu.

— Nie zostajesz? — zawołała ciotka, podczas gdy weterynarz przypasywał szablę.

— Dziękuję, powrócę później. Mam nadzieję, że zastanę ojca. A ty, Iluszko, przyjdź za dwie godziny do mnie, do hotelu.

Pies zeszedł po schodach, szczekając, a za nim pobrzękiwała niezwyciężona szabla weterynarza i stukały gwoździe Sándora po marmurze.

— Muszę cię przede wszystkim poinformować — zaczął Bernard, zaledwie wyszli na ulicę.

— Wiem doskonale o wszystkim — przerwał Sándor. — Iluszka opowiedziała mi o swoim stosunku do kogoś i o szpiegostwie uprawianym przez to podejrzane indywiduum, które wzięliście sobie do domu.

— Wzięliście sobie? Od sześciu lat nie jestem już w domu.

— Prostuje: oni wzięli. Ale wszyscy razem, z tobą włącznie, skorzystaliście z jego szpiegowania, aby

wyrzucić na Iluszcze wasze rozwyrwienie.

— Ty nie wiesz, jakiego rodzaju jest stosunek Iluszki do tego „kogoś”.

— Są kochankami. To naturalne. Chciałbyś im narzucić abstynencję? Dlaczego?

— Mówmy dalej — uprosił odważny zoolog, miażdżąc wzrokiem jakiegoś sierżanta, który zaszalował nie dość gorliwie i bez przejęcia.

— Dowiedziałem się nawet, że posłałeś sekundantów kochankowi Iluszki, aby ich potem odwołać, gdy się dowiedziałeś, że tamten zgadza się na pojedynek.

— To nieprawda.

— Prawda, bo mi powiedziała Iluszka.

Zatrzymał się.

Suka zawróciła o dwa kroki.

Sándor wparł oczy w twarz brata a mówił:

— Na co ci posłużyły cztery lata studiów uniwersyteckich? Studiowałeś największe prawa rządzące światem fizycznym. Zetknąłeś się z cierpieniem. Poznałeś zjawiska wiekuiste. A teraz widzę cię pogrążonego w tych idiotycznych manifestacjach

muszkieteryzmu z melodramatu. Wiesz, jak bardzo cenię chemików, fizyków, przyrodników, lekarzy, weterynarzy, bo stoją najbliżej najważniejszych zagadnień wszechświata. Gdy Iluszka wyłożyła mi przebieg faktów, a powiedziała, że opuściłeś pułk, aby przyjechać do domu i załagodzić sprawę, powiedziałem: To weterynarz. Niewątpliwie porozumiemy się. Człowiek, który spoglądał przez mikroskop, nie może rozumować jak człowiek zwykły, jak jakaś kobiecina. A tymczasem, ty masz umysłowość ciotki.

Poszli znów powoli.

Suka nie opuszczała ich ani na krok.

Przy przechodzeniu przez ulicę, Sándor trzymał ją za obrozę.

Podporucznik Bernard Virgili był najtypowszym okazem hybrydyzmu naukowo-militarnego.

Wielkie prawa, problemy wewnętrzne, tajemnice życia, wiekuiste fenomeny, o których mówił brat, doktor Sándor, ukuły mu umysłowość o tendencjach przyrodniczych.

Styczność z oficerami kawalerii, których uważał za

ślepych na te wielkie światła, dawała mu przekonanie o własnej wyższości ducha.

Ale oficerowie kawalerii traktowali go w sposób żartobliwie łaskawy.

Czymże był on, weterynarz, wobec świetnych światowców, ich sportowej elegancji, i postulatów etycznych?

Z drugiej strony jednak, Bernard nie śmiał zamykać się w odosobnieniu naukowym i wyrażać swej pogardy dla etykiety, form i obyczajów tak drogich dla kawalerzystów.

Nareszcie jest i on, do pewnego stopnia, oficerem kawalerii!

Bernard szamotał się wobec dramatu swego poczucia wyższości nad innymi.

Był wyższy dzięki prestiżowi kulturalnemu ukończonych studiów i swej misji ulżenia bólom.

Czuł gorycz, widząc nieuznawanie w nim tej wyższości. Przecież i on nosi ostrogi i ma gwiazdki!

Tragedia jego fachu odzwierciedlała się także w rozmowie z Sándorem.

Podporucznik Bernard uważał za swój obowiązek

pomścić z bronią w ręku honor siostry.

Bernard, miłośnik natury, który wertował książki przyrodnicze, studiował problemat miłości i nieprzeparte siły instynktu płciowego, musiał uśmiechać się wobec konwencjonalizmu honoru płciowego. Musiał pozostawić innym krwawe sprawy fechtunku, godne jarmarków na cel dobroczynny!

Doktor Sándor rozbroił go, zwracając się do przyrodnika.

Bronił Iluszki w imię sił natury i żądał od niego i od innych członków rodziny natychmiastowego zawieszenia kroków nieprzyjacielskich.

Pod białą bluzą sanitariusza błyskały ostrogi oficera. Argumenty brata w obronie Iluszki przekonywały go tylko w połowie. Zanadto był oficerem, aby je uznać, i zanadto przyrodnikiem, aby je odrzucić.

Jednakże zdawał się uspokojony do pewnego stopnia.

W tej chwili wszelako przechodzili przed biurem administracji wojskowej i szyldwach sprezentował przed nim broń. To wystarczyło, by wywołać w nim

ferment drożdży honoru.

— Siostra nasza jest zhańbiona! — wykrzyknął.

— Słowa! — odparł pobłaźliwie Sándor ze smutnym uśmiechem. Hańbą nie jest miłość. Hańbą jest opieranie się miłości. Wszystko co się przeciwstawia miłości, hańbi. Sprzeciwiać się czyjejś miłości, przymuszać kogoś do miłości, sprzedawać ją, legalizować pod jaką bądź formą jest czynem plamiącym. Wy plamicie ją pogroźkami, wymuszeniami! Ty — pajacowskim wyzwaniem, tamci — skargami u prokuratora.

— To ostatnie wydaje mi się uczciwe. Cóż prostszego niż skarga na przestępstwo przewidziane w kodeksie?

— Najgłupsza rzecz, którą uczyniliście, to ta skarga. Pociągać miłość dwojga młodych przed trybunał sędziego, pomiędzy złodziejstwem kieszonkowym a karą za pijaństwo! Nie czujesz śmieszności tego?

— Ty żyjesz zbyt daleko od świata, aby to zrozumieć.

— Wiem. Społeczeństwo jest jako zaduch. Gdy

się w nim żyje, przyzwyczajają się doń, bo się go wchłania. Ponieważ jednak nie zamierzam dłużej niż dwa dni być w tym otoczeniu, chcę abyśmy załatwili bezzwłocznie kwestię Iluski. Kiedy wracasz do pułku?

— Jak tylko kochanek jej zgodzi się z nią ożenić.

— A jeżeli nie zechce?

— Zobaczymy, co powie przed sądem.

Sándor popatrzył na niego z niemą litością.

— Tu jest mój hotel. Wiesz, gdzie mnie szukać.

Gdzie mieszka ten pan?

Weterynarz dał mu adres Maura.

Rozstali się.

* * *

Po powrocie do domu, podporucznik znalazł futro ojca w przedpokoju.

— Wrócił!

Don Cicillo zaś spakował w pośpiechu walizkę i wyjechał.

— Dlaczego?

— Bo dostał telegram — zaśpiewała Donatella, cała drżąca, podając mu żółty papier. I dodała: — Biedaczysko!

— Co za biedak! — zapiszczała ciotka. Dziedziczy od razu osiem milionów. Ten tutaj — i pokazała nazwisko na telegramie — to stryj, właściciel gajów pomarańczowych i linii kolejowej, a ten drugi — i powtórzyła gest — to syn jego, który byłby jedynym spadkobiercą. Wobec śmierci obydwóch, ojca i syna, spadek przechodzi na Don Cicilla.

Donatella uroniła dwadzieścia pięć łez bólu.

— Nie płacz, głupia! — wpadła na nią ciotka. Miliony spadają na ciebie, do twojej kieszeni!

— Musiała to być straszna śmierć — jęczała Donatella. — Spalić się żywcem! Obydwaj!

— Wspólne zło — to połowa pociechy — zaznaczyła ciotka, która zawsze miała przysłowia pod ręką.

I uczyniła znak krzyża na wszelki wypadek.

Donatella otworzyła fortepian i zaczęła grać walca, oczywiście Waldteuffla, uproszczonego dla początkujących.

— A więc? — zapytał aktor, wchodząc do domu Maura.

— Wydaje mi się, że jestem kotem, któremu, gdy powalał

dywan, wsadzają nos, mówiąc: Miałeś ją? To się ożeń!

Życie moje w ciągu tych dni przemieniło się w akt z owych świetlnych komedii francuskich, gdzie scena podzielona na dwie części przedstawia dwa pokoje podejrzanego domu. Masa nieokreślonych osobistości wchodzi bez dzwonka, wychodzi bez pożegnania, myli się w drzwiach, spotyka się, całuje z płaczem, wraca pod jakimś pretekstem, wpada w odrętwienie, rzuca bilety wyzwania, zapomina parasoli, grozi fajką jak rewolwerem — Ty teraz, na przykład, siedzisz sobie spokojnie w moim domu na mojej sofie. Zdawałoby się, że wszystko w porządku. Ale nie zdziw się, jeżeli nagle tu zobaczysz — czy ja wiem? — pogromczynię krokodyli; beja Tunezji w fezie; detektywa amerykańskiego przebranego za antykwariusza;

naczelnika plemienia Czerwonoskórych; nagiego wariata, co uciekł z domu obłąkanych, albo komisarza policji, który przyszedł cię aresztować.

— Czy to wymówka aby się mnie pozbyć?

Mauro wyciągnął palec w kierunku przedpokoju, gdzie zabrzmiał głos dzwonka.

— Odchodzę!

— Zostań!

Gdy otworzył drzwi, wszedł mężczyzna ubrany po kobiecemu.

Aby uzupełnić złudzenie, miał olbrzymi biust, który trząsał się nad silną jego postacią, uwieńczoną ohydny kapeluszem o żółtych piórach.

— Ciotka!

Lucjan przy zbliżającym się przedstawieniu uklonił się z lekka i odszedł w inny koniec pokoju, bawiąc się kingiem, instrumentem chińskim złożonym z rozmaitych kamieni zawieszonych na krosnach bambusowych.

— Czy można wiedzieć, co pan postanowił?

— Nic, proszę pani. A pani?

— Żebyś ją pan poślubił.

— To postanowiono już dawno.

— Ale pan się nie zgodził.

— Nigdy się nie zgodzę.

— Więc pan odmawia?

— Ja – nie

— Zgadza się pan?

— Uchylam czoła.

— Kiedy więc przyjdzie pan prosić o rękę mojej bratanicy?

— Prosić? Nie ma tu nic do proszenia, skoro mi ją narzucacie, nawet kiedy odmawiam.

— Oznacz pan datę ślubu.

— Oznaczcie wy.

— Trzeba poznać się z krewnymi.

— Nie dbam o to.

— Ale my o to dbamy!

— To nie dosyć.

— Trzeba pomówić o posagu.

— O posagu? Nie jestem łowcą posagowym.

— Brat mój oznaczył jako kwotę li..

— Powtarzam, że nie przyjmę ani solda. Możecie mi narzucić żonę, ale nie narzucicie mi jej pieniędzy.

— Jest pan dość bogaty, aby ją utrzymać?

— Jestem biedny i obciążony długami.

— No, to co pan jej da jeść?

— Nie znam jej gustu.

— Trzeba by także pogadać o mieszkaniu.

— Pogadanka taka mnie nie zajmuje.

— Gdzież pan położy żonę spać?

— Te rzeczy mnie nie obchodzą.

— Co za mąż będzie z pana!

— Jak najgorszy.

Ciołka zatrzęsła się jak centralna stacja elektryczna.

Padła na sofę... Skoczyła na środek pokoju, zakręciła się w kółko i wrzasnęła:

— Co to za hałasy?

— Lokatorzy zza ściany pukają, prosząc aby pani ucichła.

Nowe wrzaski. Nieprzytomne ewolucje po pokoju, z potykaniem się na krawędziach.

— Co to za tłuczenie w sufit?

— Lokatorzy z góry proszą o ciszę.

Lucjan wtrącił się, zdejmując przez ostrożność monokl.

— Proszę pani...

— Po tym, co pan zrobił! — nie posiadała się z gniewu ciotka, wskazując palcem pełnym mściwości na biednego Maura. — Z winą, która obciąża pańskie sumienie!

— Czy to wina — kiedy się posiadzie kobietę?

— Po ślubie, nie — wydała kategoryczną sentencję. Ale przed ślubem — tak.

— Jeżeli wina polega na przed — podkreślił Mauro, to dość nie brać ślubu. W ten sposób przed nie będzie już istniało.

Lucjan uśmiechnął się.

Ciotka spiorunowała go wzrokiem.

— Co za cynizm! — krzyczała.

Za każdym razem gdy oczy jej spoczęły na Maurze, drętwiała ze zgrozy, jak na widok Kuby Rozpruwacza.

Łono jej, w ataku astmy, wyładowywało oddech pod formą zsyntezowanych obelg.

— Pękam! Ach! Pękam!

— Życzę pani. Ale może by pani mogła pęknąć gdzie indziej? — łagodnie — zachęcał Mauro. —

Byłoby to wygodniej dla wszystkich.

Dzwonek.

Wpadł do pokoju pies, płosząc rybki, kładąc na czarnym paltocie Lucjana barwne ślady swych łap. Przebiegał obok ciotki i nic raczył jej obwąchać.

Mauro dopełnił obrzędu przedstawień.

— Więc pan zgadza się na ślub z moją siostrą?

— Pod przymusem.

— Pod przymusem?

— Nie mogę powiedzieć z miłości.

Doktor Sándor mówił do Maura, jak gdyby nikogo nie było w pokoju, prócz nich obydwu.

— Nie przybieram póz gladiatora i nie uważam się za natchnionego, rzekł Sándor. Jestem – po prostu – człowiekiem, który unika uprzedzeń i aprioryzmów. Przybywszy do miasta na prawie nadnaturalne wezwanie mojej siostry, znalazłem ją przybitą dokuczaniem tej hałastry zjednoczonej w przedsiębiorstwie kupna, sprzedaży i wymuszenia. Gdyby nawet nie była moją siostrą, broniłbym jej jako istoty słabej. Instynktownie odczuwam życzliwość dla mniejszości, dla słabych, dla winnych. Za dużo jest ludzi

mających rację! – Nie sędzę jednak, aby Iluska nie miała słuszności. Gdyby popełniła nawet najcięższe winy, wystarczyłaby dysproporcja pomiędzy siłami jej a oskarżycieli, aby uczynić ją dla mnie nietykalną. – Panu, panie Mauro, grożono i stawiano ultimatum, czy to prawda?

— Tak. Powiedziałem już, że zgadzam się na ślub z siostrą pana, byle się skończyły te szopki, wizyty, plotki, pogrożki, łyzy! Od trzech dni ta oto kochana pani przychodzi mi tu płakać. Wilgoć jej rozpaczy odkleja mi tapety na ścianach. Powiedziałem już, że się ożenię. Czego pani chce więcej?

— Z jaką to radością! — ryknęła ciotka.

— Żąda pani jeszcze radości? — zaprotestował Mauro. — Zbyt wiele pani żąda! Można – z nożem na gardle – oddać portmonetkę, ale oddać ją z uśmiechem i prosić, aby ją raczono przyjąć – nie, to przechodzi moje ewangeliczne zdolności!

Sándor milczał w zamyśleniu.

Potem rzekł:

— Rozumiem urazę pana do krewnych. Ale rzeczą najważniejszą jest, że kocha pan Iluszkę.

— Nie kocham jej już.

— Ach, łotr, zbrodniarz, nędznik! — wykrzyknęła ciotka, rozdymając się i opadając w objęcia Lucjana.

— Nienawidzę jej — potwierdził Mauro, niewzruszony.

— Nienawidzi pan Iluszki? Cóż panu złego zrobiła małeńka?

— Wiem, doktorze, nic złego. Ale nie mogę izolować jej od tej całej afery. Jest ona jak wykładnik tej burzy rozpętanej przeciw mnie. Możecie zmusić mnie do ślubu, ale nie możecie zabronić, abym jej nie nienawidził.

— Jeżeli przed tygodniem kochał ją pan?!

— Przed tygodniem kochałem. Ale siedem dni temu — wyście się ukazali!

— Ma pan słuszość — przyznał Sándor, powstając.

Pies poruszył się i przeciągnął, wysuwając język. Ciotka ostatnią strzałą spojrzenia przeszła Kubę Rozpruwacza i, zwracając się do Lucjana, mruknęła do widzenia.

Sándor uklonił się i wyszedł za nią.

Kochanej rodzinie udało się zniweczyć miłość.
Zagadnienie sprowadzało się do dwóch formuł:

Formuły lekarza:

Po co ma się żenić, skoro jej już nie kocha?

I formuły weterynarza:

Po co ma ją kochać, skoro zgadza się na
małżeństwo?

Przez dwa dni Sándor bronił swojej tezy.

Ojciec, przywykły do patrzenia z góry na ludzi, ich
namiętności i sprawy, przed zagadnieniem moralności
płciowej wpadał w ideologię baby ze stróżówki.

Wszelkie argumenty Sándora objęły się o jego
przekonanie:

— Niech naprawi małżeństwem!

Tymczasem uczucie Maura do Melitty zabarwiało
się pogardą. Nawet wspomnienie ich kryształowej
miłości zaćmiewało się w pamięci. Mówiąc o niej z
przyjaciółmi, wyrażał się bez szacunku.

— Po cóżeś się kompromitował z panną? — pytał
ktoś.

— Cóż chcesz — odparł, wzruszając ramionami.

— Skoro na miejscu nie było kokot, musiałem

poprzestać na dziewicy.

* * *

Don Cicillo Cacace di Capafugata wystosował bardzo długi list, w którym wytłumaczył, że honor jego i jego szlachetnej rodziny nie pozwala mu połączyć się z Donatellą, której siostra dała dowody zepsucia, a brat, zbieg z gór, przemawiał tonem, którego żaden Capafugata nie może słyszeć, nie czując się dotkniętym w miłości własnej.

Na zakończenie – zrywał przyrzeczenie małżeństwa.

Majątek pozostawiony przez stryja czynił go najbogatszym kawalerem w okolicy.

Mógł teraz aspirować do ręki najniepokalańszej panny, której nazwisko przemilczamy z łatwo zrozumiałej dyskrecji, a która posiadała nieprzeliczalne cnoty i przeliczalne miliony.

Na wieczór zaręczynowy zaproszone były najznakomitsze osobistości miejscowe do domu don Cicilla.

Był dyrektorem Tygkona (tygodnika konserwatywnego), lekarzem-akuszerem, geometrą przydzielony do wodociągów, kilku młodzieńców wychowanych w bojaźni bożej i weneracji ostatniego Burbona itd.

Po wyczerpaniu zwykłych zapleśniałych tematów (feminizm, spirytyzm, teozofia, perpetuum mobile i inne niewinne zabawki w tym rodzaju, o których, podług świadectw badaczy, mówi się jeszcze w miasteczkach prowincjonalnych) – zabrał głos don Cicillo, który podróżował.

Wygłosił odczyt o Włoszech Północnych, a w szczególności o pewnym rozwiązłym mieście, gdzie się mówi na pół po francusku, gdzie wszystkie kobiety – jak opowiadał, zakreślając linię prostą dwoma palcami w pierścieniach – wszystkie kobiety oddają się mężczyznom po prostu na żądanie.

Ludzie są tacy durni, że w tramwaju dość powiedzieć abonament, aby jechać bez biletu.

W kawiarniach, nie ma zwyczaju płacenia i wychodzi bez uregulowania rachunku.

W rodzinach, które mają panny na wydaniu, można

jeść i spać darmo, byle tylko z lekka dać do zrozumienia, że się ożeni.

Kto jednak posiada szlachetne uczucia don Cicilla, ten nie mógłby wytrzymać dłużej niż dwa miesiące w zepsutych rodzinach tego rozpustnego miasta.

* * *

Donatella przygotowywała się do wstąpienia do klasztoru, sanatorium mistycznego dla nieuleczalnych miłości.

Podporucznik Bernard odjechał do pułku, wezwany telegramem służbowym do łoża ogiera umierającego z tęsknoty.

Doktór Sándor i jego suka Papryka powrócili w góry.

Sándor i Iluszka uścisnęli się przy rozstaniu, jak gdyby nigdy już nie mieli się zobaczyć.

— Może też — kłamała — kiedy się pobierzemy, będzie mnie znowu kochał, jak dawniej?

— Tak sądzę — życzył brat, ściskając jej rączkę przez okno.

Pociąg ruszył.

— Ale ja tak nie sędzę — myślała Melitta, szukając chusteczki z surowego jedwabiu na dnie torebki zamszowej.

Obejrzała się.

Pociąg już znikł.

Sándor wracał na swe wygnanie z wspomnieniem uśmiechu Iluszki. Smutnego uśmiechu. Usta Iluszki były odemknięte tylko tyle, aby ukazać dwa siekacze.

Sándor wracał do swoich lodów, gdzie może wytrzymać tylko taki jak on samotnik pijany ciszą — aż do zawrotu głowy.

Wracał do swych prawie że pogodnych zwątpień, do białego obserwatorium, skąd widział wszystkich, gdyż nie widział nikogo.

Był jako ten, co — odcyfrowując przy stoliku partyturę opery w ciszy i samotności, z dala od wszelkich instrumentów — słyszy w głowie swej całą orkiestrę.

Dziewczynka nie miała kokieterii zmartwienia.

Wyszędłszy na plac, gwizdnęła.

Przejeżdżające auto zakresliło zrećźnie półkole i

zatrzymało się przed nią.

* * *

Mauro sam otworzył.

— Jest twój ojciec — szepnął.

— Zobaczę go z przyjemnością — odparła spokojnie, wchodząc.

— Po coś tu przyszła? — zapytał ojciec.

— A ty?

— Aby pomówić o tobie.

— Osoba, o której mówicie, obchodzi mnie także.

Uklękła na sofie i nogi podłożyła pod siebie.

— Mówcie dalej! — Wyciągnęła z puszkii blaszanej nic jasnego tytoniu, który ugniotła na czworokątnym kawałku bibułki.

— Skończyliśmy.

— Z jakim rezultatem?

— Pojutrze zapowiedzi. Za dwa tygodnie – ślub.

Melitta skręciła papieros.

Komandor Virgili podsunął jej ogień.

Nie tracił swej postawy wielkiego pana. Był wciąż

stylizowanym dyplomata, jak przed dziesięciu laty, gdy złapawszy piękną i wybrylantowaną złodziejkę na kradzieży tajnych dokumentów, własnoręcznie opatrzył jej draśnięcie palca, podczas gdy czekano na policję.

Ale ten człowiek współczesny, który pozwalał lluszcze o dziecinnych rysach laleczki podróżować samej po świecie – wobec „grzechu” cofnął się z przerażeniem. Ukryte przesady przesłoniły mu bezprzesadną, nową koncepcję życia.

Aby bronić załążka socjalnego rodziny, społeczeństwo wyciąga broń z najmniej spodziewanych kryjówek.

Ojciec Melitty, poligamiczny, energiczny, pomysłowy, przyzwyczajony do uspokajania głupich Rad administracyjnych i władania hałaśliwymi zebraniem akcjonariuszy, nieustraszony i niezłęczony podróżnik, którego walizki wyrywali sobie z rąk wysłańcy najpierwszych hoteli, przetworzył się naraz w biednego ojca małomieszczańskiego przytłoczonego zmorą: Moja córka jest kobietą zgubioną.

A ciotka, łagodna i brzuchata, która z pomocą binokli studiowała Tysiąc użytecznych przepisów –

pocziwa ciotka nabrała naraz strasznych rysów Chińczyków z legendy, którzy uprawiają korsarstwo na Morzu Żółtym.

— Córce mojej przeznaczyłem posag wysokości...
— i wymienił liczbę.

Mauro odpowiedział:

— Nie wiedziałbym, co z nim robić.

— Natomiast postanowiłem teraz dać jej... — i podwoił cyfrę.

— Powiedziałem już, że nie wezmę pieniędzy.

— Będzie pan jednak musiał utrzymywać żonę.

— Ani nawet myślę!

— Ma pan obowiązek myślenia!

— Myślałbym, gdybym o nią prosił, ale to wy mi ją narzuciliście.

— Ponieważ ją narzuciliśmy, dajemy panu sposób zaspokajania bez trudu wszystkich wydatków.

— A jeżeli po ceremonii ślubnej, nie będę się więcej o nią troszczył – i zostawię ją na schodach ratusza?

— Prawo przewiduje i to. Ale pan tego nie uczyni!
Ojciec zebrał rękawiczki.

— Chodźmy, Iluszko.

— Ja zostaję.

* * *

— Czy to prawda, Mauro, że mnie już nie kochasz?

Uczyniła się mała, maleńka i dotknęła go świeżymi paluszkami pachnącymi jaśminem i tytoniem.

Pokój napelniał się wieczorem.

Siedzieli w milczeniu.

W akwariium odbijał się i pomnażał promień latarni ulicznej.

Pochyliła główkę na ramię Maura, włosami dotykając jego czoła.

Pytała, słowami piosnki cygańskiej, gdzie pozostała ich miłość?

— W małym jeziorze alpejskim, zielonym jak napój, co się pije przez słomkę? — zanuciła pieszczotliwie.

I wspomniała czub zielony pachnącego ziela, który służył im za poduszkę. Wspomniała błękitnego motyla,

jak mały trójkąt emaliowany, opadłego na książkę poety, który umarł zbyt młodo. Wspomniała baldachim lazurowy, pod którym ciała ich połączyły się w cudownej czystości; i wąły domek myśliwski uderzany gradem i przeszywany błyskawicami, gdzie całował jej twarz bladą z trwogi.

Mauro milczał, trzymając ją w objęciach.

Widział z oddali inną Melittę.

Tę, która dawała mu tylko miłość. Tę, która z pomocą dwóch zwierciadeł goliła sobie szyję à la victime, otulona w rewelacyjny szlafrok z krepdeszynu w czerwone smoki i żółte chryzantemy. Tę, w której po raz pierwszy uczuł drzenie ciepłej piersi podlotka pijanego dałą. Tę, której nerwowe biodra jasnowłosej Cyganki po raz pierwszy sprężyły się łukiem...

Ta, którą teraz trzymał w ramionach, była tylko brzydkim naśladownictwem tamtej.

— Idź sobie, idź sobie! Nie kocham cię już.

Dziewczynka powstała, przeszła jak automat po pokoju i uciekła w ciemną noc.

Ocierając skroń gorącą, poczuła na dłoni spływającą kroplę uwięzłą we włosach.

Łza kochanka!

Z tą kroplą płaczu w dłoni szła przed siebie, na los szczęścia, zadumana, podobna w ciemnościach do żałobnego posągu, który dzierży w ręce słabą pochodnię.

* * *

— Pan Mauro Mauri chce poślubić pannę Iluszkę Virgili?

— Z wielką chęcią.

— Powinien pan odpowiedzieć tak — poprawił urzędnik i powtórzył formułę.

— Tak.

— Panna Iluszka Virgili chce poślubić pana Maura Mauri'ego?

Milczała.

Urzędnik powtórzył pytanie.

— Ależ tak! — wybuchła.

— Trzeba po prostu odpowiedzieć tak.

— Tak.

— A to ci trudu trzeba było zużyć! — zamruczał

urzędnik stanu cywilnego, podsuwając pióro.

Podczas gdy małżonkowie podpisywali, rzucił z wysokości swej trójkolorowej przepaski groźnie przesączone przez zęby psst ku hałaśliwej publiczności, zwykłej publiczce, która włóczy swą gapiowską ciekawość z sal ratusza do sal uczt weselnych, z przedpokojów poliklinik do bezpłatnych aptek.

Mauro przez całe piętnaście dni poprzednie nie widział nikogo ze swych przeciwników.

W przeddzień, komandor Virgili wezwał go do telefonu.

— Pan zawsze nieubłagany?

— Tak.

— Nie chce pan, abyśmy do ratusza poszli razem?

— Nie.

— Tam się spotkamy?

— Tak.

— O jedenastej?

— Punktualnie.

— Ze świadkami pana?

— Na pewno. Dowidzenia.

— Chwileczkę — dodał komandor Virgili

— drukarnia, która drukuje zawiadomienia, podejmuje się je rozesłać. Ja dałem już listę krewnych i przyjaciół. Jeżeli pan chce zrobić to samo...

— Co to za drukarz?

Komandor podał adres i zawiesił słuchawkę.

Mauro pobiegł do drukarni.

— Już gotowe! — pochwalił się drukarz.

— Wysłane?

— Nie jeszcze. Kto pan jest?

— Ja jestem pan młody.

Przeczytał. Potem:

— Niedobrze. Za dużo literatury. Zniszcz pan wszystko.

Napisał trzy wiersze na odwrocie zawiadomienia:

— Wydrukuj pan to i roześlij.

W dzień ślubu, czterysta osób otrzymało następujące zawiadomienie:

ILUSZKA VIRGILI i MAURO MAURI

dzisiaj się pobierają.

Prosi się o nieskładanie wieńców ani kondolencji.

Pośród dwóch szeregów łachmaniarzy Mauro i Melitta schodzili ze schodów ratusza.

Za nimi postępowało to lekarstwo na wymioty – ciotczysko, i ojciec z dwoma świadkami panny młodej.

Byli nimi – ni mniej, ni więcej – tylko generał w stanie spoczynku i sławny uczony Mansueto Birri, profesor historii Dalekiego Wschodu, prawdziwa gwiazda naukowa, znany szczególnie w Niemczech z badań nad matką Czyngis-Chana.

Wszyscy wiedzą, że zdobywca mongolski uważany był za syna
dziewicy.

Ta niezasłużona chwała, tak okropny błąd dziejowy byłby przekazywany, Bóg wie przez ile pokoleń jeszcze, gdyby profesor Mansueto Birri nie był napisał trzech swoich tomów, wydanych przez Laterzę (z przedmową Benedetta Crocego), w których zbijał legendę.

Świadkowie pana młodego, dwaj wałkonie pochwyceni na placu Ratuszowym, znikli.

Kiedy orszak zszedł na dół, uroczysty portier błyszczący rzemieniami i metalami otworzył drzwiczki

automobilu.

Panna młoda wsiadła.

Mauro Mauri skłonił się głęboko, przeszedł pod portykami i zmieszał się z tłumem.

* * *

Profesor Mansueto Birri, świadek panny młodej, stanął skacieniały.

W obyczajach narodów, które studiował od lat dwudziestu, nie widział nigdy, aby ceremonia ślubna kończyła się ucieczką pana młodego.

— Niesłychane!

Pociągnął z obu stron czarny accent circonflexe merowingowych wąsów.

Wysiadł z auta, spojrzął na nikłowy zegarek przyczepiony do czarnego jedwabnego sznureczka, uklonił się pannie młodej, ojcu, ciotce, wypowiedział formułę łacińską, którą spiesznie przetłumaczył, i z wolna wstąpił na swoje czwarte piętro, pokrzykując sobie:

— Horribile dictu!

A ponieważ przywykł, nawet rozmawiając z

samym sobą, tłumaczyć wszystko, dodał:

— Straszna rzecz mówić to.

Wziął satyry Horacego, i zagłębił się w fotelu – w jednym z tych foteli, które pojawiają się na scenie na początku czwartego aktu, dając tym do zrozumienia, że bohater niebawem wyciągnie kopyta.

— Objęcia kobiety są rzeczą wyśmienitą
— mruknął — ale objęcia fotela są rzeczą mniej zdradliwą.

Pograżył się w czytaniu.

Dla niego, przywykłego do odcyfrowywania nieodcyfrowywalnych autorów Dalekiego Wschodu, lektura Horacego – najbardziej boulevardier z poetów łacińskich – była wytchnieniem umysłu w chwilach melancholii, tak jak dla nas przeglądanie małoletnich w koszulinach na śliskich stronnicach La Vie Parisienne,

* * *

Mauro Mauri nie pokazywał się nigdzie.

Jeden z przyjaciół, zaszedłszy do jego domu, zastał go na gorliwym tarciu szmerglem i skórą zajęczą

skorupy żywego żółwia.

— Glansujesz go, aż ci nie wytryśnie mięsem.

— Aż będzie błyszczał jak grzebień hiszpański.

Tarł w dalszym ciągu niewzruszony, wyciągając co pewien czas ramię i odsuwając zwierzę, aby lepiej zbadać efekt.

— Zdaje mi się, że nie jest niezadowolony z operacji.

— To samica.

— Samice myślą więcej o skórze niż o duszy. Oczywiście, bo łatwiej pozbyć się plam na sumieniu niż piegów.

Mauro obejrzał uważnie twarz przyjaciela.

— To zdanie jest za piękne — powiedział — aby było twoją własnością.

— Jest dziełem ironisty: Marka Ramperti'ego.

— Tak też myślałem. — Pij.

— Co to jest?

Przeczytał na nalepce rżniętej butelki: Courvoisier, the brandy of Napoleon.

— Cóż twoje ryby?

— Umarły.

— Twoja żona?...

— Umarła dla mnie.

— Czemu nie pokazujesz się u nas?

— Umarłem dla wszystkich.

— Co za zwierzę!

— Zwierzę zasypiające w zimie. Wyjdę tego dnia, kiedy będę mógł wałęsać się po ulicach, mając za sobą posłusznego mym rozkazom kata.

— Nie przyjdiesz do stołu pokera? Gra — to wielki narkotyk!

— Podniecający.

— Dający zapomnienie. Masz kochankę?

— Nie. Miewam kobiety.

— To to samo.

— Nie. To co innego. Żyletki i kobiety zmieniam każdorazowo po użyciu. Wychodzę na ulicę. Pierwszą, którą spotykam, biorę do domu, płacę — i wyprawiam.

— Kobiety, którym się płaci! Co za okropność!

— Przesąd! Myślisz, że zmniejsza się prestiż miłości, jeśli się płaci? Gdyby zamiast powiedzieć: Daj mi dziesięć lirów, to ci się oddam, postawiła za warunek: Kup mi portret króla, a będę twoja, czy nie

pobiegłbyś kupić portretu króla, na którym, co więcej, napisane jest: cena – dziesięć lirów?

— Z twymi kryteriami – kradzież jest tylko przywłaszczeniem fotografii.

— Jeżeliś przyszedł po to, aby dyskutować, możesz sobie odejść.

— Jaki ty masz zły charakter!

— Nie pytam cię o zdanie o moim charakterze.

— Powiedz mi po prostu, abym poszedł za drzwi.

— Powiedziałem ci to już.

Nie wstał nawet, aby odprowadzić przyjaciela.

Jednosylabowy świegot wróbli zwabił go do innego pokoju, który wychodził na mały ogródek.

Byli to zwykli goście: rozpoznawał każdego.

Każdemu nadawał imię.

Na widok jego sfrunęły na pierwsze piętro; po krótkim krążeniu otoczyły go i zaczęły dziobać okruchy, które im rzucał.

Powoli zbliżały się do Maura, aż Pierrot, odważniejszy (a może naiwniejszy) od innych zaczął latać dokoła jego głowy i usiadł mu na ręce.

Z przeciwnych balkonów, lokatorzy przyglądali się temu świętemu w piżamie.

Jakaś służąca zaczęła trzepać dywany i wróble uleciały.

Wszedł do pokoju.

Przeszedłszy przez kuchnię, ujął srebrnymi szczypcami czerwony węgielek.

Na mauretańskim stoliku leżała fajka z weneckiego szkła, zaopatrzona u podstawy w małą flaszeczkę z watą.

Wylał na watę kilka kropel wonnych.

Z sandałowej szkatułki wyjął jakieś liście, owinał je w czworokąt filigranowy ze srebra i wsunął wszystko węgielkiem do fajki.

Zaczął wdychać, zrazu krótkimi, potem długimi haustami, leżąc na boku, kiwając głową, jakby we śnie.

— Co ty palisz?

Otworzył oczy.

Melitta stała przed nim, w szarej mgle ciężkich zapachów.

Zjawiała się jak wizja.

Odurzony trującym dymem blekotu, nie wiedział

czy to cień tylko, czy naprawdę kobieta.

— Opium?

— Nie — odparł — nie ruszając się. Opium to literatura egzotyczna dla dzieci.

— Haszysz?

— ...Literatura dekadenska dla histerycznych nauczycielek.

— Co to jest? — i usiłowała wyjąć mu z ust szklane narzędzie.

— Fajka.

I zaśmiał się jak wariat:

— Nic innego jak fajka.

Melitta przysiadła na ziemi, na rozłożonej przed sobą skórce.

— Tyś jest jak to oto — powiedział. — Jesteś jak blekot. Wiesz, co to blekot? Brat twój, weterynarz lwie-serce, nigdy ci nie mówił? Jesteś jak blekot. Uspokaja system nerwowy, hipnotyzuje doskonale w przypadkach manii prześladowczej, niespokojnego paraliżu i delirium tremens. Gdy jednak go się pali, podnieca, upaja, powoduje wizje, stan szczęścia, a potem majaczenie i po majaczeniach — śmierć. Trzeba

go używać według recepty. Gdybym był wziął ciebie według recepty moralności, byłbym dziś szczęśliwy. Chciałem wziąć cię w inny sposób. Oto mój błąd.

— Napisałam do ciebie — rzekła Melitta, gromadząc pod sobą poduszki — jeden z tych listów, których nie trzeba czytać, bo kiedy się odczyta, już ich się nie wyśle.

— Spodziewam się, żeś go przeczytała.

— Wołałam sama przyjść i pomówić.

Wziął jej ręce swymi pałającymi rękami.

Niektóre zwierzęta mają temperaturę wyższą od naszej.

Tygrys ma czterdzieści stopni.

Melitta była rozpalona.

— Coś mi chciała powiedzieć? — zapytał, odsuwając się.

Wstała, przeszła kilka kroków po pokoju w zamyśleniu, oparła na jakimś meblu swą zreńczną okrągłolinijną figurkę.

— Ty mnie nienawidzisz, Mauro. Ale ja — ja cię kocham jeszcze...

Mauro wciągnął łyk zielonawego dymu który kłębił

się w szklanej fajce. Wytchnął go na ziemię.

Dym się nie rozwiewał.

— Nie. Nie czuję nienawiści. Jesteś mi obojętna.

— Ja cię kocham, Mauro. Wiesz, jak mi cięży dom, po tych wszystkich przejściach ostatnich. Zawsze podróżowałam. Dziś miałabym więcej swobody w podróży i więcej powodów, aby oddzielić się od rodziny. Jeżeli pozostaję tutaj, to tylko dlatego, aby być blisko ciebie.

— Chciałabyś być jeszcze bliżej?

— Chciałabym.

Przygarnęła się do niego.

— Chciałabym być traktowana jak kochanka, względem której nie ma się żadnych obowiązków, prócz obowiązku kochania.

— Myślisz, że to mało?

— Mało. Miałabym prawo być tu przyjmowana jako żona.

— Aha! Żądasz wypełnienia kontraktu, choć był on zawarty przez wymuszenie. Nie na próżno wychowałaś się w szkole energicznego businessmana.

— Nie pozwalasz mi dokończyć. Za wcześnie mi

ubliżasz. Chcę być przyjmowana czasami jako kochanka. Jako kochanka, która cię kocha.

Żółw o gładkiej skorupie błyszczał jak wielki klejnot chodzący.

Mauro puścił w niego dym, zaśmiał się metalicznym śmiechem i upadł na plecy z fajką w ustach.

Melitta milczała.

Opary blekotu wijące się po pokoju napawały ją łagodnym upojeniem, denerwującym niepokojem, chaosem bezładnych myśli.

Uśmiechała się nieokreślonym uśmiechem ledwo rozchylnych ust, w których widać było tylko białosc dwóch siekaczy.

— I ty także! — rozkazał Mauro, wsadzając jej w zęby szklany ustnik.

Wciągnęła dym.

— Raz ty, raz ja. Raz ty, raz ja... — i przesunął fajkę z ust jej do swoich i ze swoich do jej.

— Pić! — powiedziała — i pochwyciła rżniętą karafkę z napojem.

— Jesteś piękna — szepnął Mauro, lubując się nią z na pół zamkniętymi oczami. — I inteligentna.

Inteligencja – to jedyna rzecz, która odkupuje wstyd, że się jest człowiekiem. Kochasz mnie i masz litość nade mną. W litości kobiet znajduje się zawsze trochę plotkowania, sadyzmu i nekrofilii. Twoja miłość podoba mi się – bo mnie zatruwa. Jesteś jako te genialne maszyny, co w sekundę wyciągają pierwiastki drugiej potęgi – a wydają się zabawkami. Nazywają się: maszyny do liczenia. Ty jesteś piękną maszynką do liczenia, która wydaje się zabawką. Ale cię zgubię, bo ten spacer jest śliczny. Morze przesiąknięte jest zapachem magnolii. Jakaś sultanka w łódce upuściła swój naszyjnik. – Nie chrzęść palcami, bo mi to przeszkadza. Zdaje mi się, że się łamią, wydają dźwięk szkieletów. – Sultanka jedzie łódką. Jest blada. I ja pojedę do kooperatywy haremów i wybiorę sobie kobiety. Ty posiadasz tęsknotę muzułmańską. Masz oczy koloru miedzi, ciało tancerki z Kambodży, a tańczysz na uroczystości pirotechnicznej. Padają deszcze iskier utkanych z twoich włosów. Jesteś wielką racą koloru blond. Kozak na koniu rzuca chusteczkę i, schyliwszy się aż do ziemi, podnosi ją w biegu. Jesteś piękna, Melitto, tak piękna, że nie powinnaś się starzeć.

Będziesz żyła więcej niż trzydzieści lat, jak lwice i pantery. Jeżeli chcesz, żebym cię zabił, nie sprawię ci bólu, zabiję cię w pięknym kraju: w Ziemi Świętej, w pięknym hotelu: Golgota-Hotel, albo w piwiarni cyrenajskiej, albo w Bal Tabarin.

Otworzył oczy.

— Melitto!

Skoczył na środek pokoju. Zapalił lampkę.

Uciekła.

Mauro zachwiał się, zatoczył i upadł przy oknie.

Głowa zaplątała mu się w king, instrument chiński, zbudowany z różnych kamieni, uwiązanych do bambusowych krosien.

* * *

Wracając do domu, Melitta spotkała na schodach profesora Mansueta Birri'ego.

W rozpiętym palcie, z rękami utopionymi w kieszeniach kurtki, schodził dość pewnie po schodach, ale przed każdym krokiem macał końcem laski grunt – czy to aby nie ostatni stopień. Badał z taką uwagą, że

Melitta przeszła obok niego niepoznana.

— Kto przysłał te róże?

— Profesor Birri — odpowiedziała pokojówka, nadbiegając na dźwięk dzwonka.

— Zanieś je do jadalni.

— Kiedy są dla pani...

— To je wyrzucić.

Ojciec i ciotka przerzucali się wzajemnie pytającymi spojrzeniami.

— Profesor Birri — zaczął ojciec — przyszedł nas odwiedzić.

— Spotkałam go na schodach. Nadeptał mi na nogę i nie poznał mnie.

— Tak?

— Widać – nie bardzo mu przypadłam do gustu.

— A właśnie, że cię kocha! — odpowiedział ojciec — i przyszedł prosić o twoją rękę.

— Moją rękę? A po co mu ona? Potrzebuje mojej ręki do przykładania synapizmów?

— Nie żartuj, Iluszko...

— Czegóż on chce ode mnie?!

— Chce ożenić się z tobą.

— Kiedy już jestem mężatką!

— Małżeństwo się unieważni.

— Toście mnie wydali za mąż po to, aby unieważnić małżeństwo?

— Zrobiliśmy zły wybór.

— Zmienicie na gorsze.

— Na lepsze.

— Mógłby być moim ojcem.

— To zaleta.

— Co za ohyda! Z tą pomarszczoną twarzą, która zawsze wygląda, jakby mu się zbierało na kichanie!

— Jest to człowiek doświadczony, który rozumie życie i stapa pewną, ołowianą nogą.

— Zauważyłam to na schodach.

— Wybaczyłby ci przeszłość...

— Nie zna jej.

— Tym lepiej!

— Jacy wy zręczni jesteście!

— Nie myślisz przecież żyć w takich warunkach! Jesteś związana małżeństwem, a nie możesz uważać się za żonę. Masz męża, który nie jest mężem. Żyjesz, jak panna, w domu rodzicielskim.

— Nie wyliczaj mi moich nieszczęść, boś sam tego chciał.

— Iluszko, nie rozumiem cię!

— To teraz dopiero widzisz, że mnie nie rozumiesz?

Ojciec umilkł.

Melitta zaniosała się nerwowym śmiechem.

— Ja, żoną profesora nauk... Jakich tam nauk? Języków umarłych? Z tymi wąsami nakreślonymi tuszem chińskim i tym nosem błyszczącym jak morska latarnia!!

— Morska latarnia może przydać się dziewczynie, która zbłądziła.

— Namysł się, Iluszko! — prosiła ciotka. Powiedział, że jest pewny, że cię uszczęśliwi.

— Co za zarozumiałość! Ach, ileż to osób zmawia się przeciw mnie, aby mnie uszczęśliwić!...

* * *

Mauro, po nocy spędzonej na dywanie, zdziwił się, gdy się zbudził około jedenastej w południe, w ubraniu,

z raną na czole.

Fajka ze szkła weneckiego była kupką strzaskanych kawałków!

Podniósł się, ogłuszony.

Automatycznie rozebrał się, wziął zimną kąpiel, otulił się w szlafrok i, zawiesiwszy lustro u okna, zaczął mydlić sobie twarz.

Nigdy jeszcze nie czuł się tak smutny.

Wszystko mu dokuczało. Światło, wróble, sączenie wody z niedomkniętego kranu podobne do pulsowania jesieni.

Z przeciwległego balkonu patrzyła na niego panna.

— Zaraz cię tu nauczę! — mruknała.

Zdjął szlafrok, odrzucił go — i wrócił do okna zupełnie nagi.

— Przystaniesz mi się gapić!

W rzeczy samej, panna uciekła — i po chwili wróciła z krzesłem i lornetką.

Upudrował się starannie, opatrzył ranę, i wyszedł.

Było południe.

Jego zjawienie się w domu Melitty zbiło ciotkę z nóg.

— Czy jest Iluszka?

— Pójdę zobaczyć.

— Niech się pani nie fatyguje. Ja pani mówię, że jest.

— Czego chcesz?

— Żebyś poszła ze mną na śniadanie.

Melitta zawahała się.

— Czy jestem twoim mężem?

— Tak.

— A więc chcę, żebyś poszła ze mną na śniadanie.

Czyż to za wiele?

— Nie.

— Ubierz się. Czekam na dole.

Ciotka wybuchnęła łzami.

Donatella zaczęła wachać sole trzeźwiące.

Ojciec pobladł.

— Narzuciliście mi go na całe życie, a teraz przejmujecie się, że idę z nim na dwie godziny?

Melitta i Mauro zeszedli powoli ku miastu.

— Wczoraj, Melitto, dałem ci nieponętny widok.

Muszę cię prosić o przebaczenie.

Zawiesiła mu się u ramienia.

Ojciec Melitty wszedł za nimi w pewnej odległości, ukrywając się za kolumnami i za przechodniami.

Na pozór byli spokojni.

Weszli do restauracji, która pamiętała czasy Risorgimento i gościła dawnych parlamentarzystów. Pozostało jeszcze z tych epok kilku starych kelnerów, którzy – gdy umierał klient – wspominali go ze wzruszeniem i odprowadzali go na ostatni spoczynek.

Komandor Virgili nie wszedł do środka, lecz z zewnątrz obserwował parę poprzez szpary firanek.

Naradzali się nad jadłospisem, podczas gdy kelnerek, bezwąsy blondynek (istny Kupido we fraku – dla zakochanych) nalewał im do kieliszków białe wino.

— Widzicie, że mnie nie zabił — powiedziała, wróciwszy wieczorem do domu.

— Miejmy nadzieję, że profesor cię nie widział! — westchnęła ciotka.

Rozległ się dzwonek.

— To on! — rzucił ojciec.

— Dobry wieczór profesorze!

Mansueto Birri wszedł, pochylony lecz uroczysty, nieco zakłopotany – jak ksiądz w ubraniu świeckim –

błyszcząc miękkimi mankietami, spod których wyzierały mankiety wełnianej koszulki.

Krawat (wiązany) był nieco przekręcony z powodu wzruszenia.

Ciotka pomogła mu zdjąć kocie futro, przeistoczone w norki.

— Jak się mamy, profesorze?

— Ut fata trahunt — odpowiedział, i przetłumaczył:

— Jak los chce.

— Niech pan nie narzeka na los! — przymilała się ciotka, uśmiechnięta i nadszkakująca. — Człowiek tak sławny, jak pan!

— Veilem nescire litteras!

I, oczywiście, przetłumaczył:

— Chciałbym nie umieć pisać. — A panna Iluzka?

(Bo przecież jest jeszcze panną?) Jak się miewa?

— Miewa się doskonale.

— Mogę mieć zaszczyt ujżenia jej?

— Zaszczyt jest po jej stronie.

Ciotka zapukała.

— Nie chcę go widzieć.

— Bądź rozsądna...

- Nie ma mnie w domu.
- Powiedziałaś, że jesteś.
- Wyszłam.
- Niemożliwe! O tej porze?
- Powiedz mi, że poszłam do diabła.
- Nie można...
- Powiedz mi, żeby sam poszedł!...

Profesor wysłuchał szczegółów o nagłej migrenie Iluszki, opisanej drobiazgowo przez ciotkę, i pociągnął się za wąsy, wyraziwszy zdanie łacińskie, którego nie powtórzymy, nie chcąc być następnie zmuszeni do przekładu.

* * *

— Słowem, trzeba wybierać, panie Mauri — natarł ojciec Melitty, zdejmując rękawiczki. Albo zgodzi się pan na unieważnienie małżeństwa, albo zdecyduje się przyjąć Iluzikę na wszystkich prawach żony.

— Unieważnienie małżeństwa? A dlaczego, proszę, jeżeli sami zmusiliście mnie do małżeństwa z nią?

— To samo zarzuciła mi Iluszka.

— Mówił pan z nią o tym?

— Rozumie się.

— Co panu odpowiedziała?

— Zaczęła płakać.

— Dziwne mi się to wydaje. Kobiety uciekają się do płaczu, aby uniknąć ambarasujących rozmów, ale Iluszka nie używa takich wykrętów.

— Pan bardzo szanuję Iluszkę?

— Nieskończenie.

— Dlaczego tedy pan jej nie kocha?

— Uwielbiam ją.

— A więc?.. Dlaczego nie chce pan wziąć jej do siebie? Chce pan zapomnieć?...

— Chcę ją jeszcze kochać. Gdybym ją wziął do domu, jako żonę, widziałbym w Iluszcze dziewczynkę, która – na pozór – oddała się bez wyrachowania, ale odłożyła swoje rachunki na później, i tym sposobem bilans swój zamknęła zyskiem.

Czy pan wierzy, panie Mauro, mojemu słowu szlachcica? Zapewniam, że Iluszka nie uczyniła nic, aby się wydać za pana.

— Wiem. Jestem o tym przekonany. Dziś, kiedy

Iluska nic nie żąda ode mnie, wierzę w jej czystość, tak jak wierzyłem gdy się oddała, nie żądając niczego. Ale jutro, widząc ją w moim domu, na prawach żony, uważałbym znowu że jest wyrachowana. Trudno... Można zmienić zdanie, ale nie wrażenie.

— Panu potrzeba stosunków nieregularnych, aby kochać moją córkę?!

— Być może. Gdybyście mi nie byli narzucili jej ręki, ja bym o nią nie prosił.

— Jeżeli uda nam się unieważnić małżeństwo, czy prosiłby pan o jej rękę?

— Może.

— Czy nie byłoby prościej uniknąć tych powikłań i zapomnieć o wszystkim?

— Niemożliwe.

— W takim razie, unieważnijmy małżeństwo!

— Potrzeba poważnych przyczyn.

— Adwokaci je wymyślą.

— Ale sędziowie nie uznają.

— Lekarze potwierdzą!

— Lekarze nie mogą potwierdzić tego, czego nie ma.

— Wszystko można uzyskać, jeżeli się zapłaci. Pieniądze pozwalają widzieć więcej niż instrument precyzyjny. Impotencja męża...

— Co za piękny pomysł!

— Nie podoba się panu?

— Gwizdzę na to. Tylko, że jest nieprawdopodobny, bo miesiąc temu zaskarżyliście mnie do sądu o... O co mnie skarżyliście? O porwanie małoletniej? O zgwałcenie?

— Prawda. Trzeba uciec się do rozwodu.

— Ale też – pojechać za granicę.

— Przyjemna podróż.

— Być może.

— Pojechałby pan z Iluszką na trzy miesiące na Węgry, albo...

— Jeżeli Iluszka zechce.

— Pomówię z nią. Ma pan ochotę wyjechać?

— Nawet w tej chwili.

— Paszport?

— W porządku.

— Do widzenia.

Szoferowi, który z czapką w ręce otwierał mu

drzwiczki, rozkazał:

— Do biblioteki!

Orientalista Mansueto Birri złożył okulary na książce i po chwili wahania rozpoznał gościa.

— Zgadza się na rozwód — oznajmił bezzwłocznie Virgili. — Za cztery lub pięć miesięcy będę mógł panu oddać rękę mojej córki.

Uczony, który rozmyślał, gładząc sobie ołówkiem brodę, zniewolił go do milczenia:

— Jak pan to zrobił? Powiedział pan o moich zamiarach?

— Nie, profesorze, wywołałbym wręcz przeciwny skutek. Aby coś otrzymać, nie powinno się dawać do zrozumienia, że się tego potrzebuje. Dodaje to bowiem wartości rzeczy, której potrzebujemy. Trzeba zbagatelizować rzecz i dać przeciwnikowi złudzenie, że właśnie jemu na niej zależy.

— To prawda. Ale cóż może mu zależeć na rozwiedzeniu się z żoną?

— Ponieważ legalność małżeństwa nie pozwala mu kochać Iluszki, po unieważnieniu małżeństwa będzie ją kochał znowu.

— Podniecające działanie nielegalności? Ciekawe! Spośród wszystkich podniet miłości, tej jednej nie spotykałem..

Profesor Mansueto Birri przygotowywał rozprawę O wpływie faz księżyca na odrastanie ogonów u jaszczurek.

Bębnił paznokciami po stole.

Zniżył głos.

— Czy nie ma obawy, że – po otrzymaniu rozwodu – ten pan pokocha znowu pannę Iluszkę?

— Po trzech miesiącach pobytu za granicą, w których ciągu spotkają się raz tylko u adwokata i raz w sądzie, będą dla siebie zupełnie obojętni.

— Sądzi pan, że nie będą widywali się częściej?

— Jestem tego pewny.

— Ani dłużej?

— Ręczę panu.

— A prywatnie?

— Znam moją córkę.

Melitta, na myśl o podróży Orient Expressem, wybuchła radością jak dziecko.

Po powrocie z gór, gdy obgryzający paznokcie i

cnotę Don Cicillo Cacace wywołał tragedię, chciała wyjechać do obcych krajów i wznowić życie wędrownie.

Ale komandor Virgili, niewzruszony w swej roli, odparł po prostu:

— Nie pojedziesz!

Inny ojciec byłby powiedział:

— Nie pojedziesz, aby nie sprawić wielkiego bólu twemu ojcu.

On natomiast, nie odrywając nawet oczu od telegramu pełnego cyfr, powiedział zwyczajnie:

— Nie pojedziesz, bo ci nie dam pieniędzy.

Teraz nareszcie powróci do krajów, gdzie mówią innym językiem, gdzie ludzie dają krótkie złudzenie nowości!

Na godzinę przed odjazdem, ciotka przyszła na stację, aby zająć miejsce. Swymi szerokimi biodrami zajęła dwa.

Iłuszka i Donatella przybyły, poprzedzone wielką walizką, w chwili gdy brzęczały pierwsze sygnały. Ciotka wygłosiła jedyny frazes, który mówią ciotki mające zająć miejsce w wagonie:

— Bałam się już, że nie przyjdziecie.

W sąsiednim przedziale Mauro Mauri wygrywał monotonne arpedžia gumką od kapelusza.

Kiedy zamknięto już drzwi i okna, stwarzając pomiędzy tymi, którzy pozostają i tymi, którzy odjeżdżają, stan zakłopotania i uśmiechu, bo nie wiedzą o czym mówić – jakiś osobnik czarny i chyży niby uciekający karaluch przebiegł wzdłuż pociągu i zatrzymał się w ramionach ciotki.

— Patrz, jak piękne kwiaty przyniósł ci profesor!

— pochlebnie i słodziutko rzekła ciotka, przenosząc goździki z rąk orientalisty do niepokalanych rękawiczek Iluszki.

— Nie chciałem, aby pani pojechała bez mojego hołdu.

Iluszka zrobiła najbardziej łobuzerski ze swych ukłonów – i pociąg ruszył.

— Pisz! — łkała ciotka.

— Telegrafuj! — płakała Donatella.

— Codziennie! — dokończył i udoskonalił profesor. Nulla dies sine linea.

Prawdopodobnie przetłumaczył zaraz znaczenie

tych słów, ale turkot pociągu zagłuszył jego głos.

Obie kobiety powiewały chusteczkami; profesor oddalił się pierwszy, najwidoczniej wzruszony.

Melitta dojrzała jeszcze czarnego, nieco zgarbionego człowieka, który spieszył ku wyjściu z kawałkiem białej tasiemki widocznej spod spodni i bujającej nad trzewikiem ze skórki cielęcej.

Uściśnięta nagle przez dwie ręce przechyliła głowę w tył, nadstawiając szyję, bielejącą wśród bobrowego futra, ustom Maura.

Tymczasem ciotka, Donatella i profesor rozwodzili się, pełni żalu, nad biedną Iluszką zmuszoną do podróży w towarzystwie tego potwora.

Biedna Iluszka! Zanim urzeczywistni się jej marzenie zostania żoną Mansueta Birri'ego, znakomitego orientalisty, musi zerwać nienawistne więzy.

— Co za przerażająca podróż dla Iluszki! — zawodziła Donatella.

— Trzy miesiące męczeństwa! — dramatyzowała ciotka.

Pociąg biegł przez wsie zimowe.

— Tak lubię śnieg! — uśmiechała się Melitta, patrząc na zawłócone białością pola. — Tej dziewczki, wiosny, nie cierpię.

— Będzie to rozkoszna podróż!

— Nasza prawdziwa podróż miłości!

— Trzy miesiące, Melitto!

Wziął od człowieka z galonami, który zapraszał do restauracyjnego wagonu, dwa bilety:

— Sześć i siedem: trzynaście! Ta liczba przynosi szczęście.

Melitta wyrzuciła goździki profesora.

Powiew zimnego powietrza wpadł przez uchylone okno i rozrzucił jej jasne włosy, wydobywając z nich przedziwny zapach młodości.

W domu Iluszki powrócił spokój i pogoda.

Donatella malowała różne widoki morskie z białym przecinkiem żeglującym na linii widnokregu i nie mogła się zdecydować, jaki zakon wybrać aby zaślubić Pana po zerwaniu zaślubin z Don Cicillem.

Ciotka zapomniała lupy pomiędzy kartkami Tysiąca pożytecznych przepisów i zajmowała się wyprawą Iluszki, mobilizując dniem i nocą siostry

najróżnorodniejszych klasztorów do haftu majtek z gumką i szycia prześcieradeł, na których znakomity orientalista miał się przyłożyć, w miarę skromnych sił, do zachowania gatunku.

Pośrednicy i agencje podjęły się wyszukania gniazdka.

Ciągle napływały listy, telefony, propozycje, kontrpropozycje.

Ileż manewrów, aby zetknąć legalnie dwa pęпки płci odmiennej!

Potrzebne było mieszkanie surowe, spokojne, w domu raczej starym, albowiem profesor Mansueto Birri nienawidził nowoczesnych budowli, gdzie wszystkie hałasy całego domu skupiają się w twoim pokoju i gdzie nie można kichnąć, aby zaraz pianista z górnego piętra nie przerwał swych zabójczych ćwiczeń technicznych i nie odpowiedział na zdrowie.

Po długich i cierpliwych wywiadach znaleziono apartament nieco ciemnowy, raczej milczący, w staroświeckim domu, który jednak miał się odmłodzić przez kokieteryjne sprzęty, jakich podjęto się dostarczyć.

— Jakaż to będzie niespodzianka dla Iluszki — tryumfowała ciotka — zejść z pociągu i znaleźć się od razu w swoim domu!

Profesor uśmiechał się pod swoim merowingowskim wąsem.

Co wieczór przychodził do Virgili'ego, by czytać listy Iluszki, podziwiać przez osadzone na skrajnym punkcie nosa okulary jej karty widokowe, i zamieniać kilka zdań o szczegółach mieszkania.

— Czego nic umiem sobie wytłumaczyć — rzekł raz pewnego profesor — to zachowania się pana młodego po ceremonii ślubnej. Opuszczenie żony — nagle i zupełnie!...

— Wariat! — wytłumaczyła ciotka.

— Wszelako, chciał przecież się ożenić?

— Bez wątpienia! Na kolanach prosił o rękę Iluszki.

— Dziwne! — rozmyślał profesor, ciągnąc wąsy.

— Słyszałem o opuszczeniu żony na minutę przed ślubem, ale nie potem. Albo też pierwszej nocy, gdy mąż znalazł żonę niedziewicą. Ale natychmiast po ślubie — nigdy!

Arcyucziwa ciotka przekonała go, choć nie było potrzeby, że Iluszka jest czysta jak woda deszczowa. Gdyby tak nie było, nie ośmieliłaby się mu jej ofiarować!

On sam zresztą, świadek ślubu, widział, że pomiędzy małżonkami nie było żadnej styczności, nawet pocałunku.

Iluszka nie przyrzekła, że poślubi profesora, ale ojciec, ufny w politykę dokonanego faktu, pewny był, że wobec gotowej wyprawy, urządzonego mieszkania i urzędowych zawiadomień, Iluszka nie oprze się, i nie będzie śmiała powiedzieć nie.

Mijała zima.

Listy Iluszki donosiły o niezwłocznie mającym nastąpić wyroku rozwodowym.

— Przyjeżdża jutro! — cieszyła się Donatella.

— Po czterech i pół miesiącach pobytu zagranicą — jęknęła ciotka — i kontaktu z tym nieszczęsnym osobnikiem. Ach, jakże rada będzie, że się od niego nareszcie uwolni!

— To prawdziwa podróż wyzwolenia!

— Myśli sobie z ulgą, że nie zobaczy już nigdy tej

kreatury!

Tymczasem w wagonie sypialnym Orient Expressu, na drodze powrotnej, dwoje kochanków tuliło się do siebie w rozpaczliwym uścisku, jak się tulą samobójcze pary – gdy, obejmując się, rzucają się w płynne tajemnice śmierci.

Jednostajny pejzaż wiosenny rozwijał się pomiędzy fioletowymi zasłonami okienka, przyspieszając rytm ich wspomnień...

...Kawiarnie o szumnych orkiestrach ogłuszających jak skomplikowane trunki. Beładne ulice. Hotele, w których się tańczy i oszukuje w kartach: imponujące i strojne przybytki, jak wypada na sztab generalny cudzołóstwa i galanterii.

Wspominali – złączeni uściskiem w tej pędzącej aksamitnej celi – wszystkie dni ich miłości.

— Cztery miesiące marzenia! — poddawała się żalowi Melitta, cała zwinięta w kłębek na jego kolanach, patrząc nieprzytomnymi oczyma na przemijanie kwitnących drzew. — Cztery miesiące miłości!

Oparła czoło o jego policzek.

Miłość umierała wraz z ponownym kwitnieniem brzoskwiń i migdałów.

Mauro gładził jej włosy i całował ja w pachnące owocami usta.

— Teraz mogę umrzeć bez żalu — mówiła — bo poznałam wszystko, co może dać życie. W te cztery miesiące miłości żyłam jakby przez czterdzieści lat, były one bowiem kondensacją rozkoszy. Umrzeć!... Wydaje mi się, jakbym szła na spotkanie śmierci.

Mauro zamknął jej usta.

— Ty chcesz tego, Mauro. Teraz jesteśmy wolni, rozwiedzeni!... Teraz nie ma już obawy przymusu małżeństwa, które nas rozdzielało. — Czemu nie mamy połączyć się na zawsze? Ty potrzebujesz swobody, nielegalności, buntu i przeciwstawienia się ogółowi. Nie potrzeba, abym prawnie należała do ciebie! Znowu jesteśmy parą nielegalną. Znowu jesteśmy przeciw wszystkim. Chcesz, abyśmy kochali się wiecznie, jako kochankowie?

Poruszył głową.

— Dzień po dniu zadawałaś mi to pytanie i dzień po dniu odpowiadałem ci to samo. Nigdy już nie

będziemy szczęśliwi, jak byliśmy ostatnio. Byłbym złym mężem. Moi przodkowie dali mi smutne dziedzictwo: obłąd i samobójstwo. Jedyne kilku krewnych, którzy prowadzili życie spokojne, pogodne, bez przeciwności i bez walk, uchroniło się od tego. Ale inni... Dziadek mój zabił się wystrzałem z rewolweru w ataku neurastenii. Stryj mój powiesił się na drzewie po latach smutnej psychozy. W mojej głowie od kilku miesięcy psuje się coś. Nie mogę być spokojny, jak każą lekarze. Lekarze zalecają spokój, odpoczynek i zamożność. Ubiegłej jesieni, w okresie naszego ślubu, przyłapałem się na wypowiedaniu niedorzeczności i popełnianiu dziwactw. Jakąkolwiek szczęśliwość mogłabyś mi dać w naszym przyszłym życiu, ja byłbym przygnębiony moją idée fixe o minionym szczęściu. Widziałbym zawsze te cztery miesiące na brzegu Dunaju, które nigdy już nie wróca. Widziałbym naszą jesień turyńską przed katastrofą, nasze dni w wysokich górach, które nigdy się nie powtarza, naszą ciszę, gdzie słyszałem tylko twój głos...

— Dzieciaku!

— Dzieciaku? Do mnie to mówisz? Są dzieci,

które nigdy się nie śmiały, i ludzie, którzy nigdy nie byli dziećmi. Ja należę do nich. Pogódźmy się, Melitto, z naszym ograniczonym skarbem rozkoszy. Może naprawdę, jak mówisz, zawarliśmy w tych czterech ostatnich miesiącach całe nasze skondensowane życie!

Umilkli.

Zobaczyli znowu Dunaj zielony, po którym płynęły wielkie płyty lodu: Dunaj mętny od starożytnych legend, pomiędzy współczesnymi pałacami stolicy.

Zobaczyli przyjazd swój, w zimowy wieczór, do nieznanego miasta.

Omnibus, który wioził ich do hotelu, z trudem torował sobie drogę w śniegu nieskończonym, niebieskim, ozłoconym miejscami przez wielkie latarnie zapalone na długo przed zapadnięciem zmierzchu.

Ich oczom, zmęczonym trzydniową podróżą, oświetlone wystawy wydawały się światem bajki, światem złożonym z flory i fauny Bożego Narodzenia, z cudownych pajaców (zabawek dla dzieci) z pięknych materiałów, bogatych futer, urzekających klejnotów (zabawek dla kobiet) i z eleganckich pań (zabawek dla mężczyzn), pań tak pięknych, jak piękne są panie,

które spostrzegamy w chwili przyjazdu do nieznanego miasta.

Milczeli, ale ich zamknięte oczy widziały pokój hotelowy, na ostatnim piętrze, skąd przechodnie i pojazdy wydawały się małe i powolne jak aktorzy i aktorki jasełek. Lekkie saneczki wtrącały nutę północną w ulice białe, okolone jaskrawo oświetlonymi kawiarniami.

Każda z kawiarni wyrzucała przez kołowroty wejścia swoiste dźwięki.

Szkoci o nagich kolanach grali na piszczalkach Tipperary. Kozak krążył zawrotnie pod dźwięk bębna, pobrzękując ładownicą na piersi. Andaluzyjka ze sztucznym goździkiem w zębach tańczyła w rytm najnowszego hiszpańskiego fandanga, skomponowanego przez Węgra.

Na każdej z nielicznych stacji pociągu pośpiesznego, kochankowie powtarzali ze smutkiem jej nazwę i przymykali oczy, tuląc się mocniej do siebie.

Zdążali ku lazurowemu niebu Włoch.

Wzgórza Turynu były muzyką wątłych różowawych kwiatuszków jak pokoje, które ukwiecają czasami

samobójcy, aby we śnie zejść do ogrodów śmierci.

— Cierpisz, Melitto?

— Czujesz, jak mi ręce palają? Mam tutaj, w mózgu, tyle myśli niejasnych, nieuporządkowanych, wspomnień bezładnych. Czuję się tak jak przed dwoma tygodniami, kiedy chirurg uspił mnie eterem: kochany doktor Wolf, śmiejący się wszystkimi przetykanymi złotem zębami!

W pamięci gromadziły się ważne zdarzenia i nic nie znaczące szczegóły tej pory miłosnej.

Długie noce, pełne uniesień; zbudzenia o późnym popołudniu; mars na twarzy dyrektora hotelu o pozorach feldmarszałka, który chmurzył się, gdy schodzili do sali jadalnej o trzeciej po południu lub o dziesiątej wieczór z dziecięcą nieświadomością czasu, bo nie nakręcali zegarków.

Czas dla nich nie mierzył się na godziny, ani na dni i noce, lecz rozwijał się rytmem gorączkowym namiętności, porywami zmysłów, pauzami odpoczynku, jasnymi strefami nabrzmiałymi czułością.

Kochali się, kiedy inni zasiadali do stołu. Usypiali, kiedy inni wychodzili na spacer. Nieraz kazali sobie

podawać obiad do łóżka. A kiedy pokojówka oznajmiała: godzina ósma – musiała dodawać: rano lub wieczór.

Punkt zetknięcia ich ust był środkiem świata: świata bez praw, bez kontroli, bez godzin.

Powróciła pogoda, której zaznali w górach, kiedy nie myśleli o jutrze, kiedy żaden pan o ukolorowanym brzuchu nie kazał jej iść za nim, ani jemu opiekować się nią, trzymać przy sobie i zaopatrywać we wszystko według artykułu 132 Kodeksu Cywilnego.

Od dnia, kiedy cudza wola popchnęła ich pod rękę, pod skrzydła Prawa, odepchnęła ich od siebie odraza.

Od chwili, gdy inni zaczęli ich rozdzielać, miłość zmartwychwstała, i podróż rozwodowa przemieniła się w podróż poślubną.

Nigdy żaden miesiąc miodowy nie był bardziej namiętny od tej rozkosznej podróży dokonanej w celu rozerwania węzła.

Całowali się w kawiarniach, na placach, w przedsionkach hotelowych.

— Widziano nas.

— Kto? Nie ma nikogo.

— Racja! Tylko my istniejemy.

Przyłapani na pocałunkach w katedrze, pośród woni kadzideł, zostali wyrzuceni przez kościelnego.

Wyszli jednak spokojnie, uśmiechnięci, bez obawy policji i bez dreszczu świętokradztwa.

Wspominali podróż statkiem z Budapesztu do Wiednia na małym parowcu dunajskim obwieszonym lampkami jak karuzele jarmarczne, i podróże z Wiednia do Pragi i z Pragi do Linzu, kiedy sędziowie i adwokaci zajmowali się ich rozwodem.

Były to podróże poprzez białe pola, w cudownie ogrzanych wagonach, które na bokach dźwigały girlandy śniegu i festony lodowe.

Noc sylwestrową spędzili w wiedeńskim tingel-tanglu o futurystycznym westybulu, gdzie panie zdejmowały olbrzymie śniegowce obłożone futrem i wchodziły do Sali, przytupując w takt muzyki Kálmána i Stolza.

Od jednego do drugiego stolika krążył skrzypek ze swym instrumentem pod pachą i zastrzykiwał paniom czar swojej tajemniczej muzyki.

W przerwach podrzucał smyczek w górę i chwycił go w powietrzu ze zręcznością kuglarza.

Fakir hinduski sprzedawał kawałki sznura po wisielcu.

Przekupka słodczy przechodziła w chlamidzie greckiej i sandałach z hieratyczną uroczystością kapłanki.

Wykrzykiwała:

— Backerei! Backerei!

Mauro zapytał Melitty, czy Backerei to bóg Walhalli, któremu kapłanka składa biszkopty i jabłka?

— Głuptasku, to znaczy: słodczy; to znaczy: petits-fours.

Od tej chwili Backerei stało się synonimem łakoci, ale nie tych, które się jada.

Odtąd, ile razy Melitta przeciągała się lubieżnie jak kotka i, ocierając się o jego ciało, ofiarowywała się, dysząc rozkoszą, miauczała:

— Backerei!

Z uderzeniem północy, światła zgasły na chwilę, pośród dźwięków pocałunków i wybuchów śmiechu.

Gdy światło rozbliło, jakiś kominiarz, przyjęty z

wesołym przerażeniem, wlał pod stoliki, rozdając wszystkim suche gałązki ze swojej miotły.

Jakiś Czech o gwarze pełnej w i c zapytał Maura, czy pozwoli uderzyć gałązką po ramieniu swojej blond towarzyski – i dodał, że to przynosi szczęście.

Szczęście!

Wszystkie panie nadstawiały ramiona sąsiadom, a tymczasem korki szampana strzelały pod sufit i opadały na głowy i na zastawy stołowe.

Szczęście na cały rok!

Melitta była smutna podczas tej zabawy.

Nic nie mogło jej rozśmieszyć.

Ani błazeństwa pajaców czeskich, którzy na głównej scenie zdejmowali ze siebie czterdzieści kamizelek, jedną po drugiej. Ani kłown serbski, który kazał sobie wyrwać ząb, wielkości cylindra, z którego wypróchniałego korzenia wyskakiwały białe myszy.

Nic.

Melitta wiedziała, że rok nadchodzący nie da jej nic prócz goryczy.

Wstęgi gwiazd spadających krzyżowały się pomiędzy kępami ostrokrzewu i jemioli

rozwieszonymi u lamp.

Pod nimi uduchowieni wiedeńczycy o złotych zębach przeżuwali dymiące Wiener Würstel, przyprawiając je musztardą, która pobudziłaby nawet posągi do kichania.

A tymczasem orkiestra imitowała uroczysty głos harmonium.

Melitta nie śmiała się i wtedy, gdy jakaś quasi-kokota, nieco wstawiona, śpiewała ridi pagliaccio (śmiej się pajacu) po węgiersku, ani wtedy, gdy jeden z kelnerów – sam ober – przeszedł z ogromną szprycą i celował w sufit długimi smugami lizoformu, który opadał w tęczowych kroplach na dymiącą peklowinę i kufle piwa.

Rok nadchodzący obiecywał wszystkim lepsze czasy, ale Melicie – nie.

Melitta była jak chory, którego nie cieszą żadne życzenia, bo jest świadomy nieuniknionego rozwoju choroby.

Jakiś przekupień dywanów, Turek, który chwalił się że mówi wszystkimi językami i że wędrował po całym świecie, zatrzymał się przed ich stolikiem,

zaklinając się na wszystkich bliskich i dalekich krewnych, dziadów, pradziadów, ich potomków i powinowatych, że dywany jego pochodzą wprost ze Smyrny i że młodzi małżonkowie potrzebują ich bardzo.

— Nie jesteśmy małżonkami — oświadczyła Melitta po włosku.

Wtedy poliglota Turek ogarnięty nagle żądzą ku tej jasnowłosej włoszce ofiarował jej swój towar w zamian za posiadany przez nią.

— Ty tańczyć? Ty śpiewać? Ty podobać się bardzo Ahmedowi Ali Kamei. Jeśli ty spać z Ahmed Ali Kamei, to Ahmed Ali Kamei ty dać diwwani turki, jakpiekniejszy swój diwwan turki.

I wskazując na Maura:

— Ty nie spać z Auzdriagem. Auzdriag jest mabulbezef.

— Mabulbezef?

— Głuppi! — przetłumaczył Turek.

Ale że Melitta nie chciała zdradzić Auzdriaga, Turek odszedł, klnąc jak prawowity chrześcijanin.

Przez kilka minut hałaśliwy tingel-tangel ucichł, by się lubować przekleństwami nieszczęśliwego w miłości

przekupnia, malowniczymi i eklektycznymi przekleństwami muzułmanów, gdzie w grę wchodzi przodkowie i potomkowie – z uwzględnieniem młodszych gałęzi domniemanych ojców, synów naturalnych, lekarza domowego i bliższych i dalszych sąsiadów.

Tego wieczoru powrócili do hotelu bardziej niż zwykle zakochani i aż do rana poświęcili się słodkim, denerwującym, i niewyczerpanym Backerei.

Ale dzięki tym Backerei, pewnego ranka, Melitta poczuła dziwny bezwład, uczucie mdłości, a zwierciadło ukazało jej twarz niezwykle bladą.

Nie mogła znieść zapachu zwykłego swego pudru i nie chciała słyszeć o marmoladzie wiśniowej.

Uokularniony doktor Wolf, o złotych zębach, zawyrokował:

— Sie sind schwanger.

— Czy to pewne?

— Absolutnej pewności nie można mieć aż do czwartego miesiąca. Wtedy dopiero wyczuwa się pulsowanie płodu. Jednakże i teraz już można wnioskować – a mdłości pani i odraza do marmelady

wisniowej nie są przecież spowodowane niestrawnością.

Doktor Wolf był typem z wodewilu.

Stylizowany, czyściutki, jak gdyby każda pacjentka przychodząca do ambulatorium z opowiadaniem o swych dolegliwościach była jego kochanką w pierwszym, intymnym rendez vous, przyjmuje damy w tajemniczych salonikach o płołych meblach, o dyskretnych draperiach, i pomiędzy jedną a drugą łąką nieszczęsnej grzesznicy częstuje ją wykwintnymi likierami, nie mającymi nic wspólnego z tym trywialnym elixir china, które proponują lekarzom ich sojusznicy: aptekarze.

Gdyby w królestwie Cytery, demokratyczny król Kupido chciał zorganizować służbę sanitarną, nikt nie nadawałby się lepiej na to stanowisko niż doktor Wolf, który mieszka (wyciąć i zachować adres) w Budapeszcie, na ulicy jakiegoś tam Wielkiego...

Doktor Wolf zajmuje się wszystkimi niedomaganiem, pochodzącymi z miłości, z nieostrożności miłosnych, z ekscesów miłosnych, z nieszczęśliwej miłości.

Pacjenci jego: od niedoświadczonej dziewczynki, która, chcąc zakosztować miłości, pokutuje za swój pośpiech niepokojącym opóźnieniem – aż do czcigodnego sędziego w stanie spoczynku, który spoczywałby daleko chętniej, gdyby nie musiał spoczywać samotnie.

Nie trzeba dodawać, że doktor Wolf był pierwszym, który w stolicy państwa węgierskiego stosował odmałpianie młodych małp, aby umalpiać starych ludzi.

Liczne panienki z najlepszych rodzin, które, nie chcąc przystępować nieprzygotowane do małżeństwa, ćwiczyły się uprzednio w sztuce poronienia – dzięki czynom doktora Wolfa, doskonałego naprawiacza dziurawej cnoty, mogły ofiarować małżonkowi nieprzeniknione tajemnice hermetycznej czystości.

Do pacjentek swych, które zgrzeszyły z racji nadużywania ich łagodności, doktor Wolf przemawia tonem łagodnym, pocieszającym i nie dokonywa najmniej bolesnej operacji bez znieczulenia lokalnego.

W pewnych wypadkach, jak na przykład u Melitty, której wrażliwość na ból była wyjątkowa, doktor Wolf

ucieka się do kompletnego znieczulenia. Operuje z pomocą asystenta, brodacza, który służy mu także za pocieszyciela klienteli rodzaju męskiego.

Wszyscy wiedzą (a ci, którzy nie wiedzą, mają jeszcze czas do przekonania się z własnego doświadczenia), że kiedy specjalista mówi:

— Ha, mój panie, pan ma...

Pacjent woła:

— Ja się zabiję!

I dodaje:

— Jestem zgubiony, skończony!... i dalej w tym samym tonie, stosownie do zapasów swego słownictwa.

Wtedy lekarz musi wypowiedzieć przemowę, która trwa ogółem półgodziny (do czterdziestu minut), aby uspokoić jego rozpacz i napoić odwagą.

Doktor Wolf posiada zbyt liczną klientelę, by móc tracić po pół godziny na franciszkańskie dzieło słownej pociechy. Powierza przeto misję przemowy pocieszycielskiej swemu asystentowi o białej brodzie i ascetycznej postaci kapelana więziennego.

— Rudolf — mówi mu — zielony salonik!

I Rudolf znajduje w zielonym saloniku, w najgłębszym zakątku najgłębszego fotela, zmiażdżonego pacjenta.

— Niech pan nie rozpacza, szanowny panie — mówi stary Rudolf, gładząc sobie śnieżną brodę. — Choroba pana jest obecnie już łatwa do leczenia, a tak rozpowszechniona, że bakcyle utraciły większą część swej jadowitości. W samym Budapeszcie sto tysięcy mężczyzn znajduje się w tym samym, co pan, położeniu — i miewa się doskonale, zajmuje się interesami, ma zdrową rodzinę. Jak i pan, tak postanowili w swoim czasie odebrać sobie życie — a potem rozmyślili się; gdyby zaś byli to uczynili, pożalowałiby tego teraz z pewnością! — Za dwa dni guz pana zniknie, a po trzecim zastrzyku — nie będzie już zaraźliwy. Ale kuracja jest długa i musi być przeprowadzona z najskrupulatniejszą akuracnością. Największy odsetek aortytów, paraliżów postępowych, wrzodów wątrobianych, encefalitów luetycznych, tabesów grzbietowych, obłądów paralitycznych i niespodziewanych śmierci — dotyka tych, którzy po dwutygodniowych zastrzykach, myśląc, że są

wyleczeni, przerywają kurację. Ja sam, który – jak mnie pan widzi – mam siedemdziesiąt osiem lat, przechodziłem tę chorobę, ale dzięki usilnej kuracji czuję się doskonale, a z moich dwunastu synów każdy jest ze swej strony ojcem najzdrowszych dzieci.

I dalej przemawia w tym tonie, dopóki go nie przywoła dzwonek doktora Wolfa:

— Rudolf, czerwony salonik!

A w czerwonym saloniku zastaje zdruzgotanego pacjenta:

— Niech pan nie rozpacza, szanowny panie. Choroba pana jest obecnie już łatwa do leczenia, a tak rozpowszechniona, że bakcyle utraciły większą część swej jadowitości. W samym Budapeszcie...

* * *

Mauro błagał ją ze złożonymi rękami:

— Nie chodź do doktora, Melitto!

— Dać mu przyjść na świat? A kto się nim zajmie?

— Ja!

— Zabrać dziecko matce? To występek. A ja nie

mogę wziąć go do siebie. Ojciec by mnie wypędził. Ojciec ma straszliwą siłę: pieniądze.

— Będziemy się nim zajmowali oboje.

— Ale, po wymuszeniu małżeństwa, zarzucałbyś mi wymuszenie ojcostwa!

— Nie, maleńka! Przerwijmy te głupie starania o rozwód i kochajmy się w sposób spokojny i legalny.

— Jeszcze głupiej. Nie mógłbyś kochać mnie w dalszym ciągu. Nasz syn nie może się urodzić. To konieczne.

Mauro popatrzył na nią z wielkim politowaniem.

— Jaka się z ciebie stała mieszcza! Schodzisz do poziomu pierwszej lepszej kobiety. Chcesz poronić jak wszystkie. Twoje umiłowanie prawdy, czystości, wyzwolenia, kończy się na łóżku w klinice akuszerskiej.

— Kochany mój! Dziecko nie jest abstrakcją lecz rzeczywistością. Rzeczywistością, którą ja muszę unicestwić. Zabijam je, aby nie umarło z głodu. Gdyby się urodziło, ojciec mój nie dałby jeść ani mnie, ani jemu. Wyrzuciłby nas na ulicę. Posłał mnie zagranicę na to, żebym się rozwiodła, a nie rodziła dzieci. Wrócę do domu jako panna Virgili. A panna z dobrej rodziny

konserwatywnej nie może mieć dzieci. Musi je pozabijać, zanim na świat przyjdą. Społeczeństwo tego żąda. To moralność, którą nakazuje. Trzeba zgładzić życie, aby moralność była cała!

Ubrana w jasną suknię wiosenną, udała się sama do kliniki doktora Wolfa, kołując powolnymi krokami p o Donau-quai pełnym bladego słońca i ludzi odświętnie odzianych, śpieszących do przystani na pokłady bateaux-mouches, które kursują pomiędzy Pesztem i Budą.

Dunaj był niebieski, niebieski jak morze, jak Niebieski Dunaj z symfonii Straussa.

Kupiła w cukierni torebkę fondants i, gryząc je drobnymi ząbkami, weszła na marmurowe schody doktora Wolfa.

— Jestem niewytrzymała na ból fizyczny. Nie sprawiaj mi pan cierpienia.

Lekarz przyłożył jej stetoskop pod lewą pierś.

— Serce zdrowe.

— Wytrzymam narkozę?

— Z całą pewnością. Ale niech mi pani wierzy, że narkoza jest zbyt ciężka dla tak drobnej operacji.

— Powtarzam panu, doktorze, że nerwy moje pomnażają stokrotnie wszystkie odczucia. Co dla innych jest łechtaniem, dla mnie jest bólem; co dla innych jest bólem, dla mnie jest torturą.

— Dobrze.

Gdy miała na twarzy maskę Juilliarda, poczuła zrazu chłód,
potem zimno, wreszcie – lodowatość zmieszaną z goryczą eteru,
który wnikał przez nozdrza.

Słowa lekarza i asystenta zniekształcały się, słabły, znikały.

Nic szczególniejszego ani odrębniejszego od upojenia, które dawał jej cocktail-ether fabrykanta amerykańskiego w barze na Carnebière.

Odgłosy stawały się coraz słabsze i dalsze, tak dalekie, że czuła się unoszona w ciszy coraz wyżej, coraz wyżej, gdzie nic się nie porusza i nic już nie dźwięczy...

Uczucie unicestwienia.

Chciała przemówić.

Zaczęła jakieś zdanie, ale coś, niby silniejsza

kropla, przerwało je w połowie.

Wtedy zdawało jej się, że zbiega w podskokach z góry i widzi pejzaże pełne kolorów, krzykliwe od światła, kołujące na szerokich spiralach, i ciągle się przetwarzające.

Osoby i otoczenie z Tysiąca i jednej nocy w kołowaniu jednonumutowym kondensowały się w rozgorączkowanym umyśle.

Żelazo, trącając szklane baseny, powtarzało modną piosenkę Ferencza Lehára.

— A więc, doktorze, na co pan czeka? Kiedy zacznie pan operację?

— Już skończona, moje dziecko.

Otworzywszy oczy, doznała dziwnego zakłócenia wzroku.

Doktor mówił do niej, ale go nie widziała.

Widziała jedynie przy wielkim świetlistym kwadracie okna o szmaragdowych szybach żółty mikroskop pochylony nad okrągłym lustrem.

W kilka godzin później, ocknąwszy się w białym pokoiku klinicznym, spostrzegła wilgotne oczy Maura.

A w dzień potem – powróciła z nim do hotelu, do

pokoju, skąd wyspa świętej Margity wydawała się gęstym bukietem kwiatów.

Ale od tej chwili wszedł jej w żyły smutek przytłaczający, jak choroba.

— Nigdy już nie będę miała dzieci. Moim synem był ten. Twój syn był mój jedyny...

Potem wyszeptała coś, czego Mauro nie zrozumiał, ale zdawało mu się że były to słowa:

— I ja go zabiłam!

Nadszedł rozwód.

Mauro chciał pozostać jeszcze kilka dni na Węgrzech, ale jasnowłosa dziewczynka odpowiedziała sucho:

— Telegrafowałam już do domu, że przyjeżdżam w czwartek.

* * *

A teraz, zamknięci w celi koloru lila, na drodze powrotnej przejeżdżali przez doliny rozkwitłe różami. Przytuleni do siebie jak dwoje samobójców, powtarzali nazwy stacji.

W korytarzu wagonu sypialnego, jakaś tańcząca mamka usiłowała zabawić melancholijne dziecko, śpiewając mu piosenkę jeszcze melancholijniejszą, w której mowa była wciąż o poziomkach.

— Poziomki świętojańskie — objaśniła Melitta. To prześliczna legenda, rozpowszechniona w wielu krajach europejskich. W dzień Świętego Jana, Najświętsza Panna gromadzi wszystkie dzieci, które mieszkają w niebie, i – poprzez precudne ścieżki, gdzie kwitną lilie – prowadzi je do swoich wspaniałych ogrodów. Tam częstuje dzieci najpiękniejszymi poziomkami z niebiańskich grządek.

— Wdzięczna legenda.

— A matki w żałobie, matki które mają dziecko w niebie, w dzień Świętego Jana nie jedzą poziomek, w obawie, aby Madonna nie powiedziała ich małości: Nie ma dla ciebie poziomek, moje biedactwo, bo na ziemi matka zjadła twoją porcję.

Melitta popatrzyła przez firanki na melancholijne dziecko.

— I ja mam dziecko w niebie...

Pociąg się zatrzymał.

Weszli celnicy, wetknęli łapy w cieką bieliznę w walizkach.

Dopełniał się ostatni rozdział podróży.

Zdawało się, że jedno odprowadza na brzeg morza drugie, skąd ma wyruszyć w niepowrotną podróż.

Trzymali się za ręce w milczącym wzruszeniu, jak poprzez kratę żegnają się po raz ostatni: ta, która pozostaje i płacze, i ten, który odjeżdża daleko, aby odcierpieć długoletnią karę.

Dwa słowa, dwa małe niewyrażone słówka pożerały ich. Dwa słówka, które wyrażają rzecz rozległą i straszną:

Rozdzierający żal:

— Już nigdy...

Może ujrzeli oboje w tej ostatniej chwili jeziorko alpejskie, uwieńczone kępkami żółtej arniki.

Powrócą tutaj inni kochankowie i powtórzą nasze gesty. Sokoliki igrać będą nad nimi – jak igrały nad naszą miłością. Ale my ich nie zobaczymy już nigdy.

Już nigdy!

Wysiedli.

Rozstali się, płacząc, i tłum ich oddzielił.

Iluszka popróbowowała łagodnie buntu:

— Mam wyjść za tego człowieka, który mówi po łacinie? Wydaje mi się, jakbym szła do łóżka z brewiarzem!

— Co chcesz robić sama na świecie? Musisz mieć człowieka, któryby cię prowadził.

Pewnego dnia otrzymała długi list z powinszowaniem i życzeniami od zaprzyjaźnionej z całą rodziną jejmości.

Innego dnia dostała bukiet kwiatów od jakiejś kuzynki. Daleki krewny spotkany przypadkiem na ulicy zapytał, kiedy będzie ślub.

— Smętny obrzęd? — odparła. — Nie wiem.

Ciotka, Donatella, profesor — przynosili do domu wielkie paczki, zajmowali się dokumentami, biegali do ratusza, ustalali daty.

— Ale kiedyż to ja powiedziałam tak? — zapytywała Iluszka. Włóczyła się po mieście, po wzgórzach, i wracała zmęczona do domu.

Pewnego poranku zatrzymała się przed domem Maura.

Zadzwoniła.

Potem zadzwoniła ponownie.

Wróciła nazajutrz.

— Rzadko go się widuje — odpowiedziała stróżka.

Napisała do niego.

Nie otrzymała odpowiedzi.

W domu przygotowywała się wystawa wyprawy. Rozsyłano zaproszenia.

Pewnego dnia majowego o świetlistych wibracjach, Iluska siedziała w domu.

Ale dom poddany był najściu złośliwych panien, plotkarskich pań i ironicznych panów, którzy — podziwiając wyprawę narzeczonej — komentowali, oprócz gatunku materiałów, jeszcze i rozmiary zawartości, aby wyciągnąć z nich wnioski.

W porywie gniewu miała ochotę wygnać ich wszystkich, ale uważała że prościej będzie wyjść, nie witając się z nikim.

Pozostał profesor, wniebowzięty, i napawał się

uśmiechami dwóch czy trzech kolegów, którzy, roztrzęsając różne systemy sznurowania i układania guzików, wyrażali mu swoją radość, że będzie mógł lubować się wszystkimi tymi pięknymi rzeczami, gdy będą już na miejscu, w jego domu.

Nadszedł wieczór.

Iluszkę zaprowadzono do jej nowego domu, aby podziwiała dobry smak narzeczonego i przezorność ciotki.

Westchnęła z ulgą, gdy znowu znalazła się w domu ojcowskim, w swoim lakierowanym panińskim łóżku.

Przybywały dary weselne.

Futerały aksamitne, futerały jedwabne, futerały skórzane, osiemdziesiąt łyżeczek, siedem złotych ołówków z dwunastoma szyframi na zmianę (razem: 84), trzy serwisy do lodów, jedna luneta, dwanaście lornetek z masy perłowej, pięć serwisów do herbaty, obraz Donatelli (pejzaż morski) mały gobelin Donatelli (mały pejzaż morski), pianino, dar wuja narzeczonego. – Uwaga: ani narzeczoney, ani narzeczonego nie umieli grać na fortepianie. – Fortepian (od innego wuja, uwaga jw.); serwis na szparagi; serwis na trufle; trzy

gramofony z podwójnymi płytkami; osiem szczypiec srebrnych do cukru; czterdzieści sześć sztuk rozmaitych słoików, flaszeczek, pudełek z kryształu i porcelany.

Narzeczoney ofiarował Ilusce brylant, nieco żółtawy, ale piękny. Ojciec dał torebkę złotą i norkowe palto. Ciotka do spółki z weterynarzem (och, patrzcie, kogo ja widzę!) – długi łańcuszek z krzyżykiem brylantowym.

Od niewiadomej osoby dostała narzeczonea czerwoną wstążkę z łzą rubinową.

— Kto to może być?

Wymieniało się wszystkich przyjaciół, krewnych.

Na próżno.

Zagadka pozostała nierozwiązana.

Melitta przypomniała sobie, że w domku myśliwskim, kiedy goliła sobie szyję à la victime, młodzieniec, którego kochała, powiedział:

— Masz piękną szyję pod nóż gilotyny. Byłoby ci do twarzy z wstążką czerwoną i z kroplą rubinu, wysączającą się z otwartego gardła.

A brat Sándor?

Nie napisał ani słowa z życzeniami, nie dał znaku

życia o sobie.

— Dziwna rzecz! — niepokoila się Donatella.

— Zawsze jest taki dziwaczny! — komentował weterynarz.

— Nie wiesz nic o nim? — pytała ciotka Iluszki.

— Nie.

Ciotka wiedziała coś nie coś.

Raz, gdy była sama w domu, wszedł góral o twarzy spalonej przez lodowce i wyznał jej ze łzami, że pan jego zginął w szczelinach górskich.

Co dzień tam chodził, jak się chodzi na grób. Stawał na krawędzi przepaści i patrzył w głąb, jakby szukając czegoś niewidocznego.

Szukał może ciała dziewczyny, które lody od wielu lat pochłoneły i nie chciały oddać.

Pewnego wieczoru — nie powrócił.

Na krawędzi przepaści Papryka, towarzyszką o czerwonej sierści, wyła w najokropniejszy sposób, jakby ją przywoływał do siebie.

— Tego rana — mówił służący Sándora, wróciłem właśnie z doliny i przyniosłem mu list.

Był to list Iluszki, w którym opowiadała o swej

rozpaczy z powodu utraconej miłości i o tym, że ją rzucają w objęcia niezgrabiasza erudyty – z ceremonią zwaną małżeństwem, a w tym wypadku będącą najohydniejszą prostytutką.

Ciotka spiesznie pożegnała posłańca śmierci.

Nie trzeba było, aby wieść doszła do czyjej bądź wiadomości. Nie trzeba było zakłócać małżeństwa i zasmucać uroczystości.

* * *

Nadeszła uroczystość...

Iłuszka poddawała się biernie rękom, które oplatały ją welonami i kwiatami pomarańczowymi.

Uśmiechała się do panów w cylindrach, wsiadła do powozu, wysiadła, podpisała się, powiedziała tak, podziękowała, podała rękę mężowi.

Komandor Virgili, ojciec panny młodej, znany był w sferach finansowych, gdyż był on jednym z tych wysoce patriotycznych przemysłowców, którzy – żywiąc niezachwianą wiarę w pełną chwały przyszłość Ojczyzny – dochody swe umieszczali bezpiecznie w

bankach londyńskich i nowojorskich.

Pan młody włożył monokl, aby mieć pozór światowca, ale trud utrzymania go w oku upodabniał go raczej do psa, który stoi wyprostowany na tylnych łapach.

Miał on bladą i kwadratową twarz, obwiedzioną linią dwóch sumiastych wąsów – pionowo, a czarnym krawatem i czarnymi włosami – poziomo. Wyglądał jak zawiadomienie żałobne.

Wyłogi fraka o kroju nieco staroświeckim obciążone były wszystkimi orderami, z Zielonym Homarem z jeziora Titicaca oraz Wielką Wstęgą Przepukliny Mahometa.

Również i świadkowie pana młodego nosili różne tytuły humorystyczne: kawaler papieski, komandor czarnogórski i tym podobne prestidigitatorsko-iluzjonistyczne nazwy.

Jednym ze świadków był profesor greki na Uniwersytecie, jeden z tych dobroduszych uczonych, którzy ściskają ludzi za obie ręce, nie obcinają żadnego studenta, przez całe życie mają jeden i ten sam ołówek, i którym grozi apopleksja ilekroć słyszą chwalby dla

zbyt modernistycznego Hektora Romagnoli, przedstawiciela na Włochy starożytnej firmy: Ajschylos, Sofokles i Spółka.

Drugim świadkiem był potężny pisarz.

Nazywają się potężnymi pisarzami ci, którzy przez omyłkę nie stali się posłańcami.

Śniadanie weselne przygotowane było na czterdzieści osób.

Czterdzieści osób — myślała panna młoda — obżera się za moje szczęście!

Pomiędzy znakomitościami rej wodzili: deputowany ze sfer rolniczych (trzewiki z gumami po bokach), kawaler Płaszczka i Szpady, oficer Grobu Świętego i sławny lekarz, profesor uniwersytetu, specjalista chorób skórnych.

Iłuszka rozglądała się dokoła.

Wydawało jej się że jest niewolnicą. Wspominała jedno niedorzeczne, lecz malownicze zdanie, wypowiedziane przez aktorkę, kochankę Maura:

Co to za ohyda, ci mężczyźni! Kreatury stojące na ulicy w ogonku przed wychodkiem!

Bledsza niż zazwyczaj w tym całym kwiecistym

przybraniu o dziewiczej bieli czuła na sobie ze wszystkich stron płomienie spojrzeń współbiesiadników.

Czuła upokorzenie, że wystawiła się na widok publiczny przez cały czas ceremonii, przejazdu powozem i obiadu.

Myślała:

Ubrali mnie tak, w śmieszną liberię czystości, aby wszyscy wiedzieli, że dziś wieczorem ten człowiek może mnie rozebrać, macać moje ciało, wlać w nie rezultaty swojej kuracji odżywczej...

— Mów coś — zachęcała ciotka, trącając ją łokciem — powiedz coś twemu mężowi.

Miała ochotę krzyknąć:

— Brzydę się nim! Brzydę się wami wszystkimi! Brzydę się samą sobą, bo żadna ładniczka nie jest wystawiona – jak ja – na niewypowiedane dowcipy tej hołoty, która pije za moje zdrowie i na moją cześć! To, co wszyscy starają się jak najbardziej ukrywać, akt dokonywany w sekrecie, czynią oni przedmiotem plotek, życzeń, powinszowań. Nikt nie wie, co się stanie dziś wieczór w pokoju innych. Ale wszyscy

wiedzą, co się stanie ze mną. Niech nazywają to ślubem, niech nazywają hymnem, niech nazywają marzeniem urzeczywistnionym. Jest to tylko...

Przypomniała sobie termin ściśle naukowy, który wyszedł kiedyś z opancerzonych złotem ust sympatycznego doktora Wolfa.

Ten akt miłości – niemoralny, jeżeli dokonywa go się w tajemnicy, bez niczyjego uwiadomienia – staje się cudownie czysty, gdy obwieszczony jest wszystkim, listownie i w gazetach, i gdy zaprasza się na śniadanie czterdziestu wygłodniałych dudków.

Panie bawiły się żarcikami panów.

Chwalono homara dla jego właściwości podniecających.

— Ależ to nieprawda!

— Prawda!

— Przekona się o tym panna młoda.

— Życzę tego panu młodemu!

Chwalono czystość dziewczyny, ganiono jej manię podróżowania po świecie, oceniano wymiar jej miednicy, czyniąc jednakże zastrzeżenia co do objętości piersi.

— Przemów choć słówko do męża — prosiła ciotka.

Lokaje napelniali kieliszki.

Zuchwałe śmiechy przebiegały z jednego końca stołu na drugi.

Co najgrubsze sprośności podawały się z ust do ust, za plecami pań, ale półgłosem dość podniesionym, aby je panie słyszały.

Ojciec Iluszki układał sprawę sprzedaży szmelcu żelaznego z sąsiadem.

— Mąż mówi do ciebie, a ty mu nie odpowiadasz — nalegała ciotka.

— To ze wzruszenia — tłumaczyła sąsiadka, obgryzając kostkę bażanta.

Iluszka patrzyła w jeden punkt obrusa, rozdzielając paznokciem węzły tkaniny.

— Pozwoli pani? — zapytał lokaj, podając jej poziomki z rumem. — Poziomki.

Spojrzała na menu. Na datę.

Święty Jan.

— Przecież lubisz poziomki! — namawiała ciotka. Zawsze chciałaś poziomek!

Iluska odsunęła talerz, jakby oddając go komuś.
Zacząła płakać, jak nigdy jeszcze nie płakała w
życiu.

Wszyscy wstali, i otoczyli ją.

Panu młodemu wypadł monokl, ale podniósł go i
wsadził w oko.

— Wody!

— Soli!

— Octu!

— Co jej się stało?

— Biedactwo!

— To ze wzruszenia.

— Natrzyjcie jej czoło!

— Mdleje!

— Natrzyjcie skronie!

— Lodu!

— To nic, nic...

— Nic wielkiego...

— Już przechodzi...

— Czy chcesz wyjść?

— Tak.

— Czujesz się lepiej?

— Tak.

— Możesz wrócić do stołu?

— Tak.

— Z radości, tak, tak...

Przysięgła, że wyrzeknie się swej osobowości.

— Dobrze by ci zrobiło trochę świeżego powietrza

— zawyrokował podporucznik-weterynarz w mundurze galowym. — Czemu nie chcesz wyjść?

— Jeżeli wyjdę, nie wrócę więcej.

— Łyk szampana dobrze robi! — zaszczębiotała panienska z prowincji, która go rzadko widocznie pijała.

Wystrzał korków dał sygnał do przemówień.

Po krótkim preludium obowiązkowej skromności (wprzód pan, profesorze... Nie, wprzód pan, kawalerze... Ja nie umiem przemawiać... Ja nie jestem mówcą...), podczas gdy dzwoniono w kieliszki, aby uciszyć zgromadzonych, ktoś powstał.

Krótkie odkaszlnięcie. Spojrzenie okólne.

— W tym radosnym dniu, gdybyśmy się zebrali na tak miłej uczcie, by uczcić hymen nauki (oklaski) z niewinnością (komentarze) związek małżeński erudyty, który wie wszystko (uznanie) z dziewczeczką, która nic

wie jeszcze o życiu (zjadliwe uśmiechy pań, ruch nóg pod stołem), w tym radosnym dniu, mówię, żałuję, że moje nieudolne słowo nie może oddać nawału uczuć, które przepelniają moje serce. Nie umiem wysławić godnie zasług tego, który dziś zamyka spracowane karty swojej dziennej pracy, aby otworzyć księgę swego upragnionego marzenia o miłości (długie owacje), aby pojąć czysty kwiat, w którego ciele mieszka niepokalana dusza (szmer uznania), dziewicę, która łączy z powabami zewnętrznymi najwyborniejsze cnoty serca i umysłu. (Żywe oklaski nad wszystkimi talerzami). Wysoko wznosząc kielich na cześć tego symbolu wdzięku, dla którego zapalają się na koniec pochodnie dnia upragnionego, nie będzie wam niemiłe, abym wysławił rzadkie cnoty które ta wątła dziewica przepasana białym welonem daje swemu małżonkowi, z których nieostatnią jest jej niepokalaność, to dziedzictwo zdrowych zasad rodziny, skąd powzięła początek! Niepokalaność, która jest najpewniejszą zapowiedzią wierności, i miłości! (Oznaki znużenia wśród słuchaczy). Gdybym nie obawiał się znudzić was, opowiedziałbym pewną anegdotę (oznaki uwagi), która

odsłania...

Następuje anegdota.

Idiotyczna.

Ogólna nieuwaga.

Następnie – okropny mówca zaczyna mówić o miednicach, o tajemniczych kryjówkach, o trzewiach i życzy wreszcie długiego życia, opromienionego dzieciątkiem, ponieważ gdzie potomstwo, tam panuje radość...

Przemowa gaśnie wśród wybuchu jednogłośnych oklasków.

Uściski dłoni.

Inny mówca.

Potężny pisarz podnosi się imponująco i uroczyście.

— Na usilne żądanie, abym wypowiedział dwa słowa, przezwycięzam moją zwykłą nieśmiałość i będę mówił.

Oklaski. Pauza.

Gestykulując, wylewa sobie trochę szampana za mankiet.

Mówi, jakby szukając słów.

— Trudne zadanie, zaiste, przemawiać w kole mężów, przywykłych do mówienia z katedr uniwersyteckich, z trybun parlamentarnych, z ław adwokackich, przywykłych do wygłaszania wiekuistych prawd nauki i prawd względnych, i przypadkowych praw, przed trybunałem sędziów lub mędrców. Powiem przeto i ja, wraz z dumnym Allobrogo... (Po dumnym Allobrogo byli cytowani: Bard demokracji; Gibellin zbieg; Sawoiard od wyrzutów sumienia pożółkły; oraz Turyn, który był kolebką ruchów rewolucyjnych roku dwudziestego pierwszego).

Goście tymczasem rozmawiali o swoich interesach, o kuracji w Montecatini, o gospodarzu domu, w którym mieszkają, nalewali sobie wina, zapalali cygara, rozpinali kamizelki, chowali do kieszeni banany albo cztery daktyle, albo łyżeczkę srebrną – słyszeli w przelocie słowa: Omnia vincit Amor... , Ognisko domowe. . . Święta radości. . . Rodzina podstawą społeczeństwa... I dopóki słońce błyszczeć będzie nad nędzą ludzkości...

Podano kawę.

Oklaski nad „wielce uda tną improwizacją”

potężnego pisarza, przygotowywaną od dwóch tygodni.

— Wydelegowany przez studentów uniwersytetu...

Wszyscy obrócili się w głąb sali, gdzie błądy efeb o delikatnych rysach wścibskiego onanisty wzniosł kielich w imieniu uczącej się młodzieży, która duchowo jest przytomna zaślubinom znakomitego uczonego, wielkiego rzemieślnika, który przy swym rzemiośle ukuł sobie żelazne mięśnie, i który, jak to dobrze powiedział, niestety, zbyt wcześnie zapomniany filozof...

Uściski pomiędzy uczniem a profesorem.

Łzy na merowingowskich wąsach.

Wzruszone oklaski publiczności.

Wesołość pomiędzy lokajami.

Jakaś pani wyciera serwetką kieliszek starego Bordeaux, który jej wylano na białą suknię.

— Nic nie szkodzi, to nie plami! — pociesza profesor języków umarłych.

— Na cześć wesołości! — wykrzykuje pan o rudej brodzie, który nie jest mężem.

Ciotka podaje niezwłocznie jeden z tysiąca przepisów pożytecznych.

— Panowie!

Nowy mówca.

Jest to korespondent Mściciela, tygodnika niezależnego.

Można było od razu się domyślić, że to dziennikarz. W rzeczy samej, cytuje kategoryczny imperatyw, agnostycyzm i głupi wiek dziewiętnasty.

Aby bardziej okazać swą dezynwolturę oratorską, kołysze się łagodnie i, trzymając rękę w kieszeni spodni, przesypuje w niej brzęczące sody.

Po cichu mówi się o panu młodym, dawnym przyjacielu rodziny, który był świadkiem panny młodej przy pierwszym małżeństwie.

— Ciekawe! Musiał stać się drugim mężem. Aby dać świadectwo...

— Oskarżonemu...

— Co to za smutna rzecz — to pierwsze małżeństwo! Mąż porzucił ją u schodów ratusza.

— Dlaczego?

— Wariat.

— Pojmuję, że można zwariować po tygodniu doświadczeń. Ale tak zaraz? Więc jej nawet nie dotknął?

— Zdaje się że nie.

Iluska także myślała o pierwszym ślubie.

W swojej nędzy był on przecież o wiele uczciwszy od wstrętnej uciechy kiszek, która wybucha teraz dokoła jej bólu.

— Chcemy kwiatu pomarańczowego! — szalała jakaś pani.

— Używajcie — pomyślała uległa ich woli Iluska.

I poddała blond główkę wszystkim tym ociekającym jadłem rękom.

— Baczość!

— Uważajcie — moi kochani młodzi małżonkowie! — ostrzegał podporucznik-weterynarz. Nie macie dużo czasu.

Wyciągnął bransoletę z chronometrem.

— Jest czwarta. Pociąg odchodzi o szóstej.

Ruch w szatni i pomiędzy lokajami.

Zamiana kapeluszy.

Każdy mężczyzna ma goździk w klapie.

Panie szukają bibułki, aby owinać róże.

— Gazeta nie wystarczy?

Uściski. Posuwanie krzeseł. Dowcipy stryja

„kawalarza”.

W każdej rodzinie jest dowcipny stryj, który opowiada historyjki, ma „zawsze te swoje kawały” i obdarza pudełkami cukierków, które za pociśnięciem guzika grają marsza królewskiego, albo rewolwerem, który – gdy nacisnąć rękojeść – spryskuje perfumami.

W domu walizki były już zamknięte.

Iluska zdjęła welon, śnieżną liberię gwałtu, włożyła szary tailleur.

Pan młody był już na dole, w samochodzie.

Zapłoniona od wstydlivosti ciotka pociągnęła ją na stronę.

Po pełnym drżenia wahaniu, zaczęła:

— Ponieważ nie masz już matki, mnie przypada drażliwa misja...

I zaczęła wlewać jej do ucha ową przemowę okolicznościową, która jest jako toaleta duchowa, psychologiczna i płciowa skazanej na małżeństwo.

Jest to wademekum defloracji.

Jest to przygotowanie do misteriów alkowy, przyspieszony kurs fizjologii seksualnej, który można by zatytułować: Co to jest małżonek i sposób jego użycia.

Moralność nakazuje, aby panna zawierała małżeństwo, nie wiedząc czym ono jest. Po ślubie, zanim mąż wejdzie do komnaty małżeńskiej, matka lub ta, która ją zastępuje, zdejmuje jej zasłonę z oczu.

Aż do tej chwili musi ona być nieświadoma, jak rumak hiszpańskich korrid, któremu zawiązują oczy, aby nie widział niebezpieczeństwa ciosu.

Na szczęście zdarza się to tylko w teorii, gdyż – w praktyce – panny nasze, zanim zawrą małżeństwo, znajdują zawsze kogoś, kto im zdejmie zasłonę – i resztę.

Iluska zrozumiała od pierwszych słów, jaki będzie przedmiot konferencji.

— Nie nudź mnie, ciotko. Te rzeczy ja mogłabym wyklądać tobie.

Wtedy ciotka zwróciła się do męża, zaklinając go, aby nie uczynił nic złego temu niewinnemu dziecku.

Błogosławieństwo, wiersz, deklamowany przez córeczkę stróżki.

Wymiana życzeń.

Napiwki.

Szofer wprawia motor w ruch.

— Nareszcie sami! — deklamuje podporucznik-

weterynarz, kiedy zatrzaśnięto drzwiczki wagonu.

Donatella płakała, widząc siostrę tak wysoko, w klatce ruchomej, za kryształem szyby.

Profesor czernił się ojcowsko u boku Iluszki.

— Jaki śliczny dzień! — stwierdziła Donatella.

— Nie wystawiaj się na wiatr.

— Klucze od walizek masz w torebce.

— Wzięłaś sole trzeźwiące?

— Proszę, polecam! — błagała ciotka i utkwiała oczy z niemą prośbą w profesorze.

— Macie śliczny dzień.

(Tę głęboką uwagę robiono już trzy razy. Wina spadała na pociąg, który jeszcze nie ruszał.)

— Wspaniałe słońce!

— Na szczęście! — świegotała ciotka.

— Życie wasze — wypowiedział lirycznie podporucznik-weterynarz — będzie jednym ciągiem poezji.

— Częstochowskimi rymami — odparła sucho panna młoda.

Uśmiechała się, ze sztywnością automatu, gdy pociąg przechodził przed rzędem powiewających chusteczek.

— Zmęczona jesteś, Iluszko?

— Tak.

— Usiądźmy. Nie mówisz mi nic?

— Zostaw mnie pan w spokoju.

Profesor poprosił sąsiada o pożyczenie rozkładu jazdy. Zagłębił się w nim po uszy.

Przyjechali w nocy do wielkiego miasta.

Gdy mąż rozkazywał, jak ułożyć walizy w omnibusie hotelowym, Iluszka patrzyła w niebo.

Cudowne.

Nawet to głupie niebo włożyło fantazyjne ubranie, całe haftowane gwiazdami.

— Ten pokój wychodzi na północ —
zawyrokował profesor.

I powiedział wiersz Wirgiliusza.

Służący poprosił, aby wypisał nazwiska na blankiecie.

Iluszka, nieruchoma na krześle, spoglądała z zazdrością na pokojówkę, która wynosiła dzbanki z wodą gorącą.

Pozwoliła mu zdjąć sobie kapelusz i ściągnąć żakiet.

— Ukochana! — zamruczał mąż.

Obojętna jak automat odpowiadała tak i nie na wszystkie pytania.

— Te koszule kupiłem gotowe i zapłaciłem po czterdzieści lirów, ale leżą jak ulane, jakby były robione na miarę.

Iluska spojrzała na koszule.

— Zabrałem również koszulki wełniane. Nie zdejmuję nigdy koszulek wełnianych, nawet w lecie.

Iluska podziwiała koszulki.

— Ta waliza wydaje się mała, a jednak...

Iluska podziwiała pakowność walizki.

— A teraz do łóżka!

Młoda małżonka zaczęła się rozbierać.

— A, nie! Tę przyjemność ja chcę mieć...

Pozwoliła się rozebrać, jak u lekarza. Bez wstydu, bez rumieńców, bez odrazy.

Była bez woli.

Kiedy już była naga, profesor zdziwił się pewnym szczegółem.

Szczegół ten był w obyczaju Cyganek pewnego plemienia.

Iluska poznała niegdyś w Paryżu, w pracowni malarza na Montparnasse, Cygankę, która mu pozowała.

Była ona całkiem odwołiona. Na szyi nosiła wisiołek z okiem pomiędzy dwoma krzyżami.

Odtąd i ona ścierała prawie co dzień zwierzęcy mech na swym wątłym brzuszku dziewczynki.

— Nie lubię takich rzeczy — uczynił zarzut mąż z wymuszonym uśmiechem. — Wydaje mi się, jakbyś miała pewne pasożyty, od których nigdy w swym życiu nie zdołał się uwolnić Karol II angielski.

Nie odpowiedziała.

Inny mężczyzna na widok tej gładkiej nagości, prawie bezpłciowej, uczynionej dziecięcą brzytwą, stanął w zachwycie jak wobec cudu czystości.

Profesor spostrzegł, że był za surowy. Pocałował żonę w czoło.

— Amor non talia curat. Miłość nie zważa na te rzeczy.

I zaczął się rozbierać.

Położył nikłowy zegarek na komodzie i okręcił dokoła niego trzy razy czarny sznurek ze spokojną

akuratnością cukiernika, który lukrem kaligrafuje sentencję na torcie.

Powiesił marynarkę na poręczu krzesła.

Myślał przy tym w duszy, że nadszedł trudny moment.

Jakże żałował owych dobrych czasów, kiedy to książę udzielił, korzystając z jus primae noctis, zaoszczędzał ukochanym wasalom trudów niewdzięcznej operacji.

— Co robisz? — zapytał, widząc że Iluszka schodzi z łóżka i wdziewa czerwoną piżamę.

— Czeszę się.

Przy toalecie było mało światła.

Iluszka zabawiała się długo.

Gdy profesor był już w nocnej koszuli, zapytał:

— Jeszcze tam jesteś?

— Jak widzisz.

Pomiędzy grzebieniem i włosami trzaskały małeńkie iskierki.

Ach, jak Mauro interesował się elektrycznością jej włosów!

Chciał koniecznie czesać ją sam, w tej izdebce

hotelowej, tam na górze, z której widać było Dunaj, a wyspa świętej Margity wyglądała jak bukiet kwiatów.

— Iskry? — rzekł profesor. — Głupstwo, uczeszsz się jutro.

I pociągnął ją do łóżka.

— Zdejmij te spodnie, Ilusko. Nie podoba mi się kobieta w piżamie. Wygląda jak pederasta.

Podciągnawszy kołdrę aż pod szyję, przycisnął ją do włochatej piersi i ocierał o jej delikatną twarz swe przerażające wąsy.

— Nie, dziś nie! — krzyknęła Iluska, zaciskając nogi i skręcając się jak lina.

— Tak... — zapienił się, dysząc ciężko. Kolanem usiłował rozdzielić jej kolana.

— Puść mnie! Jestem zmęczona!...

Ale on chciał nią owładnać za wszelką cenę, gdyż leżeć w łóżku z dziewicą byłoby cudzołóstwem.

Tylko z dziewczętami uczciwymi, które prowadzi się do ołtarza, i z prostytutkami, które z ulicy wiedzie się wprost do łóżka, można przejść od razu do czynu, bez wstępnych czułości.

Przyciśnięta jego ciężarem, odwracała twarz na

bok, by nie oddychać wstrętną wonią zjełczalej brylantyny, którą wydawały jego wąsy o kształcie accent circonflexe.

I gdy mężczyzna dokonywał rozpaczliwych wysiłków aby się nim okazać, Iluszka czytała tablicę na przyległej ścianie, gdzie widniało w czterech językach:

Zarząd nie odpowiada za przedmioty wartościowe,
które nie były złożone do kasy Zarządu.

Kto nie zwalnia pokoju przed godziną czternastą,
obowiązany jest...

Po ukończeniu – profesor, lepki, wilgotny, rzucił się na świeże prześcieradło.

— Śpisz? — zapytał po pewnym czasie.

Melitta widziała jeziorko alpejskie, kępę arnik miękkich jak poduszka, precudowny, nieskończony baldachim – i człowieka, który wziął ją z miłości, któremu oddała się z miłości, w zupełnym odurzeniu zmysłów.

Ciała ich tak przedziwnie złączyły się siłą miłości, że

stały się jednym i tym samym, nie wiedząc jak to się stało.

Czuła się wzięta tak do szpiku kości, że ciało Maura wydawało się jej własnym ciałem, i jej życie było wtedy tylko życiem, gdy Mauro czynił ją sobą.

Westchnęła.

— O czym myślisz? — zapytał profesor, szukając jej piersi.

— O tobie.

* * *

Muzea, zbrojownia, biblioteki, wysyłka pocztówek widokowych, kupno upominków, fotografia na placu Świętego Marka z gołębiami dokoła.

Pod koniec drugiego tygodnia byli już z powrotem w domu, w tym wielkim domu, urządzonym z niejakim gustem, dokąd małżonek przeniósł wszystkie swoje książki i gdzie przyjmował kolegów i uczniów.

Pewnego dnia – Iluzka spotkała Maura.

— Zapuściłaś długie włosy?

— Tak. Staję się mieszczką... Nie palę już.

On był blady, wyczerpany nocą spędzoną na pokerze.

— Zadowolona jesteś z męża?

— Dosyć.

I zaśmiała się.

— Kocha cię?

— Chce zawsze całować mnie przy stole, kiedy je.

A nie mogę znieść pocałunków z sosem pomidorowym.

— Czy to wszystkie jego wady?

— Wszystkie.

— Można ci pozazdrościć w takim razie. Jesteś szczęśliwa?

— Bez wątplenia. A ty?

— Ja jestem zwyciężony: szara figura, istota niepotrzebna. Nigdy nie przeżyłem radości zdobywania. Miłości moje nie były zdobyczami, bo to ja byłem zdobywany zawsze. Byłem zdobyty przez niepokojącą artystkę i byłem zdobyty przez czystą dziewczkę.

— A jednak kochałeś mnie!

— Nie wiem..

— Kochałeś, mnie nawet wtedy, gdy mi mówiłeś, że mnie nienawidzisz. Można udawać miłość, ale nie

nienawiść. A teraz co porabiasz?

— Prowadzę na spacer moją nieszczęsność.

— Twoja nieszczęsność jest trochę neurastenią, a trochę wyczerpaniem nerwowym.. Te choroby leczy się zimnymi prysznicami i jakimś proszkiem..

— Prochem, nie proszkiem. Nic innego mi nie pozostaje, jak odejść.

— Odejść?

— Chcę się zabić.

— Słowa!

— Nie mam już nic.

— Masz jeszcze całe życie przed sobą.

— Dlatego właśnie chcę się zabić. Bo miałbym jeszcze całe życie. A to za dużo. Addio.

Nie zobaczyła go już więcej.

Wielu młodzieńców bywało w ich domu.

Przychodzili po radę, poddawali problemy naukowe i zagadnienia psychologiczne ocenie profesora. Bładolicy efeb, o długich włosach i o twarzy wydłużonej uczonego onanisty przygotowywał rozprawę doktorską o rozwodzie rozważanym ze stanowiska filozoficznego.

— Dziwię się, że pan jest przeciwny rozwodowi, profesorze, pan, który ożenił się z rozwódką.

— Ożeniłem się z rozwódką *sui generis*, szczególnego rodzaju, objaśnił znakomity znawca historii Wschodu. Rozwód każe przypuszczać małżeństwo, a małżeństwo każe przypuszczać *coniunctio maris et feminae*, to jest połączenie mężczyzny i kobiety... Małżeństwo tej, która stała się później moją żoną, odbyło się prawnie, ale nie faktycznie. Akt połączenia cielesnego nie odbył się. W rzeczywistości więc ożeniłem się z panną. Moja żona, zaślubiona i rozwiedziona, była dziewicą.

Deklaracje uczonego orientalisty gruchnęły pod portykami Uniwersytetu.

Młodzieńcy powtarzali je pannom; panny – profesorom.

— Cóż w tym dziwnego? — protestował zgorszony docent greki. — I ja sądzę, że znalazł żonę nietkniętą. Gdyby tak nie było, to by był spostrzegł. Człowiek taki jak Mansueto Birri, który posuwa swój sceptycyzm, swoje wątpliwości naukowe, aż do badania dziewiczości matki Czyngis-Chana, która żyła

przed siedmiuset laty, i który zdołał po tylu latach wykazać na mocy dowodów filozoficznych i anatomicznych, że matka wielkiego zdobywcy mongolskiego nie była dziewicą – jakżeż możecie przypuszczać, że taki człowiek nie byłby w stanie osądzić dziewictwa kobiety leżącej obok niego w jego własnym łóżku?

* * *

Przechodziły dni szare, wieczory jednostajne, noce rozpaczliwe.

— Nie będziesz się nudziła, kiedy będziesz miała dziecko — dodawała otuchy Donatella tonem proroczym.

— Nie będę miała dzieci.

Nie chciała dzieci.

Jej syn jedyny, syn prawdziwy – był ten, który urodził się z miłości; ten, którego zabił w białej klinice budapeszteńskiej chirurg o złotych zębach.

Krawcowe nie zajmowały jej, schadzki nie bawiły.

Wszystko wydawało się tak mdłe, powszednie, tak

odpychające!

— Jakiś chłopiec przyniósł to dla pani — oznajmiła któregoś wieczoru służąca, gdy Melitta wróciła do domu.

I podała ładnie pleciony koszyk łożinowy.

Otworzyła.

Żywy żółw o skorupie błyszczącej jak szylkretowa papierośnica poruszał szyją, głupio kiwając głową.

— Nie ma listu?

— Nie proszę pani. Nic prócz adresu.

Poznała pismo.

— Pani nie zdejmuje kapelusza?

— Nie. Wychodzę znowu.

Ale, kiedy miała wyjść, wstrząśnięta złem przeczuciem, ukazał się mąż i podał jej gazetę wieczorną.

Pomiędzy dwiema czarnymi liniami rzuciło jej się w oczy:

MAURO MAURI
oznajmia o swojej śmierci.

Pogrzeb jutro o godzinie 15.
Nie chce na grobie ani zieleniny,
ani konferencji.

Oparła się o stolik.

Na innej stronnicy opisywano samobójstwo młodzieńca, który wdrapał się na rusztowanie w śródmieściu i zaczął pluć na tłum niedzielny. Potem cisnął kapelusz, marynarkę, obuwie. Wreszcie rzucił się z góry, z wysokości trzeciego piętra, na bruk.

Iłuszka ledwo, ledwo cierpiała.

Czuła się jak wegetująca roślina, jak organizm bez duszy.

Brała lekcje tańca, chodziła tańczyć do klubu nie nadmiernie przyzwoitego, gdzie poznała wielu młodzieńców wielkiego świata i wiele pań o taryfie stałej (kokoty) i o taryfie zmiennej (kobiety uczciwe).

Bywała w kilku salonach i maisons de thé. Zawarła powierzchowne znajomości, z rzadka odbierała niesmaczne wizyty.

— Pyta się o panią — powiedziała raz w

czerwcowy poranek pokojówka, podając bilet wizytowy.

Iluska przeczytała i zwróciła bilet.

— Profesorka Miceli? Profesorka? To pewnie do profesora.

— Nie, proszę pani, chciałaby pomówić z panią.

— Jak wygląda?

— W średnim wieku, ładnie ubrana, pełna klejnotów.

— Poproś.

Nowoprzybyła przeszła przez salon z pewnością siebie kobiety światowej i poprosiła o przebaczenie, że przychodzi tak niespodziewanie, nie uwiadomiwszy przedtem. Ale... drażliwa jej misja...

— Czym mogę służyć? — zniecierpliwiła się Iluska.

Pani zaczęła mówić o swej rodzinie, bardzo, bardzo zamożnej niegdyś, ale doświadczonej nieszczęściami...

Pozwoliło to jej wymienić nazwiska krewnych wysoko postawionych, bardzo bogatych i ustosunkowanych, całą sieć znajomości pomiędzy

pierwszorzędnymi sferami miasta.

— Pani zajmuje się dobroczynnością? — przecięła krótko Iluszka.

— Jest to wyrażenie niezupełnie dokładne.

— Jest pani opiekunką jakiejś instytucji dobroczynnej?

— Instytucji... właściwie nie — zaczęła objaśniać pani, zaokrąglając półkolistymi gestami słowa nieco urwane. — Wytłumaczę się jaśniej.

— Proszę.

— Jeden z moich znajomych, bywający w moim domu, co więcej, człowiek z najlepszego świata, którego nazwisko pozwolę sobie przemilczeć, czuje do pani wielką sympatię.

— Bardzo mi miło. I... pani to powiedział?

— Niektórych rzeczy nie można wprost mówić osobie zainteresowanej, kiedy ma ona męża, nazwisko, stanowisko.

— Dalej, proszę.

— Pan ten jest pięknym mężczyzną, nie bardzo już młodym, ale jeszcze bardzo powabnym, eleganckim, bogatym

— Gdzież mnie widział?

— Chodził często za panią, jeszcze kiedy pani była panią Mauri.

— Pani wie nawet o tym?

— Wiem o wszystkim.

— Cieszę się. Jednakże, zajęcie pani wydaje mi się nieco dwuznaczne. Wybacz pani, ale...

— Niech pani mówi, proszę. Wszystkie panie, do których zwracam się po raz pierwszy – tak, jak do pani zaczynają od znieważania mnie. Ale potem zmieniają ton.

— Ja nie zmienię. A więc? Konkluzja?

— Wielki pan, o którym mówię, byłby szczęśliwy, gdyby mógł spotkać panią w moim domu – w tych dniach, na przykład jutro o trzeciej. A ponieważ rad by był w sposób namacalny dać pani dowód swej sympatii – więc, gdyby pani raczyła poświęcić mu jakieś popołudnie, pozwoliłby sobie ofiarować pani... podarunek, małeńki dar, dzieło sztuki, klejnot, jakieś cacko nieużyteczne. Ale ponieważ nie zna gustu pani, wolałby jej pozostawić wybór. W tym celu dostarczałby pani za moim pośrednictwem pięćset lirów

za każde popołudnie.

Iluska słuchała słów gościa bez zmruczenia oka.

— Ja mieszkam w bardzo przyzwoitym domu, na ulicy ustronnej; nie ma portiera. Wchodzi się od razu na pierwsze piętro. Na drzwiach napis: Prof. Miceli, lekcje gimnastyki rytmicznej. Nie może być nic dyskretniejszego, jak pani widzi.

I wyjęła z wykwintego portfelu mały bilet wizytowy, na którym wykaligrafowano angielskim pismem nazwisko i adres.

— Oto moje nazwisko i mój adres. Jutro o trzeciej pan ten będzie u mnie i czekać będzie całe popołudnie.

— Niech mu pani powie, aby nie tracił czasu. Nie przyjdę.

— Byłoby to zbyt wielkim rozczarowaniem dla niego. Nic mu nie powiem. Poczeka.

— Czy pani często przypada misja robienia takich propozycji.

— Niestety, tak.

— A inne panie co odpowiadają?

— Mniej więcej to co pani, z wariantami. Ja nalegam łagodnie i czekam.

— Na próżno?

— Rzadko które odmawiają.

— Widać – są głodne.

— Nie trzeba koniecznie, aby im brakowało rzeczy niezbędnych. Wystarczy, jeżeli pożądają zbytekownych. Panie z arystokracji, żony wielkich przemysłowców, wysokich urzędników bywają w moim domu – i to nie zawsze z potrzeby. Nieraz przez ciekawość.

— Te przychodzą raz jeden tylko.

— Wszystkim się zdaje, że przyjdą tylko jeden raz, zaciekawione nowością, dla zobaczenia milieu. Ale powracają. Często nie mogę ich się pozbyć...

Iluszka uczyniła ruch prawie niespostrzegalny.

— Mój mąż.

Profesor wszedł z paką książek, uroczysty, w trykocie, który zapinał mu się pod szyją.

— Pani... bełkotała Iluszka, zakłopotana.

— Chciałam się dowiedzieć od państwa — wyręczyła ją profesor Miceli — szczegółów o szoferze, który podobno służył u państwa.

Ale żona wytłumaczyła mi już, że to pomyłka. Bardzo przepraszam.

I podniosła się.

Południe.

Profesor nakręcił zegarek nikłowy, który szedł od trzydziestu lat, nie zatrzymawszy się ani razu.

— Porządek i metoda, nawet w najdrobniejszych rzeczach — obwieszczał. — Ażeby risotto mogło być podane w południe, trzeba postawić je na ogniu osiemnaście minut wcześniej. Przechodząc potem do bananów, powiesz kucharce, aby ich nie kupowała więcej.

— Ja tak je lubię!

— To źle. Każdy powinien żywić się owocami swego kraju. Jesteśmy, dzięki tysiącletniemu dziedzictwu, przyzwyczajeni do naszego klimatu i do owoców naszej gleby. Zmiany w pożywieniu to czyny przeciw naturze. Już nie mówiąc o tym, że banany strasznie dużo kosztują... À propos, nie rozumiem, dlaczego w tym miesiącu wydało się więcej na światło elektryczne niż w poprzednim. Dni są teraz długie i...

— Musiał się poborca omylić.

— Nie może być pomyłek. Czy śniadanie gotowe? Od dziś, Ilusko, będziesz pilnowała, aby posiłki były

gotowe na dwunastą i na dziewiętnastą.

— O siódmej jest jeszcze widno.

— Właśnie dlatego.

— Gdybyśmy mieli iść do teatru, rozumiałabym, ale ponieważ nigdy to się nie zdarza...

Mąż metodycznie zestawiał wyżłobienie korka z wyżłobieniem kropłomierza, i zaczął sączyć do szklanki zwykłą dozę rumbarbarum i gencjany.

— Raz, dwa, trzy. Co mówisz? Cztery, pięć. Teatr? Osiem, dziewięć, dziesięć. Wiesz przecież, że moje prace... Dwanaście, trzynaście... Nie mogę tracić wieczorów na przedstawienia publiczne.

— Trzy godziny! Cóż to znaczy!?

— Nie mogę poświęcić trzech godzin mych nocy na płochę zabawy.

— Ale byłoby słuszne, abym ja się nie poświęcała.

— Miejsce kobiety jest vel tumulo, vel talamo: albo w grobie, albo w łóżku.

— Niewesoła perspektywa...

— Cóż to za katalog samochodów?

— Trzy miesiące temu przyrzekłeś mi kupić torpeda.

— W okresie godów małżeńskich stroimy się w piękne piórka i w piękne słowa. To jest prawo biologiczne, wspólne wszystkim gatunkom zwierzęcym.

— Wychodziłaś?

— Tak. Kupiłam sobie płaszcz nieprzemakalny.

— Niepotrzebny wydatek. Kiedy deszcz pada, zostaje się w domu. Domi mansit, lanem fecit: pozostawała w domu i przędła wełnę.

— A jeśli trzeba wyjść?

— Parasol. Tradycyjny parasol. Instrument tak doskonały, że od dnia wynalazku nie był zmieniany. Moje anidropodoteki gumowe gdzie są? — zapytał pokojówki.

— Jak pan powiedział?

— Anidropodoteki gumowe, to co z nieprzeliczalnym barbaryzmem nazywacie: kalosze, śniegowce. Powiadam: anidropodoteki! Żeby mi były gotowe na drugą!

— Potrzebujesz kaloszy na taką pogodę?

— Może być deszcz. Trzeba wszystko przewidzieć.

Po wyjściu męża, kołowała po obszernym mieszkaniu, pełnym bogatych sprzętów, ale któremu brakowało wdzięku intymności.

Słuchała brzmienia własnych kroków, jak w opuszczonym domu.

Wyszła na ulicę, kazała się zawieźć do śródmieścia.

Ulice były zatłoczone – pełne ludzi po sprawunki: na wieś, w góry, nad morze.

Ona pozostanie w mieście przez całe lato. Co najwyżej wyjedzie na kilka dni do jakiejś nudnej dziury, o pół godziny koleją, do jednego z tych lotnisk dla urzędników miejskich na emeryturze lub dla akuszerok, które same sobie robią kapelusze.

Poprzez rżnięte szyby u Boratti'ego widziała zwykłą publiczność sączącą napoje chłodzące.

Otoczenie jak zawsze, coraz bardziej Old England.

Utrzymanki wydawały się legalnymi żonami, mężczyźni wzrokiem mówili pannom: mam poważne zamiary; a kobiety intelektualne ostentacyjnie prezentowały książki „oczyszczone” w nedorzecznym

szafirowych oprawach Towarzystwa dla Kultury Kobiecej.

Chciała przestąpić próg.

Zatrzymała się. Przebiegła galerię, stanęła przed wystawą lalek Lenci o przedziwnych oczach, które podobne były do niej.

Otarła się o smętne muzea. Weszła do Casanovy, by przejrzeć pisma nowej mody.

Nowa moda? Po co?

Młodzian jakiś szedł za nią, ale zobaczył twarz tak smutną, że zaniechał swych zamiarów.

Wróciła do domu.

Obiad, rozmowy moralne, czytanie gazet, sypialnia.

Mąż nie żądał niczego, bo nie była to ani sobota, ani środa.

W nocy – nie mogła zasnąć.

Lato napawało skórę jej niepokojącą potrzebą pieczyt.

Wstała, krążyła wpół naga po mieszkaniu, otworzyła okno wychodzące na ogród, wystawiła szyję i piersi na rosę, na pachnące powietrze, na błękit.

Ze szczytu drzewa, słowik zrzucał krople muzyki,

które spadały z gałęzi na gałąź, wśród chóru liści, czesanych wietrzykiem.

Powróciła do łóżka, wstrząsana dreszczami.

Następnego ranka znalazła w salonie bilet profesorki gimnastyki rytmicznej. Bilet formatu wizytowego, adres wykaligrafowany pismem angielskim. Ulicy nie знаła.

Po południu wyszła, zaledwie mąż wrócił do swych zajęć.

Były to dni egzaminów dyplomowych.

Lato było łagodne jak spóźniona wiosna.

Spojrzała na zegarek.

Trzecia.

W tej chwili serdeczna profesorka gimnastyki rytmicznej pociesza jej nieznanego wielbiciela, który czeka...

Biedaczysko!

Już nie bardzo młody, ale pełen powabów, elegancki, bogaty...

Kupiła bukietik cyklamenów i przypięła go sobie do pasa.

Kochankowie – parami – jechali pod górę.

Samochody mknęły ku polu wyścigowemu.

Wysoki, czterokonny stage-coach przeleciał wśród dobywających się z niego wesołych okrzyków.

Cóż za życie wie dzie ona!

Jedyną przygodą jej jest ta propozycja pieniężna.
Prostytuowanie się z nieznanym.

A jednak, raz jeden, nie byłoby niemiło spróbować, zobaczyć, zaciekawić się, zajrzeć w głąb nieprzewidzianego...

— Wszystkie myślą, że przyjdą jeden raz
— powiedziała złośliwie gorliwa profesorka gimnastyki rytmicznej, ale potem wracają.

Spróbować jeden raz – to znaczy zacząć.

Uczuła się zmęczona słońcem, kurzem, nudą.

Przejeżdżał zwolna fiaker. Zatrzymała go,
podnosząc parasolkę.

Lepiej wrócić do domu.

Woźnica opuścił chorągiewkę taksometru i pochylił się, czekając na wskazanie adresu.

Iluska zawahała się.

A w domu co?

Powrócić do tych ponurych komnat, gdzie kroki jej

rozlegają się w pustce nieprzytulnej?

Zaczęła szukać w torebce biletu wizytowego z adresem wypisanym angielską kaligrafią.

Nie znalazła go.

Ale to nic! Pamięta doskonale.

Weszła na stopień i przyciszonym głosem, jakby w obawie, że woźnica usłyszy, rozkazała:

— Ulica Karoliny Invernizio, dziewiętnaście.

KONIEC